

The background of the image is a dramatic sky. A bright, jagged lightning bolt strikes down from the top center, illuminating the surrounding clouds. The sky is filled with dark, stormy clouds, and the bottom of the image shows a sea of clouds illuminated from below, creating a glowing horizon line.

EMMA POPIK  
**WYWIAD  
Z BOGIEM**

RW2010

**EMMA POPIK**  
**WYWIAD Z BOGIEM**  
**Zbiór opowiadań**

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013  
Redakcja Joanna Śłużyńska  
Korekta Natalia Szczepkowska  
Redakcja techniczna zespół RW2010  
Copyright © Emma Popik 2013  
Okładka Copyright © Mateo 2013  
Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013  
e-wydanie numer I

ISBN 978-83-63598-77-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010  
Dział handlowy: [marketing@rw2010.pl](mailto:marketing@rw2010.pl)  
Zapraszamy do naszego serwisu: [www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)

# Wywiad z bogiem

– Czy wiesz, że nazywają cię na mieście bogiem?

– Nieee!

Głos dobiegał z wysoka, z platformy podwieszanej pod sufitem laboratorium, ale w tym jednym słowie zaprzeczenia wibrowało przerażenie.

„Wie, czego się bać – pomyślał wpływowy dziennikarz *Galaxy Shimbun*, który zadał to dziwne pytanie. – Nie jest głupi”.

– Tę boską pozycję zdobyłeś w opinii ludu na rynku – dodał. – Czyż to cię nie kompromituje?

W tonie jego głosu brzmiała złośliwość; był poirytowany. Miał powód: stał na podłodze, a ten tak zwany bóg mówił do niego z góry i w dodatku raczył wrzasnąć tylko jedno słowo. A przecież to on, Hendrigo Psiuk, zajmował w świecie wysoką pozycję. I to on, a nie tamten, miał moc windowania ludzi na szczyt sławy. Z równą łatwością mógł każdego strącić na dno. To są boskie moce, no nie? Jasne więc, że to nie on powinien zadzierać głowę i pokornie czekać na odpowiedź.

Z góry jednak nie dotarła odpowiedź na jego kąśliwą uwagę, mimo to Hendrigo pofatygował się, by zadać kolejne pytanie:

– Co tam robisz?

I znowu ani słowa.

Tym razem jednak dziennikarz nie poprosił o odpowiedź. Na taką uprzejmość nie pozwalało mu jego wysokie mniemanie o sobie. Zresztą dosyć już poczynił kroków w celu nawiązania dialogu. Tamten jednak je zlekceważył. Milczenie się przedłużało, pogłębiając blamaż popularnego zurnalisty.

„Traktuje innych z góry chyba dlatego, że siedzi pod sufitem” – uznał. Rozejrzał się czujnie, szukając sposobu wydobycia informacji. Za wszelką cenę musiał przeprowadzić ten wywiad. Wpadł na sprytny pomysł: dowie się tego i owego, i jeśli tamten z platformy niczego nie powie, napisze fikcyjny wywiad. Nie będzie bynajmniej wyspany z palca. Rozglądał się nadal, nie wiedząc, o co zaczepić oko i pierwszy akapit. Przecież był na tyle bystry, żeby wykopać jakieś tłuste świństwo i fanfarami zatrzeć tytuł, taki na przykład: „Bóg oszukuje w kartach”.

Buurko! Może jego szklany pulpit nie jest chroniony hasłem.

Podszedł, stąpając na palcach, by po cichu przejrzeć sobie notatki tego, hm, boga. Czekał, aż się uruchomią aplikacje, usiadł wygodnie i skupiając się jednocześnie nad strukturą wywiadu, który wkrótce sam wpadnie mu do głowy, przelatywał myślą wydarzenia od pierwszej pogłoski na temat tego tam, boga.

Po raz pierwszy ten przydomek obił mu się o uszy na rynku, gdzie zbierał informacje. Gadali o jakimś bogu, ale szeptem. Niektórym wzrok latał na boki. Zlekceważył na początku tę wiadomość. To stereotyp. „Prosty lud myśli kategoriami białe-czarne i w byle dziwaku widzi od razu boga albo diabła” – podsumował wtedy w duchu. Puścił więc mimo uszu to gadanie, nie dostrzegając tematu godnego jego zainteresowania. Nie przekonał Hendrigo nawet jego najbardziej rzetelny informator, który również mówił ledwo słyszalnie, kiedy się spotkali wieczorem. Od oceanu wiał wiatr i porywał słowa, gdy dziennikarz gapił się na jego powierzchnię. Jakże gigantyczny miał rozmiar, sięgając od krańca do krańca ich świata. Nie wiedzieć czemu przypomniał sobie, że ten zielony potwór był podobno niegdyś wielkości kałuży. Zastanawiał się, czy zatrzyma się kiedykolwiek w swoich brzegach. Nie posiadał przecież żadnych ograniczeń. Czy w końcu ruszy na ich cywilizację, pochłaniając wszystko i wszystkich?

Wzdrygnął się, jakby już czuł na sobie jego wilgotne przyłgi. Jednym tylko uchem słuchał rewelacji informatora.

– To kreator – powiedział tamten z nabożnym podziwem.

Słyszając to, dziennikarz potarł ręką ucho, jakby chciał wymazać tę przesadną ocenę.

– A co stwarza?

– Mówią, że nadchodzi koniec świata – podekscytowany informator zmienił temat.

Nie wyjaśnił więc, co tamten kreuje. Dla Hendrigo było jasne, że odpowiedzi nie zna, bo ona zwyczajnie nie istnieje.

– I pewnie wszyscy zginiemy. – Wykrzywił ironicznie usta.

– To już pan wie? – rzekł zawiedziony.

Hendrigo wzruszył ramionami.

– Wszyscy wiedzą.

Od dawna znał stare mity o końcu świata, ale nigdy nie potrafił w nie uwierzyć.

– A skąd przyjdzie zagłada? – zapytał znudzony.

Jego wzrok zmierzył się z groźnym oceanem, od razu jednak odwrócił oczy. Tylko prosty lud bał się jego zachłanności i pewnie dlatego wymyślił bajdy o końcu świata i o bogu.

– Będą znaki – szepnął tamten.

– No tak, oczywiście. – Dziennikarz pokiwał głową. – A jakie?

Informator obrócił się w stronę ciemnego nieba, które wisiało za oceanem.

Wyciągnął ramię, rozczapierzył palce, jakby chciał zatrzymać niewidzialne niebezpieczeństwo.

– I wtedy niebo pęknie na dwie połowy.

Ta brednia przeważała szalę głupoty, którą dziennikarz był w stanie wytrzymać. Rzucił mu pod nogi monetę i nie oglądając się, odszedł spieszenie.

– Pewnie, że nie na trzy połowy – burczał ze złością.

Zagłada, trzask łamiącego się nieba, znaki, typowe motywy, ani jednego faktu, te rewelacje również nie popchnęły go do zajęcia się tematem. Był zbyt wielkim dziennikarzem, by pisać o fantazjach ludu. I nie opierał swych artykułów na plotkach.

Musiał więc węszyć dalej. Zrozumiał, że trzeba będzie zrobić to, przed czym się wzdragał: zanurzyć się w żywioł prostactwa, a więc w masę zwykłych ludzi. Zdobycie informacji wymagało wejścia głęboko w pewne niesamowite miejsce. Jak je opisać? Mówiono na nie: targowisko, agora, piekło. Było olbrzymie, było wszędzie, było wszystkim. Zostało podzielone na kwadraty, a pomiędzy nimi biegly szerokie, wyłożone kolorowymi płytami alejki. Każdy sektor z kolei przecinały ścieżki. To po nich wszyscy krążyli, gdyż tu właśnie były ich raj i szaleństwo. Po obu stronach uliczek stały stragany, restauracje, sklepiki i hotele na godziny, kluby dla każdego rodzaju dewiantów, piwnice, gdzie mogli zaspokoić każdą zachciankę. Miejsce to tętniło życiem gorączkowo i nieprzytomnie, nie odpoczywając nigdy, wciąż chore z przejedzenia i zawsze chętne do dzikich zabaw. Z otwartych okien dobiegały muzyka, krzyki i śpiewy. Piosenki były krótkie i wrzaskliwe, a rytm wybijały odstawiane na stół kieliszki i kufle. Z wystaw sklepowych, sięgających aż na chodniki, zsuwały się owoce, wabiąc palce przechodzących, a podgrzewacze do gotowych potraw ustawiono na każdym rogu. Było tu wszystko dla każdego, a ceny nie stały na przeszkodzie.

Musiał się więc zanurzyć w ten kolorowy i wrzaskliwy świat. Nogi już same go niosły do tego urzekającego i straszego miejsca, lecz nagle coś go powstrzymało. Przypomniał sobie pewien szczegół. Zawrócił, wciąż o nim myśląc, i wszedł w najstarszą część agory. Chciał się przekonać na własne oczy.

Domy były tu wąskie i niższe, w stanie ruiny, z wielu wypadły cegły, stragany utraciły kolory. Klientela jednakże godziła się na wszystko, nie mając już wyboru. I właśnie tu nagle się zatrzymał, stając na samej krawędzi. Poza nią nie było już ulicy. Z przerażenia nawet nie pomyślał, by postąpić krok do tyłu.

Zielona, gęsta masa otaczała fundamenty. Nie cofała się już, ziemia należała do niej. Czekala, kiedy będzie mogła znowu posunąć się do przodu, gdy strawi pale fundamentów i następna ściana runie do wody. Z wysiłkiem oderwał wzrok od przerażającego widoku, cofnął się i przez wewnętrzną bramę przeszedł na drugą stronę budynku. Tu na uliczce gęste kałuże stały, czekając tylko, aż dopełźnie do nich fala oceanu i się z nim połączą, pochłaniając jednocześnie kęs ziemi.

Hendriego musiał je ominąć. Bał się, by nie stąpnąć butem na zieloną, gęstą masę. Choć nie wiedział, czy się przyklei do buta i przeżre zelówkę, by spalić mu skórę, na wszelki wypadek wybierał wzrokiem suche miejsca i stawiał tam uważnie kolejne kroki. Bał się, chociaż ukrywał przed sobą swój strach.

Następna uliczka należała już do zielonej cieczy, resztki ścian wisały skosem, gotowe w każdej chwili runąć. Wycofał się spieszenie, lękając się, czy płyn nie dotyka już jego pięt; szedł coraz szybciej, z obawą, że każdy krok może być ostatnim.

Dotarł do granicznej alejki, także na wpół zanurzonej w wodzie. Widział, że tylnych ścian już nie było, lecz fasada jeszcze tętniła życiem, pełna rozbawionych klientów. Obejmowali kobiety w pasie, wychodzili w uścisku gdzieś do wewnętrznych pokoi, a reszta towarzystwa śpiewała głośno pijackie piosenki.

Kiedy unosili do ust kufle, spojrzął na ich ręce. A kiedy zobaczył, jak wyglądają, wstrząsnęło nim przerażenie. Patrzył wciąż, nie mogąc oderwać wzroku. Każdy z szalejących w dzikiej zabawie miał na przegubie czarny pasek, a to oznaczało, że energia ich życia już się wyczerpała. Szerokość pasków była różna, najcieńsze przypominały pajęczne nitki. Ich właściciele śmiali się jednak najgłośniej, wiedząc, że każda salwa wesołości może być ostatnią. Za chwilę mogą się przewrócić, upaść plecami w zieloną kałużę, a ciecz rozłoży ich ciała, powiększając swoją objętość. Czarny pasek na przegubie był strasznym znakiem i wszyscy rozumieli jego znaczenie, wiedzieli, że są skazani, a mimo to bawili się do końca.

Nagle w prześwicie między budynkami zobaczył dużą kałużę; był w niej zanurzony jakiś podłużny kształt. O kilka kroków dalej w wodzie przykrywającej alejkę leżało wiele zwłok. Padli, gdyż już utracili energię i nie mogli jej znikąd zaczerpnąć. Może ich towarzysze, którzy nadal pili i szaleli, wyskali jej resztki niby wampiry. Przerażony okropnym widokiem, obserwował, jak ciała zamieniały się w białe sole, a te rozpuszczały się w wodzie, która gęstniała. To dlatego ocean tak rósł! Powiększał się, wchłaniając ciała tych, którzy nie mieli już w sobie energii. Woda ich wessała, rozpuściła, sama gęstniejąc i stając się coraz bardziej zachłanna.

– Giniemy – rzekł głośno. – Zużyliśmy już wszystko.

Dopiero wyjątkowo głośna grupa wesołych klientów spowodowała, że otrząsnął się i szybko odszedł z tego miejsca. Machali do siebie rękami, przyzywając się, by razem pić – a u każdego na przegubie widniał czarny pasek.

Nie rezygnował jednak z celu swojej wyprawy do tego okropnego miejsca. Długo krążył wśród straganów, pełnych wszelakiego jadła; ucztowanie było jedną z większych przyjemności. Zagłębił się nawet w alejkę regionalnych restauracji, gdzie zachęcano do kosztowania potraw prosto z kociołków. Tu wypatrzył go pewien dziwak, który zapewne polował na takie okazje. Wszedł niespodziewanie z bocznej alejki. Twarz zakrywał rondem kapelusza, naciśniętego na chustkę związaną na głowie. Wydawało mu się, że jego przebranie jest doskonałym kamuflażem. Kiedy tylko napotkał klienta, zatarł dłonie z radością.

– Chodź pan. – Długa ręka dosięgła ramienia Hendriga. – Nie bój się pan. Tu sami dobrzy ludzie.

Mówił chyba o swoich znajomych ze straganu, którzy pokazali mu palcem węszącego dziennikarza i nawet powiedzieli, o co się wypytuje.

Hendrigo lekkim ruchem strącił jego rękę, która szybko dołączyła do drugiej, i tamten znowu zaczął pocierać dłonie z radością i zapalem.

– I każdy chce zarobić – gadał człeczyna.

Pewnie wyobrażał już sobie przyjemność, której za chwilę będzie mógł doświadczyć. Dziennikarz dał się poprowadzić do samego końca alejki. Po obu jej stronach stały drewniane parterowe budki, z których każda była ozdobiona olbrzymią tablicą z nazwami potraw i napojów, oraz z cenami oczywiście. Ceny spadały, w miarę jak mijał kolejne restauracyjki.

Bar, do którego zmierzali, znajdował się na samym końcu alejki, ukryty za większą budą i ogarnięty mrokiem. Kiedy stanął przed speluną, zobaczył zamiast drzwi zawieszoną tkaninę. Ponad nią nie dostrzegł przybitej deski z nazwami potraw. Wahał się, czy odsunąć ręką tę szmatę i wejść do środka. Odwrócił się do swojego przewodnika, wykrzywiając usta.

Ale oczy tamtego lśniły radością.

– Nie bój się pan – powtórzył swoją frazę. – Każdy chce się tylko napić.

Uniósł ręką zasłonę i wszedł pierwszy w mroczną przestrzeń baru. Ruszył na skos przez brudną podłogę, kierując się do ostatniego stolika przy ścianie. Siedział tam stały bywalec odwrócony do nich plecami. Przewodnik podszedł do niego i pochyliwszy się, mówił coś gwałtownie i natrętnie. Hendrigo stał wciąż w progu, nie tylko ze strachu. Nogi wrosły mu w ziemię, wiedział bowiem, czym tu raczyli się klienci. Energią; płynną, czystą, wrzącą energią.

Energia stanowiła najważniejszy czynnik życia: jej brak je kończył. Każdy chciał ją zdobyć i powiększyć swoje wewnętrzne zasoby, dlatego łapano każdą szansę. Ostatnim hitem stała się płynna energia. Klienci zamawiali napoje zawierające energię. Wierzyli, że pobrana w ten sposób zregeneruje ich, chociaż była sztuczna. Wchłaniali codziennie coraz większe ilości, by ją magazynować. Będę żyć, myśleli po każdym kolejnym łyku. Z tego powodu popularność tych napojów rosła błyskawicznie. Wszyscy o nich wiedzieli i mówili. Do Hendrigo również dotarły wieści o nowej modzie, był jednak zbyt wielki, by się interesować szkodliwymi nałogami pospólstwa.

Potoczył wzrokiem po siedzących w mrocznej salce. Nikt się nie poruszył, każdy siedział pochylony nad swoim napojem.

„To żywe trupy” – pomyślał Hendrigo. Obawiał się, że ktoś zaraz przewróci się na podłogę i umrze. Wyniosą go i rzucają do oceanu, by się zamienił w białe sole.

Ile im jeszcze zostało? Energia ulegała wyczerpaniu, kończyły się jej zasoby. Kiedy, mówiąc obrazowo, w kosmicznym rezerwuarze pokaże się dno – ich świat zniknie. Lud prosty to wiedział, on – nie. Czy raczej wolał nie wiedzieć. Więc gdy to sobie uświadomił, przeraził się. Dlatego stał w progu, nie mając siły się poruszyć. Mężczyzna w kapeluszu przyzywał go, machając ręką, więc zmusił się, by podejść do stolika.

– Powiedz panu wszystko, jak mi obiecałeś.

Obrócił się na pięcie i usiadł przy barze, łapiąc w locie rzuconą monetę, która zaraz

została wymieniona na puszkę z czerwonym napisem, postawioną na kontuarze przez kelnera opasanego ścierką.

Hendrigo usiadł, lecz kelner nie przyniósł mu napoju – znał się na ludziach. Na stole stał już rząd pustych puszek, a informator właśnie wychylał ostatnią, sącząc pozostałe krople.

– Mów, co wiesz.

– Nazywają go bogiem, ale on jest kimś innym – zaczął ponuro młody człowiek.

– Wyobraź sobie, że i ja się tego domyśliłem – przerwał mu gniewnie Hendrigo. – Mów do rzeczy, jeśli chcesz zarobić na następną puszkę.

Siedzący wbijał wzrok w puszki, nie podnosił głowy i mówił mechanicznie, jakby z przymusem.

– Ma nową teorię. Uważa, że istnieje coś takiego jak materia biologiczna.

– A gdzie ona jest?

– Jest powszechna.

– Co za brednie! Przecież nauka udowodniła, że wszystko wypełnia energia, gdyż tylko ona może się odnawiać.

– To jego teoria, mówiłem – zastrzegł informator. – Ta materia istnieje potencjalnie.

– No i cóż może ta materia biologiczna?

– Ma nadzwyczajne właściwości. Po pierwsze, jest plastyczna. Po drugie, może się powielać.

– W jakie formy?! – krzyknął dziennikarz oburzony tą herezją.

– Jest oczywiście potrzebna matryca.

– I tu mamy problem – zauważył dziennikarz. – Jak ulepić z tej gliny pożądany kształt?

– Właśnie nad tym pracuje – powiedział młodzieniec.

– Czy wiesz, w jakim stadium są jego prace?

– Oto właśnie cenne pytanie – zauważył filozoficznie, pstrykając palcami w puszkę.

Hendrigo położył przed nim banknot. Ten widok natychmiast wywołał kelnera, który przetrąwszy powierzchnię stolika ścierką wyjętą zza paska, postawił na blacie dużą puszkę ze złotym napisem. Niczego nie podał dziennikarzowi, bo przecież znał się na ludziach.

Młodzieniec nacisnął wieczko i uniósł puszkę do ust. Pił długimi łykami, a na jego twarzy pojawiał się coraz większy zachwyty. Kiedy odstawił puszkę na stół, otarł usta ręką. I ponownie wbił wzrok w rząd puszek, który wciąż był za krótki, by przedłużyć mu życie.

– Jaki jest więc stan zaawansowania prac nad matrycą? – dziennikarz powtórzył pytanie.

– Tylko bóg to wie – odparł. – Zapytaj go.

Zamknął oczy, a jego oddech stał się równy i głęboki.



– Zapytam.

Wtedy właśnie zdecydował, że musi porozmawiać z tym bogiem, heretykiem nauki.

Wyszedł z baru, żegnany energicznymi gestami ręki człowieka w kapeluszu.

Po rozmowie utwierdził się w przekonaniu, że chłopak otarł się o wiedzę uniwersytecką. Nasłuchiwał się pewnie o alternatywnych kierunkach w nauce, które na spółkę z kumplem w kapeluszu sprzedawał chętnym.

„To jest nowy trend. I staje się popularny” – odpowiedział mu jego słynny dziennikarski nos (ta niezgrabna fraza – o mówiącym organie powonienia – dostatecznie często powtarzana, uczyniła go sławnym).

Osobiście jednak nie był w stanie zaakceptować tej nowości. Istnienie materii biologicznej, z której można coś produkować, przeczyło wszelkim twardym dowodom zebranych przez ich naukę.

„Mimo wszystko to jakaś brednia”. Dziennikarz wzruszał ramionami. Nie mógł się pogodzić z tym terminem, choć najwyraźniej nie wymyślił go ciemny motłoch z rynku. Ale nie istniało nic takiego jak biologia, to tylko nowe, modne słówko. Ta naukowa herezja obejmowała jednak już cały ich świat widzialny. „Czy powszechność jest miarą prawdy?” – zadał sobie pytanie, którego się nauczył na wykładach z logiki. Odpowiedź negatywna przyniosła mu uspokojenie. Usunął te głupstwa o bogu i biologii ze swego umysłu. Ale tylko na chwilę, jak się okazało.

Kiedy bowiem przeglądał dziś serwis prasowy, jego wzrok przyciągnął krzyczący czerwienią tytuł: „Zagłada jest bliska!”.

A więc koniec świata został ogłoszony, w dodatku dokonał tego konkurent, i to najbardziej niebezpieczny. Hendrigo Psiuk zawzięcie kontynuował czytanie artykułu.

„Wyczerpują się nasze zasoby energetyczne – mówi profesor z Instytutu Wiedzy. – Nie znamy jeszcze przyczyny tego przerażającego zjawiska, być może w odległej galaktyce otworzyła się biała dziura i wsysa wszystko”. W pierwszym akapicie przytoczono słowa naukowca, co rozwiało wątpliwości. Toteż mógł sobie darować lekturę całego tekstu. Zresztą nie było chwili do stracenia.

„Pewnie już zebrali plotki o bogu i zagładzie i zamieszczą je w następnym serwisie” – pomyślał.

Musi ich wyprzedzić, bo to on jest najlepszy. Zerwał się od czytnika i natychmiast poszedł do laboratorium.

I oto wciąż czeka na odpowiedź z góry, od tego, który był biologiem, a więc rzekomo bogiem nowej dziedziny wiedzy. Hendrigo Psiuk jako wybitny dziennikarz miał umysł otwarty na nowości, ale również na miłą wyczuwał głupotę swoim słynnym nosem. Nie wierzył w istnienie materii biologicznej.

Nagle wydarzyło się to, czego już od pewnego czasu się obawiał: poczuł lekkie swędzenie na przegubach obu rąk. Był to znak, że zmagazynowana energia wyczerpuje

się. Kiedy jej poziom spadnie do zera, skończy się jego życie. Uświadomił sobie, jak było krótkie. „Skąd to wrażenie?” – zastanawiał się. Przypominał sobie, jak je przeżywał. Czas wypełniała mu nie tylko praca. Choć osiągnął tak wysokie szczyty, zużył na karierę może parę procent swojej energii. Pozostałą resztę wydatkował na przyjemności. Bawił się i ucztował codziennie, czy raczej co noc do białego świtu. W eleganckich restauracjach stoły ugięły się pod wymyślnymi potrawami i napojami. Nie żałował sobie niczego, folgował we wszystkim.

Kiedy na środek parkietu wbiegały piękne rozebrane tancerki, wybierał te, które będą do niego należeć, i zamglonym wzrokiem oglądał w swej erotycznej wyobraźni podniecające układy, w których nie będzie się oszczędzał. Nad ranem był wyczerpany, ale jakże szczęśliwy. Nie znał umiaru. Powtarzał sobie z radością, że dziewczyny nazywały go swoim słodkim okrutnikiem, którego siły seksualne nigdy się nie wyczerpywały. Co noc dowodził im, że mają rację. Jednak nadmiar wszelkich przyjemności szybciej zużywał jego energię, której zapas był ściśle określony.

Patrzył teraz na swoje przeguby i wciąż je pocierał, czując swędzenie. Przypomniawsobie przewodnika po spelunach i jego gest zacierania rąk. Sądził, że tak wyraża radosne oczekiwanie na zapłatę, za którą kupi sobie puszkę z płynną energią. Teraz inaczej postrzegał te ruchy. Czuł swędzenie i zbliżające się dno w zbiorniku energii. Teraz i on zapragnął ją uzupełnić napojem. „A może to naprawdę regeneruje?” – pomyślał z nadzieją.

Potał znowu ręce, gdyż poczuł, jak wskaźnik poziomu energii się obniża. Ogarnął go strach, chciał się jakoś ratować, szukać zastrzyku energii. Był pewien sposób, ale przerażający. Dotychczas wierzył, że nigdy nie zostanie zmuszony do tego, by go użyć. Teraz jednak, w chwili zagrożenia, gotów był na wszystko. Chodziło tu o pewien sposób wymiany: życie za życie. Potrzeba zatem kogoś, komu życie można by zabrać. On nie miał nikogo takiego. Nie zabezpieczył się, chociaż słyszał, że inni okazali się bardziej przewidujący i okrutni. Czy znajdzie w sobie tyle sił, by odwiedzić Piekło i dokonać wymiany? Otrząsnął się z tych myśli. Postanowił oszczędzać energię, może mu starczyć jeszcze na długo, jeśli przestanie ją trwonić jak dotychczas.

Tak bardzo chciał żyć! Chociaż pragnął szaleć i zażywać wszelkich przyjemności, dostępnych dla ciała, nie wolno mu tracić energii na nic innego poza podtrzymywaniem życia, które mogło się w każdej chwili skończyć. Skupił się więc na czekającym go wywiadzie i nagle doznał olśnienia! „Tak, oczywiście, ależ to jest genialne pytanie” – pomyślał.

Wpadł na pewien pomysł; musi zapytać biologa o coś istotnego, co się wiąże z życiem tutaj, w ich cywilizacji. Czy biologia może mieć jakikolwiek związek z energią? Mówiąc dokładniej, czy może mieć na nią wpływ? Bo jeżeli ma i może powodować zmianę jej zasobów, oczywiście chodzi o ich odnawianie, to wtedy rzeczywiście cały wywiad nabrałby innego sensu. I gdyby odpowiedź była pozytywna

– Hendrigo aż drżał z radosnego podniecenia – wówczas: witaj życie. Mógłby dostać tyle energii, ile by tylko zapragnął. I mógłby używać, szaleć, nie zachowując żadnego umiaru. Może inni również wpadli na ten pomysł i dlatego biolog znalazł się na ustach wszystkich, a nawet w serwisie konkurencji?

Pewna myśl cieniem przemknęła przez jego twarz. Postanowił wy badać biologa pod kątem interesów, jakie mógł prowadzić. A nuż był oplątany pajęczą siecią różnych zależności, finansów i wpływów? Nie żył przecież w izolacji, musiał czerpać z jakiegoś źródła fundusze na prowadzenie swoich badań. Wykonywał przecież jakieś eksperymenty, potrzebował do nich materiału... Kto za to płacił?

Wtem doznał drugiego olśnienia. Przypomniawszy sobie serwis wiadomości z dzisiejszego ranka. Konkurencja pisała o wyczerpywaniu się zasobów energetycznych. Otwartą dłonią Hendrigo uderzył się w czoło. Oczywiście wiedzą o biologu, skoro wszyscy o nim mówią. Wysłali przecież swojego dziennikarza śledczego, by zebrał informacje. Wiedzą więc wszystko, być może więcej niż on. A dlaczego zaczęli o tym pisać tak ostrożnie? To jasne! Ależ z nich cwaniacy. Tacy potrafią kręcić maszynką do produkcji pieniędzy. Zamierzają napisać cały cykl artykułów o biologu i o jego eksperymentach. Będą w ten sposób podtrzymywać zainteresowanie czytelników i zwiększać nakład gazety. Napisanie w pierwszym artykule o grożącej zagładzie to sprytny zabieg marketingowy. Wzbudzili przerażenie, wszyscy więc z niepokojem będą oczekiwać następnego wydania. Cały nakład wyprzeda się w ciągu dziesięciu minut jak ciepłe bułki.

Hendrigo uśmiechnął się do siebie. Bo przecież on tu był w tej chwili, a nie dziennikarz z konkurencji. Trzeba więc solidnie wypytać o wszystko tego biologa, no i zabezpieczyć swoje prywatne interesy.

Tylko jak z nim gadać, skoro ani go nie widać, ani się nie odzywa? Może nie żyje? Jeżeli platforma została zawieszona na linach, mógłby za nie pociągnąć i spuścić ją na dół. Jednak ledwo zaczął badać ją wzrokiem, gdy usłyszał w korytarzu energiczne kroki zbliżające się do drzwi.

Osoba była już blisko. Dziennikarz wpatrywał się w drzwi w skupieniu, ogromnie ciekawy, jak wygląda biolog, nazywany bogiem, który narobił tyle zamieszania na mieście. Kroki umilkły i długą chwilę panowała cisza. Niepokój Hendrigo sięgał zenitu. Poczł, że się poci, czując na zmianę strach i nadzieję, bo jego życie albo się wkrótce skończy, albo otrzyma nieograniczone zasoby nowej energii. Już miał ochotę podbiec do drzwi, chwycić za klamkę, otworzyć je szeroko i wciągnąć za kołnierz każdego, kto się ukrywał na korytarzu. Chwilę jeszcze się wahał, ściskając dłońmi blat biurka, a tamten stał za drzwiami i nie wchodził. Obawiając się, że zawróci w głąb korytarza, Hendrigo zerwał się i już stał przy drzwiach, sięgał ręką klamki, podekscytowany i dziki, by w ostatniej chwili przypomnieć sobie, że musi się opanowywać, by nie tracić energii, której na emocje zużywał najwięcej. Pochylił się,

skupił... Drzwi otworzyły się gwałtownie i dostał klamką w zęby – chwyciwszy się za usta, zrobił krok wstecz.

W drzwiach ukazała się kobieta. Była wysoka, okazała i wspaniale zbudowana. Mimo bólu ogarnął zachwyconym wzrokiem jej kształty. Uznał je za cudowne. Nigdy jeszcze nie widział tak idealnie zbudowanej istoty. Od kształtnej głowy, poprzez gładkie, okrągłe ramiona, aż po wysoko ustawione piersi, wąską talię, rozłożyste biodra, dorodne uda, smukłe łydki i wąskie stopy – wszystko zostało stworzone według cudownej złotej miary piękna, erotyki i miłości.

Cofnął się o dwa kroki, by podziwiać kształty pięknej kobiety. Choć nadal odczuwał uderzenie klamką, starał się nie pokazać słabości. Nigdy nie widział tak bujnego, a jednocześnie proporcjonalnego ciała. Oblekała je równie oszałamiająca skóra: lekko złotawa, bardzo jędrna, aksamitna i na pewno gładka w dotyku. Zapragnął pogłaskać tę skórę, przesunąć dłonią po wszystkich cudownych krągłościach, z gwałtowną ochotą chciał pokazać kobiecie swoje możliwości. Pożądanie objęło go niespodziewanie silnym płomieniem. Usiłował go zdusić, wiedząc, że spala jego energię, wysysa ostatnie jej krople. Chciał się ratować, przedłużać swoje życie, ograniczając pragnienia ciała, a jednocześnie mówił sobie z lekceważeniem: „a co mi po takim życiu”. Po sekundzie jednakże znowu pragnął żyć, i to intensywnie, i chciał mieć tę kobietę.

Chłonał widok jej kształtów, wciąż walcząc ze sobą. Otulała ją dziwną tkaniną, jakby futro zwierzęcia, biegnąc na skos od ramienia, odsłaniając górną połowę piersi, boki bioder i niemal całe nogi.

Kim jesteś? – już chciał zapytać. Ale powstrzymała go myśl, że być może przysłała ją konkurencja, by zniweczyć jego wywiad i zniszczyć karierę. Nie mógł się jednak oprzeć urokowi tej kobiety i nie wiedział, jak się bronić.

Rozglądała się po całym laboratorium, ale na nim nie zatrzymała wzroku. Jakby był niewidzialny. Bardzo go to zdziwiło. Patrzył prosto na nią, jej spojrzenie prześlizgiwało się po nim, ale nie błysnęło w nim rozpoznanie, zrozumienie, jakikolwiek znak, że go zauważyła.

Postanowił więc zrobić eksperyment. Podeszedł blisko i stanął naprzeciwko kobiety, wpatrując się intensywnie w jej oczy. Patrzyły na dziennikarza, ale go nie widziały. Przesunął ręką przed jej twarzą, pomachał kilkakrotnie, lecz nie zareagowała. Podniósł ramiona i obracał nimi jak skrzydłami wiatraka – również bez skutku. Chodził wokół niej, przysuwał się coraz bliżej. Ona nie zwracała na niego uwagi; on nie mógł już powstrzymać podniecenia. Stanął tak blisko, że dotykał torsem brodawek jej piersi, czuł płynący od nich żar, zdolny wypalić jego energię. Kobieta jednak nadal go nie zauważała. Potem zawołał do niej, wykrzykiwał różne słowa, rzucał przedmiotami, lecz nic nie osiągnął.

Kobieta najwyraźniej czegoś szukała. Na jej twarzy pojawił się wyraz niepokoju.

Otworzyła usta i szybko wdychała powietrze. Na jej skórze perliły się krople potu. Było jej bardzo gorąco. Wachlowała się rękoma, lecz w żaden sposób nie mogła obniżyć temperatury swojego ciała.

Wreszcie w niewielkim basenie dostrzegła zieloną ciecz. Była to woda zaczerpnięta z oceanu, którą biolog zapewne zgromadził tu dla swoich eksperymentów. Ledwo ją zobaczyła, klasnęła w dłonie i roześmiała się. Usiadła na brzegu basenu i zanurzywszy ręce, zaczerpywała wodę, polewając nią szyję i piersi, co sprawiało jej wyraźną przyjemność. Potem włożyła nogi do basenu i wciąż siedząc na jego ocembrowaniu, chłodziła się w wodzie z oceanu.

Ten widok przeraził dziennikarza. Nigdy nie pozwalali, aby oceaniczna ciecz dosięgnęła choćby końca ich palców. Odczuwali silny wstręt. Wiedzieli, czym jest ta woda. Niedawno przekonał się na własne oczy, co potrafi. Strawiła zwłoki! A ta piękna kobieta wciąż się nią polewała, chłodząc swoje rozpalone ciało. Krople pozostawały na jej skórze, ale tylko przez chwilę, po czym znikwały, zamieniając się w parę. Hendrigo obserwował jej zabawę z niemijającym strachem. Obawiał się, że woda zaraz zacznie rozpuszczać jej ciało, które będzie się topić niby kawałek lodu zanurzony we wrzątku. Chciał ją ostrzec, ale przecież w ogóle go nie słyszała. Wpatrywał się więc przerażonym wzrokiem, oczekując chwili strasznej destrukcji. Jednak kobieta wciąż się polewała zieloną wodą z oceanu, przeciągając się z ulgą.

Nagle rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. Okno samo się otworzyło, jednym skrzydłem uderzając o ścianę; posypały się kawałki szyby. Kobieta odwróciła się w tę stronę i spojrzała na widoczny za oknem zielony ocean. W jej oczach zalśniła radość, a ręka polewająca wodą ramiona poruszała się, jakby chwytając wiatr. Podniosła głowę i wystawiła twarz na chłodne powiewy powietrza. Przynosiły jej ulgę, krople wysychały na gładkiej skórze. Wyraźnie zmniejszył się żar, który odczuwała i była zadowolona.

Hendrigo obserwował ją ze zdziwieniem; wszystko świadczyło bowiem o tym, że jej zmysły działały prawidłowo: widziała i słyszała. Ruchy dłoni chwytającej wiatr zza okna dowodziły, że miała również zmysł dotyku. Dlaczego go nie widziała, choć stał obok niej? Dlaczego nie słyszała jego głosu, choć mówił tak głośno? Czemu nie czuła jego bliskości, gdy ocierał się o nią?

Musiał porozumieć się z biologiem i zapytać go o wszystko; jednak platforma wciąż wisiała pod sufitem i panowała tam cisza.

Naraz ponad szklanym biurkiem pojawiły się obrazy, przypominające drgające świetliste sześciany, i stały jeden na drugim, całymi warstwami. To uruchomiły się wreszcie aplikacje, które włączył, chcąc przeczytać notatki biologa i znaleźć w nich jakieś wskazówki. Były to przerażające obrazy tortur zakończonych śmiercią. Pokazywały sposoby, w jaki zabijano bogów w różnych czasach i miejscach. Widać, że biolog studiował dogłębnie ten aspekt historii, sprawdzając, co jest mu pisane. A może dobrowolnie wybierał sobie rodzaj śmierci. Czyżby sposób był taki ważny?

Hendriego zauważył również komentarze biologa pod każdą ze scen. „Czasy prymitywne i prostackie miały bogów-wojowników. Ginęli oni w walce wraz ze swoją drużyną. Charakter tak zwanego boga, jego mściwość, gwałtowność, okrucieństwo były w istocie cechami danej epoki, która się wyrażała w jego zachowaniu i myśleniu. Nadchodzące czasy potrzebują boga, który będzie uosobieniem odmiennych wartości”.

Nie zdążył przeczytać, jakie to powinny być wartości zdaniem biologa, gdyż na obrazy nałożyły się inne, zasłaniając je i spychając. Zobaczył sam środek targowiska, które przecież zajmowało cały ich świat. W niektórych miejscach był to rynek, w innych agora, w zależności od spełnianej funkcji.

Nagle poczuł silny ból dłoni. Sądził, że zaraz minie, bo jest złudny lub przypadkowy i nie oznacza wyroku, nie ostrzega przed tym, co ma się stać. Ból jednak nie ustępował. Skupił się na nim, usiłując go odegnąć. Nic z tego. Ogarnął go strach przed tym, co zostanie oznajmione. Będzie to wyrok nieodwołalny i nawet on, wielki dziennikarz, nie posiadał mocy, by go zmienić. Zdecydowawszy się, wyciągnął ramiona przed siebie; chciał patrzeć na to, co się dzieje. Czynił to pełen przerażenia, którego nie mógł opanować. Rozprostował palce i wbił wzrok w swoje dłonie.

Za oknem zabłysła zielona błyskawica i uderzyła w wodę oceanu, roztopiając się w niej i niknąc. Dziki ogrom przyciągał wzrok. Ciemna, gęsta ciecz wciąż tworzyła fale. Ruch był sztuczny, nie wywoływały go wewnętrzne prądy życia. Nie mieli co do tego żadnych wątpliwości. Udowodniła to ich nauka. Teoria poświadczona eksperymentem nie mogła się przecież mylić. Ocean był martwy, a jednak szalał; jego skołtunione fale waliły o brzegi.

To oni wywoływali ten ruch. Po zakończeniu życia ich fizyczna materia wpadała do oceanu. Jakże był teraz niespokojny! Ileż więc ciał teraz pożerał, skoro reagował z taką gwałtownością. Oglądał obrazy na szklanym blacie biurka będącym monitorem.

Targowisko właśnie trwało. Rynek został przegrodzony w poprzek stołem. Za nim rozsiadł się bankier, a po przeciwnej stronie tłoczyła się kolejka ludzi wyciągających ku niemu ręce ponad głowami stojących przed nimi. Każdy chciał być pierwszy. Bankier podniósł obojętny wzrok na mężczyznę, który akurat zdołał się do niego dopchać.

Ledwo spojrzał, odsunął go ramieniem.

– Nie masz już nic! Właśnie skończyło się twoje życie. – Odwrócił się ku następnemu w kolejce.

– Dam ci moją żonę! – krzyknął odepchnięty.

Bankier skinął obojętnie głową, a mężczyzna pochylił się i przeszedł pod jego łokciem. Ciągnął za sobą piękną kobietę. Płakała głośno, żegnając się ze światem.

– Ona już nigdy nie będzie żyła – ostrzegł bankier.

– Ale ja tak! – zawołał z radością mężczyzna.

Bankier uczynił przelew energii, mężczyzna odbiegł z radością, a jego żona znikła.

Nad oceanem zabłysła zielona błyskawica i wpadła w gęstą wodę.

Po kolei podchodzili inni: rodzice sprzedawali swoje dzieci, synowie handlowali życiem ojców. Zielone błyskawice wciąż były w wodę.

Bankier nie podniósł nawet oczu na dziennikarza, gdyż nie było wyjątków, a obok Hendriga nie stał nikt, kto chciałby poświęcić dla niego swoje życie. I wtedy przypomniał sobie o tym, którego na mieście nazywali bogiem. Zamknął obraz Piekła i skupił się z powrotem na laboratorium.

Wbił wzrok w brzeg platformy. Nikt tam jednak nie stał, trzymając się jedną ręką liny, jak samobójca na krawędzi dachu. Biolog wciąż był zajęty jakąś nagłą czynnością w głębi platformy. Nie zbliżył się na krok do jej brzegu, nie uczynił tej łaski.

Platforma nadal wisiała wysoko, gdy naraz spod sufitu popłynął głośny krzyk. Słychać było również łomot, jakby twarde pięści waliły o klatkę piersiową. Czyżby tamten wyrażał radość tak samo, jak czynią to prymitywne zwierzęta? Może tak samo jak one wygląda?

Kudłata głowa wychyliła się poza krawędź i zaraz cofnęła.

– Uważaj, zjeżdżam!

Platforma opuszczała się powoli. W pewnej chwili stanęła i znowu rozległ się wrzask. Brzmiało w nim jednak zniecierpliwienie, coś działo się nie po myśli kudłacza. Odezwały się odgłosy, jakby coś montował. Wreszcie platforma znowu zaczęła się obniżać i po chwili zatrzymała się tuż nad podłogą. Była prostokątna, zawieszona na czterech linach. Dwóch z nich, stojąc na brzegu platformy, trzymał się biolog, nazywany na mieście bogiem.

Dziennikarz z trudem stłumił śmiech, który nim targnął mimo jego sytuacji.

Tuż obok, wciąż jednak nieco wyżej od Hendriga, stał karzeł. Jego długie ręce sięgały za kolana. Dłonie zacisnął w pięści i to nimi zapewne walił się przed chwilą po szerokiej kłacie, wyrażając w ten sposób radość, kiedy dokonywał jakichś manipulacji, wisząc pod sufitem. Ciekawe, co robił? Dziennikarza wciąż pobudzała zawodowa ciekawość.

Głowę karła otaczała aureola gęstych, skołtunionych włosów, których z pewnością nie miał czasu pielęgnować, pochłonięty swoim dziełem.

– A cóż to? – zapytał dziennikarz.

Za plecami karła stał pokaźny cylinder ze szkła. Z pokrywy wystawały śruby, które właśnie dokręcał, gdy platforma zatrzymała się w trakcie zjeżdżania. W szklanym pojemniku siedział w kucki nagi mężczyzna. Dziennikarz poczuł coś dziwnego; czaiło się, gotowe do skoku.

– To moje dzieło! – odrzekł z dumą kudłaty.

– Na to dostałeś tak wielkie pieniądze?!

Karzeł wciąż prężył się dumnie.

– Czy sądzisz, że wszyscy się myślą? – wrzasnął. – Mówią o mnie kreator, biolog.

– Jeśli ujawnię w prasie twoje oszustwo – odkrzyknął dziennikarz – nie dostaniesz więcej ani grosza!

– To jest nowa idea! Właśnie uzyskała wcielenie. – Karzeł wskazał cylinder.

– Niczym się od nas nie różni! Złapałeś go na rynku i zamknąłeś w cylindrze, uśpiwszy wcześniej. Usiłował się wydostać, gdy byłeś na platformie, dlatego dokręcałeś śruby, prawda? I próbujesz mi wmówić, że to jest nowa istota biologiczna, a ty jesteś jej stwórcą?

Dziennikarz był tak rozgniewany z powodu oszustwa i zniweczenia nadziei na kolejne wcielenie, że przyskoczył do biologa i pochwyciwszy go za szyję, ścisnął z całej siły. Gotów był go zabić, udusić własnymi rękoma, zamordować bez wyrzutów sumienia. Chciał nowego życia, kolejnego wcielenia, żywił nadzieję, bardzo nikłą jak pętelka na przegubie, ale ją miał.

– Ocean materii życiowej – wyszeptał biolog. – Dla was, dla ciebie. Nad tym pracowałem. Chciałem połączyć dwie energie w jednej istocie. Naszą i biologiczną.

Dziennikarz opuścił ręce i oprzytomniał.

– Czy wiesz, z czego powstał ocean? – zapytał z przekąsem, podkreślając w ten sposób głupotę rozmówcy. – To ścieki, wielka kałuża gnojówki – wyjaśnił takim tonem, jakby mówił „ty durniu”.

– A jeśli ożywię materię? – zapytał karzeł.

– Wtedy oczywiście będziesz bogiem! – rzekł z pogardą. – Ale to niewykonalne! Udowodniła to nasza nauka.

– Jestem bogiem! – wrzasnął karzeł. – Obalę naukę.

– Nie damy ci na to pieniędzy!

– A chciałbyś dostać jeszcze jedno życie? – zapytał karzeł.

„Czyżby ta kreatura czytała w myślach?” Z drugiej strony nietrudno było odgadnąć, czego potrzebował, wystarczyło spojrzeć na przeguby jego rąk. Wciąż się wahał, czy przyznać kudłaczowi boskie atrybuty. I jakie w ogóle powinny być te atrybuty?

Biolog zeskoczył z brzegu platformy. Uczynił to tak niezręcznie, że nieomal otarł się o elegancką kamizelkę dziennikarza. Patrzył na niego przenikliwym wzrokiem, podczas gdy ten strzepywał nieistniejący brud, którym karzeł mógł go poplamić.

– Masz rację, tego nie widać. – Twórca uczynił aluzję do niewidocznych pyłków biologii. – Ale one są. – Podeszedł do okna. – Ocean składa się z cząstek małych i niewidzialnych. Każda jest życiem.

– Głupstwa! – Dziennikarz wciąż czyścił swą kamizelkę, szu, szu, szu, czyniąc szybkie ruchy dłonią.

Karzeł pochwycił go nagle za tę rękę i pociągnął ją ku sobie. Wysunęła się z mankietu koszuli, odsłaniając przegub. Czarna pętelka, chociaż cieniutka, była wyraźnie widoczna. Unieruchomił rękę dziennikarza w swoich potężnych łapach. Trzymając ją mocno i odwracając wnętrzem dłoni ku górze, spojrział mu w oczy.



– Żyje się tylko raz! – powiedział ironicznie.

Dziennikarz usiłował wyrwać rękę, ale uścisk był zbyt silny.

– Na pewno odwiedziłeś już Piekło! Skoro tu wróciłeś, nie masz nikogo na handel wymienny.

Puścił jego rękę, która opadła i już nie drgnęła.

– Nikt nie chce umrzeć za ciebie – dodał.

– Wiesz, jak kończą bogowie – mruknął złowieszczo dziennikarz. – Więc może ty?

– Chcesz mnie zabić? Próbowałeś!

Uczył szybki ruch ręką.

Zabrzmiała słodka muzyka i wielkie drzwi w ścianie otworzyły się szeroko. Wesoły korowód chłopców i dziewcząt wtoczył się do sali. Rozłożyli obrusy na podłodze, obok nich rozścielili miękkie maty. Już zajęli miejsca i z koszy wydobyli półmiski z potrawami; odkorkowali karafki i butelki z kolorowymi nalepkami. Rozpoczęła się uczta. Pachniały potrawy, bulgotały nalewane alkohole, dźwięczały wesołe śmiechy. Dziennikarz patrzył z zachwytem na ponętne ciała dziewczyn spoczywające w objęciach mężczyzn. Potem przeniósł wzrok na obrusy zastawione półmiskami z wykwinnym jedzeniem. Wciągnął w nozdrza wonie unoszące się znad smakowicie wyglądających potraw.

– Chodź! Pokażę ci moje dzieło. – Karzeł długim ramieniem odciągał go od półmisków.

Leżąca na macie pulchna brunetka obróciła się ku stojącemu mężczyźnie i zaśmiała krótko. Dziennikarz nie mógł oderwać wzroku od jej ponętnych kształtów. Stwórca wciąż go pociągał ku sobie, lecz bez trudu strząsnął jego rękę. Co było dziwne, lecz się nad tym nie zastanawiał.

Nieważny był karzeł, nazywany bogiem, nieważne było jego dzieło. Chciał doznawać przyjemności życia jak wszyscy w jego cywilizacji. Były warte każdej ceny.

Podszedł szybko do pulchnej kobiety i położył się obok niej. Biolog zagadnął mężczyznę siedzącego nad koszem pełnym jadła:

– Wstań, by obejrzeć moje dzieło.

– Oto piękny kawałek sera – odrzekł smakosz. – Nie jest ani zbyt miękki, ani za twardy.

Uniósł kawałek sera do ust i wciąż przyglądając się jego cienkiej skórce, pokrytej pleśnią, odgryzł kęs w zachwycie.

– Chodź ze mną obejrzeć dzieło geniusza – nalegał biolog.

– To jest dzieło geniusza – zachwycił się koneser, wpatrzony w ser. – O tym warto pisać poematy.

Stwórca podszedł z kolei do młodzieńca tulącego dziewczynę.

– Pokażę ci coś nadzwyczajnego!

Młodzieniec, zajęty całowaniem dziewczyny, tylko pomachał odmownie ręką.

– Nie ma nic wspanialszego od rozkoszy zmysłów – wtrącił się dojrzały mężczyzna, który obejmował ramieniem senną kobietę. – Piękno i kultura są ich wytworem. Nikt za tobą nie pójdzie.

Zwrócił się do dziennikarza, by go sprawdzić.

– Widziałeś na własne oczy, przedstawiłem ci dowód.

– Jaki? O co ci chodzi?

Zaspokojony dziennikarz, odpoczywając obok pulchnej kobiety, trzymał na brzuchu opróżniony do połowy kieliszek.

– Widziałem, że nikt się nie zainteresował twoim rzekomym odkryciem.

– Zużywają swoją energię na przyjemności wynikające z posiadania ciała.

– Twoje poświęcenie i wyrzeczenie się radości cielesnych, przyjęcie postaci obrzydliwego karła o nędznej powłoce, są tylko stratą czasu – rzekł. – Twoje działania okazały się niepotrzebne. Obsmaruję cię publicznie i zamkniesz laboratorium.

– Jeszcze nie wierzysz, że jestem biologiem?

– Cóż za brednia! Jakies nowe słówko. Nic takiego nie istnieje.

Biolog uczynił delikatny ruch ręki, a towarzystwo uczujące na podłodze nagle jak zahipnotyzowane odstawiało kieliszki, zwijało maty i podnosząc się, zabierało półmiski i wazy, by zniknąć za drzwiami.

– To nie był żaden dowód – rzekł dziennikarz, wstając. – Tak wygląda nasza cywilizacja. Każdy pragnie wcielenia, by używać.

– Ta cywilizacja ginie.

– Czy naprawdę sądzisz, że to folgowanie przyjemnościom ciała ją zabija? – zapytał zaczepnie dziennikarz.

– Widzę, że naprawdę nie rozumiesz biologii – zaczął uczyony. – Przyjemności będą jego silną obroną: dając radość, spowodują, że jego ciało zapragnie żyć i się powielić nieskończoną ilość razy.

– Dlaczego więc my ginimy?

Właśnie w tej chwili mężczyzna siedzący w kloszu zaczął walić pięściami w szybę, by się wyzwolić.

– Nie ma czasu! Śruby nie wytrzymają. Trzeba się spieszyć! – wołał biolog.

– Skąd ma tę siłę? Z czego został wytworzony?

Biolog wskazał na ocean.

– Z materii biologicznej.

– Chyba skończymy ten wywiad, abys bardziej się nie kompromitował. Nie mogę przecież opublikować tych bredni. Rozpowszechnianie ich jest szkodliwe.

– Giniemy, bo obieg naszej energii jest skończony i ograniczony – uczyony kontynuował swoją myśl – znikąd nie czerpiemy energii, tylko ją sobie przekazujemy.

– Musisz mi to udowodnić – powiedział dziennikarz. – Pokazać, że jest to możliwe.

– Nie rozumiesz, że daję naszej cywilizacji możliwość odnowy?

Ponad wodami zabłysła potężna błyskawica. Pojawiła się na niebie, rozświetliła je, znieruchomiła, lśniąc chwilę, po czym zniknęła w głębi. Uczony podniósł ramiona, wołając:

– Kończy się nasza cywilizacja. Nawet Piekło się wyczerpało.

Mężczyzna w cylindrze zaczął odkręcać śruby od wewnątrz. Jeszcze chwila i się wydostanie.

– Nie możemy na to pozwolić! – wołał biolog. – To model eksperymentalny. Sama dzika biologia. Następny miał być ideałem: połączeniem biologii z energią naszej cywilizacji.

Dwie śruby były już na wpół odkręcone.

– Musimy go zniszczyć! – krzyczał biolog.

Dziennikarz uświadomił sobie, że to ostatni moment. Musi uratować ich cywilizację. Ten oszust gotów bowiem rzeczywiście wypuścić strumień biologii, wytworzyć wiele istot takich jak ta w cylindrze i wcielić ich, będących pięknymi bytami energetycznymi, w te potwory wyprodukowane z gnojówki. Rozkładająca się, cuchnąca materia zaleje ich świat. Ten biolog, czy jak mu tam, bóg, planuje zniszczyć wszystkich. Musi więc go zabić, by do tego nie dopuścić. Teraz, gdy jego gniew minął, zrozumiał, jakie to trudne.

Ocean za oknem poruszał się gwałtownie, jakby coś przeczuwał.

– Jestem gotów umrzeć za swoje dzieło – powiedział nagle uczony.

– Chodźmy do Piekła. Dobijemy targu – zaproponował Hendrigo. – Dostanę twoją energię.

Biolog stanął przed nim i patrzył mu prosto w oczy.

– Uczynisz to, choć wiesz, że to moje ostatnie życie?

W istocie rzeczy badał siłę i trwałość zasad moralnych panujących w tej cywilizacji. Dziennikarz uosabiał je przecież i wyrażał.

Ten jednak odwrócił się ku oknu, nie patrząc na biologa, i wsunął ręce w kieszenie.

– Odrodzisz się, jeśli twoja teoria jest prawdziwa – rzekł obojętnie. – Przecież chciałeś za nią umrzeć.

– Ale nie za ciebie.

Dziennikarz wciąż gapił się w okno i wydawał się znudzony.

Ocean szalał, on jednak nie zwracał na to uwagi. Myślał jednak wyłącznie o tym, że na jego przegubie pojawi się purpurowa pętelka i otrzyma nowe wcielenie. Kolejne życie, które będzie wypełnione radością, bo tak ma być. Ukrywał swoje pragnienie; w istocie jednak prowokował biologa, zostawiając mu wolny czas i pustą psychiczną przestrzeń na podjęcie decyzji. Tak ujawniała się jego cecha wytrawnego gracza w pojedynkach z innymi. Walczył teraz o swoje życie, udając, że drogie są mu nadrzędne cele.

Biolog, nazywany bogiem, stanął przed oknem, twarzą do oceanu. Uniósł ramiona w

górze i rozłożył je szeroko, jakby ściągał na siebie silne energie. Swój płonący wzrok skierował na ocean. Zakotłowały się jego wody, wystrzeliły w górę gejzery białej piany, uderzyły w siebie fale. Jakby odpowiadały na wezwanie swego stwórcy, nie rozumiejąc jeszcze dokładnie, co się dzieje, gdyż ocean był zwierzęciem wypełnionym emocjami, podświadomością, która nie mówi, ale czuje.

Nagle drugie skrzydło okna uderzyło z wielką siłą o ścianę. I pękło z trzaskiem, a szkło posypało się na podłogę. Ocean podniósł się tak wysoko jak nigdy dotąd. Sięgał aż do parapetu i jego wody mogły wpłynąć do wnętrza laboratorium, jednak nie uczyniły tego, lecz cofnęły się, tworząc gigantyczny wir fal i szalejącej energii.

A on stał naprzeciwko tych potęg z rozłożonymi ramionami, wiatr rozwiewał mu włosy. I wtedy z oceanu wystrzeliła gigantyczna błyskawica. Uderzyła w górę, rozbłysła potężnie, niebo pękło, a blask rozjaśniał je i drgał w odnogach błyskawicy jak w potężnym krwiobiegu światła. Otoczyło ono biologa aureolą jaskrawego blasku. Jego sylwetka znikła, roztopiając się w jasności. Energia zamieniła się w kulę i wystrzeliła z wielką siłą, pędząc przed siebie – by uderzyć w wodę.

Wówczas ocean rozjaśnił się aż do dna i był biały, i przejrzysty, drżący, wypełniony inteligencją i geniuszem biologa, nazywanego bogiem, który stał się nim właśnie naprawdę, poświęcając się za drugiego człowieka, choćby był marny, i za całość ludzkości, i za wszystko, co jest.

W tej chwili rozległ się głośny trzask: to pękł od światła szklany cylinder. Ale kucający w nim mężczyzna i tak odkręcił ostatnią śrubę. Potem jednym uderzeniem pięści rozwalił resztki szklanej osłony.

Dziennikarz wyszarpnął ręce z kieszeni i uniósł je do oczu. Z szaloną nadzieją wypatrywał purpurowego paska. Zaraz się wcieli w nowe życie. Wbijał wzrok we własne ręce, nie widząc niczego więcej.

# Apostoł

Siewca wrzucał w ziemię szare grudy. To był rytuał. Miał ich ocalić. Zapładniał ziemię, rozwartą rozkosznie i chętną. Leniwie jednak sięgał w głąb płachty, obwiązanej wokół ramienia i bioder. Niedbale gmerał paluchami w mokrych grudach, by oddzielić twarde kawałki. Gdy zdołał je wydobyć z kleistej masy, jego palce niestaramie oczyszczały je z błota, dłoń się zaciskała, a ramię wynurzało z płachty.

Siewca unosił je do góry i siup! Rzucił kawałki przed siebie. Upadały na ziemię sklezione po kilka. Tu i ówdzie, nieregularnie, jedne rzadziej, inne zbyt gęsto, co było niebezpieczne.

Tłusta ziemia rozchyłała swoje skiby i wchłaniała grudy w ochocze łono. Skiby od razu się sklejały. Siewca wkładał ramię do ciężkiej płachty, gmerał paluchami, wyszukiwał porządniejsze kawałki, oczyszczał, zaciskał pięść i znowu podnosił ramię. Rzucił okruchy pomiędzy dwie następne skiby, rozwarłe nieprzyzwoicie i szeroko. Wpadły, trafiając w łono ziemi – dwie skiby przywarły do siebie.

Płachta jednak mu ciążyła. Był niewyspany. Rozpoczął zasiew przed świtem. Ziewnął, powieki opadły mu na oczy, toteż kolejna porcja siewna została rzucona poza skibami, które pozostały rozwarłe i niezaspokojone. Siewca tego nie zauważył. Szedł, śpiąc, zapładniając ziemię jak lunatyk. Spragniona, czuła rozdrażnienie. Wzrastało, aż wreszcie: gniew. Tym gorszy, że tłumiony. Siewca znowu ziewnął. Oczy same się zamykały.

Jego paluchy zagłębiane w kleistej masie, ciężącej mu coraz bardziej, nie natrafiły już na twarde kawałki, nadające się do zasiewu. Odwrócił więc płachtę i chlup! Pac! Wywalił całą wstrętą zawartość do wnętrza rozwarłej bruzdy.

To był gwałt. Skiby otworzyły się szerzej, by cuchnąca masa mogła wnikać w głąb. Wsiąkała powoli. Skiby rozchyłały się z wysiłkiem i odrazą. Ziemia nie mogła jednak powstrzymać wchłaniania.

Załomotały ciężkie kroki. Siewca usłyszał tupot nóg, dźwigających z trudem olbrzymie cielsko, i jego powieki uniosły się. Choć nawet przed sobą udawał, że dotychczas pracował starannie, skoczył bosymi nogami w błoto i wdeptywał je w ziemię, a ona kurczyła się z odrazy. Biegący się zbliżał. Siewca czuł śmiertelny strach.

„Zaraz wykryje, co zrobiłem” – pomyślał.

Nadbiegał potworny grubas z wielkim brzuchem. Był zarządcą. W oficjalnej historii zachował się pod imieniem Palladosa, co stanowiło dowód istnienia tej krainy. Jako filozof i poeta pilnował, by materia psychiczna i duchowa wypełniała ich świat. Potrafił być bezwzględny i okrutny. Dla dobra wszystkich.

Dopiero kiedy stanął na miedzy, Siewca uniósł głowę, udając, że właśnie go spostrzegł. Spojrzał i wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. Otworzył usta, by wykrzyknąć: „Co się stało?”. Zaraz jednak je zacisnął, by nie wypsnęło mu się żadne niestosowne słowo.

Jakże Pallados się zmienił! Jego czaszka była łyśa i czerwona. A przecież odznaczał się szczególnie bujnym uwłosieniem: końską grzywą na głowie i małym zarostem na skórze. Wszystko zostało spalone. Na czerwonym i błyszczącym czole widniały dwa purpurowe liszaje po brwiach, niegdyś szerokich i krzaczastych. Ciało i głowa Palladosa zostały poparzone żywym ogniem. Siewca wiedział, co się mogło stać. Znał straszne źródło płomieni. Przeraził się więc jeszcze bardziej.

Mimo oparzenia zarządca musiał przestrzegać form i reguł; on szczególnie. Wyszeptał więc formułkę:

– Pokłon ci, matko.

I pochylił się. Nagle olbrzymi brzuch pociągnął go w dół. Pallados stracił równowagę i runął na glebę. Upadł twarzą wprost w błotniste skiby. Wyciągnął przed siebie ramiona, które ześlizgnęły się na boki i jego nos wbił się w ziemię.

Poczuł zapach. Odrzuciło go, nie mógł jednak wstać. Najpierw uniósł głowę, poruszając nią na boki i próbując otrzeć nos o ziemię. Potem dźwignął się, podpierając łokciem. Drugą ręką wydłubał śmierdzącą breję z nozdrzy i parsknął potężnie, wydmuchując resztki. Chciał się unieść, ale potężny brzuch, obklejony ziemią, przybrał na wadze. Pallados podparł się na rękach i wtedy poszło mu nieco łatwiej. Odpoczął chwilę na łokciach i kolanach, potem ogromnym wysiłkiem woli podrzucił swe cielsko do pionu. Chwiał się jeszcze chwilę mimo szeroko rozstawionych nóg.

Wreszcie stanął stabilnie i od razu wrzasnął:

– Skąd ten fetor?!

Siewca, przygotowując ziarno na zasiew, wziął ze strychu garść starych zębów, nie bacząc, czym są. Może zgarnął zęby świni? Wrzucił je do móździerza i potłukł. Ściągnął ze sznura suszące się prześcieradło. Wysypał na nie z móździerza utłuczone zęby i zaczerpnął błota sprzed progu, by wszystko razem wymieszać. Struga płynęła aż spod chlewu. Niedbale gmerając paluchami, ugniatał błoto z okruchami zębiny, wyklejając nieforemne grudy. Wrzucił te kluchy do płachty, obwiązał ją wokół bioder i poszedł na pole.

– Czy wiesz, jaki dzisiaj dzień? – zapytał groźnie Pallados.

Siewca przygotowywał się na śmierć.

W tej właśnie chwili usłyszeli dobiegające zza horyzontu turkotanie. Jakieś niedopasowane kółko obcierało o krzywą ośkę. Obaj podnieśli głowy i stanęli w postawie wyrażającej szacunek. Niepokoił ich jednak klekot. Helios wyjechał na swym rydwanie, powożąc słonecznymi końmi. Trzymając lejce lewą ręką, prawą ciskał strzały blasku:

– A masz! A niech was!

Rydwan jednak kołysał się na boki. Słońce mimo wszystko wzeszło i rozpoczął się dzień. Pojazd z wysiłkiem wspinał się po łuku. Był poranek. Czy jednak słoneczny rydwan doturla się do zachodu i czym się ów dzień zakończy?

Gorące słońce wysuszyło szatę Palladosa; strzepnął resztki błota.

– Dzień jedyny w roku – wyrecytował swe hopsametry. – Dzisiaj ma się rozpocząć świat od nowa. To dlatego czynimy rytuały. Święto początku.

Siewca kiwnął głową.

– Jeżeli nie uczynimy rytuałów, nie stworzymy przyszłości – recytował Pallados. – Świata nie będzie, nie będzie nas.

Siewca ponownie kiwnął głową.

– Zasiewasz rycerzy z zębów smoka. Z nich powstaliśmy na początku. Kiedy wzejdą, pojawi się siła, waleczność, męskość. Wniosą ze sobą zasady moralne, wszystko co męski pierwiastek uosabia. Bez niego nie będzie równowagi. Upadniemy.

Pallados przerwał na chwilę recytację swych hopsametrów i spojrzał na ziemię. Drżała z gniewu. Coś rodziła.

– Żaden jeszcze nie wschodzi! – wrzasnął. – Nie widać ani czubka łba. Nie przebił się na powierzchnię nawet mały palec! – darł się.

W roku poprzednim starł na proszek tylko sztuczne koronki zamiast porządnych zębów i z ziemi wysunęły się istoty bez szkieletów i mięśni, grube i puste wewnątrz jak lodygi, i gięły się pod ciężarem własnych głów. Musiał je skosić i wrzucić do Otchłani. A teraz w ogóle nic nie wzeszło.

– Zginiemy – rozpoczął kolejny werset hopsametri Pallados.

Dalszy ciąg zagłuszyły odgłosy kroków. Ktoś biegł dość żwawo. Pallados zamknął usta.

Dróżką przez łąkę, wychodzącą z gaju, podążali strażnicy. Dwa grubasy o rumianych pocziwych pyskach. Jeden z nich, jeszcze w biegu, usiłował dopiąć sprzączkę zbyt ciasnego pasa. Wypuszczał oddech i biegł kilka kroków do przodu, nabierając powietrza. Kiedy płuca wypełniły się wonnym powietrzem, lecącym od gaju drzewek pomarańczowych, stawał, wciągał brzuch, ale znowu nie udało mu się trafić w dziurkę pasa.

Jego towarzysz pochylał się, zrywając kwiaty i dokładał je do okazałego bukietu, który trzymał na zagięciu lewej ręki. Nucił sobie coś miłego i sprośnego, powtarzając w refrenie imię: Euforia.

– Jesteście spóźnieni! – ryknął Pallados. – Popatrzcie na słońce, jak wysoko.

Powóz Heliosa dopiero usiłował wspiąć się po łuku nieba. Mimo to poeta ryknął:

– Od świtu powinniście czatować na granicy!

Uśmiechali się głupkowato, usiłując go wyminąć.

– Broń jest? – Pallados wrzeszczał po kaprałsku.

Strażnik z naręczem kwiatów wyjął z kieszeni nóż. Był to srebrny nóż stołowy do smarowania masła. Zupełnie tępy, o zaokrąglonym ostrzu.

– Tym chcesz poderznąć gardło? – wrzeszczał Pallados.

Strażnik pomyślał o masełku, które ten nóż rozsmarowuje grubo na bułeczce, i z łagodnym uśmiechem schował sztuciec do kieszeni. Byli bardzo głodni. Nikt nic nie dostanie do jedzenia, zanim nie wypełnią rytuału. Muszą czatować na granicy, aż schwytają jakiegoś nieszczęśnika. Przyprawdzą go na pole i poderzną mu gardło. Jego krew odżywi ziemię. A ta odzyska siły i będzie im rodzic.

– A te kwiaty? – wrzasnął Pallados do drugiego.

Strażnik milczał. Nie mógł przecież wyznać prawdy. Żaden mężczyzna nie wyjawia takich tajemnic. Marzył o Euforii. Każdy jej pragnął. Euforia, choć ciało miała bujne i dla wszystkich by go starczyło, skąpiła swych wdzięków. Strażnik pomyślał, że zdoła ją choć pomacać, gdy położy na jej piersi tak obszerny bukiet.

– To dla bogów! – pisnął desperacko.

– A tak? Iść mi natychmiast i złożyć je pod posągiem Wenus Dupiastej i potem marsz na granicę. Czatować! – rozkazał Pallados.

Strażnicy odbiegli czym prędzej. Przebierając tłustymi nogami, znikli za dwoma kopcami oznaczającymi granicę.

– Matko Ziemi! – Pallados rozłożył szeroko ramiona. Uniósł głowę i zaczął poważnie odmawiać modlitwę. Ich światu groziła destrukcja. – Wybacz niedbalstwo w odprawianiu rytuału. Wybacz, że karmimy cię ziarnem tak nędznym jak szerniałe zęby smoka. Wybacz, że strażnicy myślą tylko o swoim obiedzie, a nie o karmieniu ciebie, o Matko! Zapewniam cię, że polejemy strugą krwi twe omdlałe ciało. Ożyjesz, wrócą ci siły. Proszę cię o ostatni wysiłek. Wydaj z siebie wojowników. Muszą stanąć do walki. Napadnięto bowiem na mnie: twego syna i ojca. To ja przecież wymyśliłem mit Matki Ziemi.

– Kto napadł? – Siewca mógł nareszcie zadać to pytanie.

– Chymera – wyszeptał Pallados. – Wylazła z groty i plunęła ogniem.

Poeta przesunął dłonią po głowie, pokazując, jak dziki był ów atak.

– Stworzyliśmy ją z naszych lęków i koszmarów. Ucieleśniliśmy je w Chymerze, aby mieć nad nimi władzę.

– Chymery nie mogą nad nami panować – powiedział Siewca.

Dostrzegali niebezpieczeństwo: miliony małych krętych i czarnych demonów, które rozpełzają się po całej ich krainie. Leżą przez drogi jak dżdżownice w kwietniu. Musisz na nie nadebrać. Niewidzialne, czarne i wijące się – są wszędzie. W misce z jedzeniem, w szklance wina. Jedzenie staje się przestępstwem, picie zamienia się w zbrodnię. Kleją się do rąk, a każdy czyn zamienia się w złodziejstwo. Wkręcają się do uszu – wszystkie słowa są nikczemne. Wchodzą do oczu – każdy widok jest nędzny.

Taki stanie się ich świat, jeżeli utracą kontrolę na złem, które jest zamknięte w



potworze mieszkającym w grocie. Nie mogą do tego dopuścić. Chymerę trzeba pokonać, skoro już nie można trzymać jej w ryzach. Dzisiejszego ranka zaatakowała swego stwórcę. Jutro może wyskoczyć z jaskini, zbiec z góry i ruszyć na ich piękną krainę. Nastąpi sądny dzień. To będzie koniec świata.

Siewca zauważył, że Pallados przypatruje się Matce Ziemi. Nie rodziła. Łby rycerzy nie przebijały się przez glebę. Kto więc będzie walczył z Chymerą? Ich światu groziło niebezpieczeństwo, a Siewca był skończony. Czekala go śmierć. Kiedy się zorientują, co zrobił, oskarżą go. Nie będą czekać, aż strażnicy złapią wędrowca na granicy. Zdecydują, że on zastąpi obcego. To jego zawłoką na środek pola. Poderzną mu gardło i stojąc kołem, przypilnują, by się wykrwawiał wprost w glebę. Pochylił się jeszcze niżej ku ziemi, jakby chciał ją błagać. Niech uczyni wysiłek, niech stęknie, jęknie. Niech zacznie rodzić.

Pallados zaraz się zorientuje, że sfuszerował zasiewy i zwoła wszystkich. Filozof miał władzę nad umysłami. Wymyślał pojęcia, a wszyscy je materializowali. Jak zawsze, jak od początku świata. Potem będą udawać, że kazali im bogowie.

Tak stworzyli swój świat – oparty na zasadach, które jak dotąd wydawały się dosyć stabilne. Teraz jednak zaczynały się chwiać i sypać. Podstawą był mit o początku, o zaczynaniu świata od nowa. I o żywym organizmie Matki Ziemi, którą należało nakarmić krwią, by odzyskała siły.

Siewca giął się pod ciężarem rozpacz i winy.

Nagle go olśniło.

– Trzeba wezwać Cherlaklesa!

– I płacić temu zdziercy? – oburzył się Pallados.

Jedynym ratunkiem dla Siewcy było szybkie złapanie jakiegoś gamonia. Odwrócił głowę, by dojrzeć, co robią strażnicy. Czy pilnują granicy? Czy czekają na skąpego kupca, który skracał sobie drogę, przejeżdżając poprzez ich krainę? Czy wypatrują naiwnego studenta, który się zgubił, marząc o wielkich odkryciach naukowych? Gdyby schwytali jakiegoś nieboraka, byłby uratowany. Jego życie za życie tamtego.

Przed granicą stały dwa duże kopce, zasłaniające ich krainę przed oczami obcych. Za kopcami powinni czatować strażnicy. Siewca nie zauważył jednak rytmicznie chodzącego wartownika, który powinien się wynurzyć zza kopca i zrobić w tył zwrot, by rozpocząć wędrówkę do drugiego kopca. A w połowie drogi powinien się minąć ze strażnikiem idącym z naprzeciwka.

Zamiast miarowo kroczących strażników Siewca zobaczył jedynie leżącą na trawie olbrzymią naręcz kwiatów rzuconą na posłanie ze słomy. Kwiaty się poruszały, jakby ktoś się na nich przewracał. Usłyszał również dziwne odgłosy, a potem nieprzystojne chichoty.

Oni się zabawiali, a Siewca czekał na śmierć.

– Ziemio – zwrócił się do niej. – Wybacz, że cię zgwałciłem.

Ale było za późno, ona już wykonała swą zemstę. Zauważył, że jej powierzchnia lekko zafalowała. Przez skiby ziemi przebiegły małe myszy polne. Jedna gromadka, potem druga. A po chwili pędziły już ze wszystkich stron. Ława za ławą, tysiące szeregów jak rudy ruchliwy dywan pozszywany z kawałków futra.

Łaskotały matkę karmicielkę. Ich pazurki, co zauważył Siewca z przerażeniem, wygrzebywały zasiew. Ruszył szybko przez pole i pochylając się, rękami zamykał skiby. Myszy jednak wciąż przybywało, nacierały stadami i wygrzebywały zasiew. Zaraz się wyda, co zasiał, wtedy śmierć pewna.

Spojrzął na dwa kopce stojące na granicy. Odbывwały się tam niebiańskie harce. Może przybyła nawet sama Euforia? Strażnicy wyciągnęli ze stogów wiązki słomy, by umościć legowisko. Naruszyli zatem ich strukturę. A puszysta Euforia, broniąc się i walcząc ze strażnikami, wypłoszyła myszy stacjonujące w kopcach. Ich armia ruszyła w pole.

Siewca słuchał odgłosów dobiegających zza stogów. Śmieszki, klaskania, ciamkania!

Filozof nagle podskoczył. Podniósł jedną stopę, potem drugą. Odrywał je na przemian i to coraz szybciej. Oddział myszy zaatakował jego nogi. Rude wojsko szeregami parło do przodu. Twarz poety poczerwieniała. Usta wykrzywiły się w odruchu obrzydzenia i wydostało się spomiędzy nich przeciągłe: błeee. Podkasał swą chlamidę powyżej kostek, przeskakując z jednej nogi na drugą, a myszy piszczały i gryzły go złośliwie po łydkach. Popędził przed siebie.

Egzekucja Siewcy odwlekła się. Musiał jednak zapewnić sobie bezpieczeństwo. Nikt nie może zobaczyć, co zasiał. Pochylił się i uniósł z miedzy poręczny, choć duży kamień.

Ruszył ku Polimpowi. Góra stała jak purchawa na tle nieba. Szedł szparko i zdecydowanie. Kiedy się zbliżał do siedziby bogów, zwolnił kroku. Zatrzymał się na granicy, oddzielającej świat ludzi od krainy bogów. Wyznaczał ją posąg Wenus Dupiastej. Skrył się za słup nogi.

Ośloniwszy oczy od słońca, popatrzył na górę: była podobna do gruzłowatej narośli, jakiegoś potwornego poślodka ze zrakowaciałej substancji. Przykrywała ją warstwa posklejanych chmur.

„Bogowie pewnie śpią – pomyślał. – Ta hałastra nie budzi się przed południem”.

Musiał porządnie się zastanowić, zanim obudzi Chlapolla. Jeśli chodzi o bogów, wszystko działało na wiarę.

Ludzie wydobyli z chaosu ciemne i mętne siły i nazwali je bogami. A oni byli podstępni i złośliwi, pazerni i przekupni. Pozostali tak samo aroganccy jak przed nadaniem imion. Nie dali się obłaskawić i wciąż trzeba było ich o wszystko błagać.

Obie strony ciągnęły jednak korzyści z tego układu. Bogowie mogli działać legalnie i w dodatku żądać zapłaty. Siewca musiał wkalkulować gratyfikację dla Chlapolla.

Uczta! Wszyscy na nią czekają. Będzie wyjątkowo wystawna, jak przystało na dzień świąteczny. Kiedy strażnicy złapią naiwniaka i przyprowadzą go na pole, gdzie na samym środku poderzną mu gardło, wszyscy zasiądą do wielkiego żarcia. Znajdą się i dla bogów jakieś obrywki.

Siewca wyszedł z za posągu Wenus Dupiastej, tak wysokiej, że jej pośladki miał ponad głową, zamierzył się, wycelował i rzucił kamieniem z całej siły w purchawiastą skałę. Cofnął się i ukrył za grubymi słupami nóg. Czekał. Tu przebiegała granica, której żadna ze stron na wszelki wypadek nie przekraczała.

W niebie panowała cisza.

– Hej, ty! – wrzasnął doniośle.

Milczenie.

– Myszobójco!

Niebiański spokój zamiast odpowiedzi.

– Śmierdzielu!

Nagle z chmur dobiegło ordynarne ziewnięcie.

– Uach!

Chlapollo zwiesił wreszcie spoza chmur owłosione nogi, brudne od błota z poprzedniego dnia. Począł ocierać stopą o stopę, zeszkrobując przyschniętą skorupę, ale nie kwapił się do zejścia.

– Gnojek! – pisnął Siewca niepewnie.

Wtedy Chlapollo zeskoczył, zadzierając niechcący brązową od brudu chlamidę. Obciągnął ją nieco, ale i tak wyglądał nieprzyzwoicie. W ogóle się tym nie przejął, jak zwykle. Podrapał się w głowę, pokrytą zmierzwionymi kędziorami i zaszczyciwszy człowieka niedbałym spojrzeniem, wyznaczył cenę:

– Za owieczkę.

– Nie za drogo? – targował się Siewca. – Za byle kiwnięcie palcem?

Przezornie trzymał się za osłoną potężnych słupów nóg Wenus Dupiastej. Chlapollo się przeciągnął.

– No to chociaż za prosiaczka, tłuściutkiego, z ładnie zawiązaną słoninką.

– Chyba wiesz, jaki dzisiaj dzień? – napomknął człowiek.

– Te wasze nierozumne rytuały! – rzekł pogardliwie Chlapollo. – W dodatku potraficie wszystko spartolić.

– Strażnicy czatują na nieboraka.

– Będzie wreszcie ta uczta?! – Chlapollo niecierpliwie się oblizał.

– I my czekamy głodni – wyznał Siewca, łącząc się z bogiem w bólu.

– Macie już kogoś na zabicie?

Siewca skinął niedbale głową, gdyż nie chciał tak jawnie kłamać bogu. Kiwnięcie mogło oznaczać wiele, zaczął więc wyliczać potrawy.

– Kurczaki z orzechami cashew, kaczkę o brzuchach pełnych pomarańczy, zające

duszone w winie.

– Dużo wina?

– Przede wszystkim – Siewca rzekł prawdę.

– Bujasz.

Chlapollo wyraźnie się podniecił na myśl o żarciu i picciu.

Siewca westchnął.

– Przecież wy również nas oszukujecie. A istniejecie dzięki nam, bo was wymyśliliśmy.

– Ale dla własnej wygody.

– Niestety, nie umiemy uruchamiać sił jak wy – podlizywał się Siewca.

– No dobrze – zgodził się Chlapollo. – Ale żeby to nie były resztki, jakieś tam obgryzione kości czy talerze do wylizywania, tylko porządne porcje. I pomyślisz o butelczynie, co?

Odwrócił się i zaczął z powrotem włączyć na bąblastą skałę, by skryć się w obłokach i rzucić na swój barłóg. Chmury zamknęły się za jego piętą. Siewca czekał chwilę, ale nic się nie działo. Westchnął. Cóż, musiał wierzyć, że Chlapollo dotrzyma słowa. Bogowie zrobią coś albo nie, a człowiek nie może interweniować ani się obrazić, tylko dziękować.

Ruszył na swoje pólko, oglądając się na wszelki wypadek. Szedł coraz bardziej zmartwiony. Nic się nie działo. Chlapollo go wykiwał. Nagle z głębokiej dziury, prowadzącej do Sadesu, buchnął czarny kłęb zgniłego powietrza i nisko pełznąc przy ziemi, popłynął w stronę pola. W powietrzu rozniósł się odrażający odór. Siewca zatkał nos palcami i wstrzymał oddech.

Zdziwił się bardzo, że trupi fetor wydostał się z podziemnego świata umarłych. Dotychczas nigdy nic takiego się nie wydarzyło. Nie uznał tego odstępstwa za pomyślną wróżbę. Przyspieszył, coraz bardziej zaniepokojony.

Kiedy stanął na swoim pólku, jego strach zmienił się w radość: wszystkie myszy zostały wytrute. Leżały rzędami na ziemi, z łapkami do góry.

Po chwili przekonał się, że naprawdę wymknął się śmierci. Na miedzy Pallados dyskutował zażarcie z jakimś obcym. Nagle odbiegł, wymachując ramionami w wielkim oburzeniu. A kiedy po kilku krokach zawrócił i stanął przed obcym, popukał się palcem w czoło.

Siewca od razu się domyślił, że widzi podróżnego schwytanego przez strażę. Był jednak człowiekiem zupełnie innej kategorii niż ci, których zawsze łapali. Uderzyła go niezwykła chudość mężczyzny. Zapadłe policzki, obramowane rzadką, kozią bródką i błyszczące oczy świadczyły o długotrwałych i częstych postach. Odziewała go jakaś bura szmata w formie worka, przewiązana w pasie sznurkiem, która kontrastowała z elegancką w kroju chlamidą Palladosa, wykończoną na brzegach srebrnymi paskami haftu.

Zapewnienie ofiary w tym szczególnym dniu sprawiało sporo kłopotów i strażnicy dostawali białej gorączki, biegając w tę i z powrotem po gościńcu aż do granicy realnego świata. Zazwyczaj siłą przywlekali skatowanego i skrępowanego sznurami człowieka do Palladosa, który wypytywał go o wieści z innych rzeczywistości. Czasem udawało się wycisnąć z biedaka parę sensownych słów. Potem prowadzono schwytanego na pole, gdzie mu otwierano ciało. Wykrwawiał się prosto w ziemię.

A teraz! Rozmawiali jak znajomi. Poeta tradycyjnie chciał się dowiedzieć czegoś o filozoficznych podstawach, na jakich były oparte niealternatywne światy realne, które zewsząd ich otaczały.

– Niech wreszcie skończy gadać! – marzył na głos Siewca. – Niech go ukatrupią, by wszyscy mogli zasiąść do uczciwie zapracowanej uczy.

Leżą teraz w cieniu stogów, z ramionami pod głową i drzemią, by przespać głód. Ależ są wściekli. Pożarliby człowieka żywcem. Czekają, a ich złość się uwalnia i rozplywa po całej krainie. A tymczasem Chymera staje dęba i nie wchłania ich wściekłości. Chlapollo dotrzymał słowa, należało pomyśleć o porządnej porcyjce dla niego, i ją zabezpieczyć. W końcu bogów nie można oszukiwać, przynajmniej tak jawnie. Myśli Siewcy skupiły się na szukaniu sposobu, by racja dla Chlapolla nie uszczupliła jego własnego przydziału.

Usłyszeli donośne tony marszu. Sprawne piąstki waliły w bębunki, szybkie rączki potrzęsały dźwiękadełkami, zwinne paluszki pomykały po wentylach trąbek. Szurgotały stopy po zwirowej drodze, stukotały pięty, wybijając rytm tanecznych kroków.

Od czasu do czasu wybijał się ponad inne dźwięki głęboki ton puzonu, jak beknięcie starej owcy. Grał na nim prześwietny muzyk Hohorfeusz i nawet ptaki zamilkły, zachwycone.

Pallados przestał biegać, wymachując ramionami, i zwrócił swe tłuste i lśniące oblicze w stronę nadchodzącego orszaku. Siewca odwrócił się całym ciałem, by chłonąć widok. Tylko wychudzony przybysz spoglądał niechętnie.

Zza wzgórką wysuwał się powoli ruchliwy korowód nagich kobiet. Ich pulchne ciała były przysłonięte olbrzymimi wieńcami kwiatów. Posuwały się tanecznymi ruchami, kołysząc bioderkami i zamiatając nóżkami. Wyginały się wdzięcznie, unosząc ramiona ponad głowę i przechylając rytmicznie, raz w tył, a raz do przodu. Pokazywały tańcem, co będą zaraz czynić w gaju, gdzie już na nie czekał uprzednio wybrany, jednodniowy król. Nagrzane brzuszki pokrywał pot, nasmarowane oliwą piersi lśniły w słońcu. Wieńce zsuwały się z ramion, łańcuszki związane wokół bioder brzęczały zachęcająco, wabiły dzwoneczki odbijające się od pośladków. Zrobiło się wesoło i bardzo gorąco.

Szły do gaju, szalejąc. Tam rzucą się na młodzieńca, a on będzie się starał sprostać swemu zadaniu aż do wieczora. Wtedy rozszarpia go na kawałki; każda weźmie jeden i zakopie pod progiem domu, co zapewni płodność na nowy rok. Z ciała powstanie nowe

ciało, bo taka jest reguła.

Na czele orszaku wyginała się tłusta Euforia, cała w różach. Bujność jej ciała i przyjemności, które obiecywało, rozmarzyły Siewcę. Kobieta zobaczyła nieznajomego i postanowiła sobie pożartować. Podeszła bliżej i oparła się o niego, a ten zasłaniał oczy krajem swojej szaty.

– Odejdź, jawnogrzesznico, nie wiesz, co czynisz.

Euforia, przesunąwszy ręką wzdłuż jego ciała, odskoczyła ze śmiechem, drwiąc z tego, co znalazła, a raczej: czego nie wymacała. Wykrzyczała o swym odkryciu kobietom, które zachichotały, rzucając obelżywe spojrzenia na nieznajomego. Ten nadal stał z zasłoniętymi szatą oczami i wyciągniętym w obronnym geście ramieniem.

Rozochoczone kobiety wyginały się w swym erotycznym tańcu, powoli zmierzając w stronę gaju. Mimochodem odepchnęły Hohorfeusza. Odłożył więc na ziemię swój ciężki puzon. Siadł na miedzy, wyczerpany nie tyle grą, co podnieceniem, jak inni bowiem pożądał na próżno Euforii.

– A to biedaczek – rzekł do Siewcy, wskazując obcego.

Poeta właśnie siłą odsuwał mu rękę od oczu.

– Ma kłopoty z libido. Ale nie jemu współczuję, tylko sobie, bo cierpię z nadmiaru.

– Cicho, bo wschodzą! Popatrz!

Właśnie smocze nasienie przebiło się na powierzchnię ziemi. Siewca i Pallados odwróciwszy się w stronę skib, wpatrywali się z nadzieją we wschodzących. Wyłaniały się głowy. Wyjątkowo duże i kanciaste łby z guzami na czaszce. Ziemi trudno było je urodzić. Wysunęły się wreszcie ponad powierzchnię i mrugały powiekami, by strącić grudki.

– Wojownicy! – zawołał Pallados. – Jesteśmy ocaleni!

Na całym polu gęsto wschodził zasiew, łeb przy łbie. Ledwie wydobyły się prostackie mordy, głowy zaczęły się obracać. Oczy szukały kobiet. Zobaczyły taneczny orszak i wszystkie wpatrzyły się w jedną stronę. Każda głowa wytrzeszczała pożądliwie ślepią, sycąc się widokiem kobiet.

– Patrz, co im w głowie – rzekł Pallados, ciągnąc nieznajomego za ramię.

– To stworzenia Boże. Pan wie, co czyni – przemówił dziwacznie obcy.

Zaczął wykonywać niezrozumiałe gesty nad polem. – Chrzczę was w imię Jedynego – powiedział i zaczął mrużyć przedko i rytmicznie pod nosem.

Hohorfeusz był wściekły. Miał nadzieję, że uda mu się wślizgnąć choćby za pierwsze drzewa gaju i uszczknąć rozkoszy w zamieszaniu. Nawet nie marzył o dotknięciu Euforii, ale jakiegokolwiek kobiety, której dopadnie. Pragnął najmniejszej choćby namiastki zaspokojenia. Był wdowcem. Zatrącił niestety swą Grydykę, a przez cały okres trwania małżeństwa wciąż chodziła z podsinionymi oczami i pręgami od kija na grzbiecie. Skarżyła się innym kobietom na nienormalne zachcianki Hohorfeusza, toteż teraz żadna go nie chciała. Zły więc na obcego, że mu rozwiązał cień okazji, splunął

mu pod stopy obute w sandały z rzemyków.

– To przez ciebie! Tobie nie zależy, a ja cierpię!

– Przebaczam ci, bo nie wiesz, co czynisz – rzekł z pokorą obcy.

– Ale ja muszę mieć babę! – wrzeszczał Hohorfeusz, podciągając chlamidę powyżej bioder. – Patrz, dostałem na nim żylaków od nieustannego podniecenia. A żadna mnie nie chce.

– Wyprowadź swą Grydykę z Sadesu – zaproponował spokojnie przybysz, odwracając się do poety i mówiąc prowokacyjnie: – Będziesz miał możliwość dowieść słuszności swych słów. Utrzymujesz, że właśnie twój obraz świata jest prawdziwy i jednorodny. Według ciebie bogowie, ziemia i śmierć łączą się ze sobą. Umożliwia to swobodne przechodzenie od jednego do drugiego świata. Jest sposobność, by poprzeć twą wizję rzeczywistości nie tylko racjonalnymi argumentami, ale i eksperymentem. – Spojrzał na Hohorfeusza, stojącego wciąż głupio z zadartą kiecką, i rzekł uroczyście: – Wywiedź ją, wywiedź z objęć śmierci.

Zmieszany Pallados drapał się w spocone czoło. Nikt jeszcze nie schodził do Sadesu. Wiedzano, że jest to możliwe, oczywiście. Do tego stopnia nikt nie żywił wątpliwości, że nigdy nie zaistniała potrzeba udowodnienia naocznie prawdziwości budowy świata. Była filozoficzną koncepcją, którą Pallados werbalizował.

Obcy tymczasem opowiadał mu o dziwnych krainach opartych na odmiennych zasadach. Musi więc szybko udowodnić mu kłamstwo, inaczej wszyscy się wściekną z głodu. Umrze ukochana Matka Ziemia, która teraz rodzi w takim trudzie. Olbrzymie cielska wojowników nadal kopią w niej nogami. Czeka na krew i nie lubi, gdy się z nią ktoś drażni.

Obcy milczał wymownie, co wszystkich obrażało, wątpił bowiem w ich świat i zadawał im kłam.

– Pewnie, że bym zszedł! – wrzasnął w desperacji Hohorfeusz i opuścił szybko chlamidę, słońce bowiem skupiło się na jego słabiznie jak na soczewce. Wszyscy odetchnęli na tę deklarację; honor w każdym razie został uratowany.

– Zejdź w objęcia ciemności i dowiedz nam prawdy – rzekł górnolotnie obcy.

– Nie mogę!

Pallados poczerwieniał z wściekłości. Kompromitacja całej ich zasady filozoficznej z powodu jednego sadysty i tchórza.

– Nie mam za co! Muszę dać w łapę Chamronowi, by mi wydał Grydykę. Ty wiesz, ile to kosztuje? Każdy ciuła, jak może, by zebrać obola na swój pochówek. Jeśli własnym obolem zapłacę, nie dostanę się do świata zmarłych po śmierci. I gdzie się podzieję? Nie ma nic gorszego niż wieczna tułaczka.

– Jest życie wieczne w Panu – burknął obcy. Bez sensu, wszyscy przecież wiedzieli, że istoty żywe są śmiertelne.

– Mam cię! – krzyknął Pallados. – Teraz ty możesz dowieść prawdziwości swoich

norm moralnych – powiedział ze złośliwym triumfem. – Rzekłeś, że zasadą twego świata jest dzielenie się ostatnim kęsem chleba. Czy te wzniosłe normy dotyczą również pieniędzy?

Wszyscy się roześmieli. Wiedzieli, że nikt nikomu nie odda mamony, skoro ma ona zapewnić życie wieczne. Piękne słowa o miłości bliźniego to jedno, a konkretne pieniądze, które trzeba wydać, to zupełnie inna sprawa.

Tymczasem obcy sięgnął za pazuchę i wyjął nabity woreczek. Bez słowa wręczył go Hohorfeuszowi. Ten szybko kucnął i wysypawszy miedziaki na podolek, zaczął jej liczyć skwapliwie, odkładając na kupkę.

– Zwariowałeś! – ryczał Pallados, biegnąc w kółko. – I tak cię zabijemy. Nie myśl, że się wyłgasz.

– Zgadza się, stowa! – krzyknął uradowany Hohorfeusz.

Wsypał garścią miedziaki do woreczka. Szybko zaciągnął rzemyk i zerwał się na nogi. Ruszył bez zwłoki, szybkimi krokami, a wszyscy szli obok niego, pełni ciekawości i podniecenia. Ostatni dołączył Siewca, sprawdzwszy wpierw wschodzenie, wtykając palce w ziemię. Ciała wewnątrz ziemi były galaretowate – miał zatem czas. Pobiegł za resztą.

Hohorfeusz szedł zamasyście po piasku, wyraźnie widoczny na tle modrego nieba. Granatowe góry w oddali, lekko zasnutę białymi wulkanami obłoczków, skupionymi ponad Polimpem, nadawały ich światu wygląd konkretnego szczęścia.

Mijali gaj – tam kobiety pieściły swego króla. Nie szło mu najlepiej, jak wywnioskowali z ich niemrawych głosów. Pallados spojrzał na stojący nieopodal posąg Wenus Dupiastej i westchnął ciężko.

Zaryczała ukryta w grocie Chymera. Pewnie byli zbyt zadowoleni, za mało pokręcenia wewnątrz, więc nie miała się czym karmić i nie powiększało się jej obmierzłe cielsko.

– Widzisz – przekonywał nieznajomego Pallados – jak dobrze jest urządzony nasz świat! Oto ucieleśnienie naszych wewnętrznych wariactw i niezgody. Ciemne treści umysłu przelane w kształt tego oto smoka. – Mówiąc to, powstrzymał idących od zbytniego zbliżenia się do grotu. – A ty twierdzisz, że taka Chymera u was nie istnieje i nosicie cały brud w sobie. Patrz, przekonaj się na własne oczy.

– Człowiek jest z gruntu dobry – upierał się obcy.

– Lecz my zabijemy ciebie jak najszybciej. Będziemy z tego czynu zadowoleni i obejdziemy się bez wyrzutów sumienia. Nie wyznajemy twoich zasad moralnych. One przyniosłyby nam zagładę. Nasza ziemia potrzebuje krwi, by ożyć i rodzić, a to z kolei nam daje życie. Widzisz więc, że twoje zasady są zgubne. Świat nie może istnieć, opierając się na nich, bo są jawną brednią. – Pallados wzruszył na koniec ramionami.

Skęcili do wejścia, prowadzącego w głąb Sadesu. Była to czarna i oślizgła dziura, prawdziwy odbyt ziemi. Zatrzymali się na brzegu, a Hohorfeusz, brzęknąwszy dla



pewności woreczkiem, obciągnął kieckę i począł bez zwłoki zstępować po schodach.

Wkrótce światło słoneczne miał już za plecami. Macając rękami po ścianach, schodził wciąż w dół. Znalazł się w olbrzymiej grocie we wnętrzu ziemi. Jej pułap lśnił blado niby błona, a boki tonęły w niezmiernym mroku. Musiała chyba nie mieć końca.

Staął u brzegu białego jeziora, o nieruchomej jak szkło wodzie. Cumowała tam łódka. Siedział w niej pochylony Chamron, omszały ze starości. Kępy trawy wyrastały mu z ramion, dłonie tonęły w wodorostach, a mech pokrywał policzki. Spał, lecz w ogóle nie oddychał. Od pary wydobywającej się z ust Hohorfeusza zaczęła gęstnieć i rozprzestrzeniać się roślinność pokrywająca przewoźnika; blade korzonki, wystrzeliwszy łodyżkami, rozwinęły się w listki szalonych paproci.

Chamron szybko wyciągnął rękę. Hohorfeusz najpierw wskoczył do łodzi, a potem z westchnieniem żalu wręczył woreczek przewoźnikowi. Odbili natychmiast i gnali z szybkością strzały, by para oddechu i rośliny nie zapaskudziły całego Sadesu.

Przepłynęli nieruchome jezioro i wdarli się w ciemność; tam Chamron spojrzał pytająco, a Hohorfeusz rzekł cichym szeptem:

– Grydyka?

Głos potoczył się niby grzmot, a leżące na drugim brzegu ciała lekko zadrgały. Chamron spojrzał z naganą i wkroczył pomiędzy nieforemne i leżące pokotem kształty. Rozsypywały się jak bryły z gliny, tu i ówdzie ramiona, gdzie indziej głowy obracające się w piasek. Z niektórych pozostały nogi, a brzuch dawno się rozkruszył.

Chamron odwrócił Hohorfeusza plecami do zmarłych i pogroził mu surowo palcem. Puzonista zrozumiał, że nie wolno mu choćby spojrzeć. Stał na łodzi, starając się nie oddychać.

Przewoźnik wkroczył pomiędzy trupy i począł się szybko oddalać. Po chwili Hohorfeusz usłyszał, jak odsuwa ciężkie korpusy i podnosi coś bezwładnego.

Łódź zagłębiła się w wodę, gdy stąpnął na nią ponownie i wetknął mu coś do wyciągniętej za plecy ręki. Hohorfeusz pomacał; wydawało mu się, że jest to dłoń Grydyki zawinięta płótnem tak jak na marach.

Kiedy płynęli z powrotem, badał jej rękę palcami. Ciało wydało się dosyć kruche, a kostki miękkie. Miał nadzieję, że za tą ręką idzie cała kobieta. Ale nie ufał staremu.

„Jeżeli jest już mocno nadpsuta i pewne części jej ciała rozsypały się w piach, to źle. Jeżeli straciła głowę – pół biedy, ale gdyby nie miała czegoś zasadniczego?” – dręczył się, w miarę jak dopływali do brzegu.

Kiedy łódź zaryła w piach, Hohorfeusz, udając, że traci równowagę, pociągnął za rękę tak, by zobaczyć całe ciało. Ale nim zdążył zerknąć, Chamron kopnął go w tyłek i Hohorfeusz poleciał do przodu, upadając brzuchem na schodki wyjściowe.

Spojrzał dopiero stamtąd: Chamron nieporuszony siedział w łodzi. Sam Hohorfeusz nie zamierzał puścić tego płazem, chciał się domagać swego,

awanturować, by wymusić jakąkolwiek kobietę. Lecz strop zaczął nagle trzeszczeć i w wielu miejscach pojawiły się zygzaki pęknięć. A po chwili odpadły kamienne bryły, potoczyły się po piachu i z chlupotem wpadły w gładkie jezioro. Wielka fala pognała łódź Chamrona w głąb krainy umarłych, gdzie przepadła w mroku.

Z dziur w suficie wysunęły się olbrzymie nogi, jeszcze dość miękkie; wierzgając, krzepły i nabierały siły. Było ich bardzo wiele.

Hohorfeusz widział ponad głową pięty, łydy i uda, splecione ze sobą gęsto. Miały mało miejsca, toteż zaczęły się kopać, odpychać kolanami i wwiercać piętami, by zrobić sobie przestrzeń życiową.

Z sufitu gęsto spadały kamienne bloki, rozkołysując jezioro. Cały świat zmarłych drżał i chwiało się w posadach.

Hohorfeusz znalazł się w niebezpieczeństwie. Lawina ziemi sunęła korytarzem, więc rzucił się do ucieczki, gnając w kierunku wyjścia na powierzchnię. Ledwo się wydostał na światło i padł zdyszany, kamienny strop za jego plecami załamał się i runął na schody wiodące do Sadesu.

Hohorfeusz podniósł głowę i otarłszy ziemię z twarzy, spojrzął z radością na światło słoneczne. Wzruszył od dołu ziemię, która popękała w wielu miejscach, dzięki czemu zasiew wreszcie mógł się wydostać. Z dziur wyłaziły olbrzymie postacie. Zasiewane niedbale, garścią, wzeszły kępami, zbyt gęsto.

– Wydostają się! – zawołał Pallados. – Jesteśmy uratowani.

Olbrzymi mężczyźni, oplątani wzajemnie kończynami, odpychali się, by wyciągnąć ręce trzymane przez innych. Wychynawszy nieco nad ziemię, spychali swych braci. Jednocześnie wysuwały się z gleby potężne korpusy. Już kilku postawiło na ziemi kolana. Wojownicy, tkwiący jeszcze w glebie, ściągali ich z powrotem. Ci odwracali się i uderzali natrętów zwiniętą pięścią w czoło.

Wielu miało zrośnięte tułowia niby potworne bliźnięta. Wyłaziły na powierzchnię, rozdzierając ziemię. Pękała, jęcząc. Kiedy na powierzchnię wydostał się olbrzymi twór, zaczynał walić czterema rękami. Inni wrywali im ramiona i rozdzierali tułowia.

Trwała walka. Słychać było łomot, wycie i jęk ziemi. Wyłazące potwory zrobiły w niej wiele czarnych dziur, w które wrzucali rozdarte cielska. Zawzięta bitwa trwała tak długo, póki nie pozostał ostatni wojownik, klęczący i zamroczony wśród zwałów trupów.

– W nim nadzieja! – Pallados wciąż wierzył, że uda się ocalić ich świat.

Olbrzym powoli zaczął się podnosić. Stał, zgarbiony, unurzany w ziemi, jeszcze otumaniony i niewiedzący nic o świecie. Znał tylko walkę.

Usłyszał nagle głosy kobiet dobiegające z gaju, więc się wyprostował i rozkołysanym krokiem ruszył w tamtą stronę. Wszyscy zostali na miedzy. Nic już nie uratuje ich zasad. Czyżby racje przybysza, opowiadającego o dziwnych światach, miały zwyciężyć?

Siewca czuł się winien. Wszyscy stali przygnębieni. Nagle z gaju zaczęły dobiegać radosne okrzyki kobiet. Powstał wśród nich ożywiony tumult; widać olbrzym wiedziony instynktem, siał prawdziwie rozkoszne spustoszenie.

– Powiedziałem ci – rzekł spokojnie obcy. Patrzył, jak ich świat zaczyna się walić, choć oni jeszcze tego nie dostrzegali. – Niezbadane są wyroki.

– Ależ co ty wygadujesz? – oburzył się Pallados. – Któż decydował o tej sprawie?! Wciąż zaprzeczasz temu, co widzisz gołym okiem i co dla wszystkich jest oczywiste. Rzucono do ziemi zbyt duże garście proszku, toteż olbrzymy wzeszły zbyt gęsto. Taka jest prawda. Widziałeś, a oczom nie wierzysz i wciąż zaprzeczasz. Ale staraj się i przekonaj mnie o twojej prawdzie, walczysz w ten sposób o swoje życie. Zachowasz je tak długo, póki jestem ciekawy. Kiedy powiesz wszystko, zabijemy cię na ofiarę, a nasza ziemia znowu będzie rodzić zboże i wszystko powróci do stanu poprzedniego.

Lecz obcy przyjął te słowa z obojętnością, jakby własna śmierć w ogóle go nie dotyczyła.

Nim się zdołali otrząsnąć, by przeprosić Matkę Ziemię i przemówić rozsądnie do umarłych w Sadesie, nieopodal pojawiła się barczysta sylwetka Cherlaklesa. Przybywał, choć nie został wezwany. Od ramienia aż na biodro zwieszała mu się skóra pantery i włókł za sobą swoją potężną maczugę, nabijaną guzami metalu.

– Oto jestem!

Staął przed nimi w rozkroku. Podniósłszy ramiona jak triumfujący zapaśnik, obrócił się wokoło, napinając mięśnie, by mogli się zachwycić zarówno jego piersiami, jak i plecami z węzłami mięśni.

– Co na dziś? – zapytał wesoło. – Potwór z głębin nieświadomości, bezkształtny, przyrastający niespodziewanie, monstrum waszego lęku, wielkookie i cofające się w ciemność, czy też węzowisko waszych skłóconych pragnień?

Pallados bez słowa wskazał grootę z Chymerą, a Cherlakles wybuchnął szyderczym śmiechem.

– Tylko Chymerka, w dodatku taka mała i chuda? Jesteście doprawdy szczęśliwi, skoro wasze chimery są małe. – Uniósł swą maczugę i dodał groźnie: – Ale zapłata jest taka sama. Chymera to Chymera, jedna sztuka.

Podszedł odważnie do groty, lecz przeciwnik nie wyszedł. Cherlakles wielokrotnie uderzał maczugą w skałę, wreszcie klnąc, musiał wpełznąć do groty. Tam walczył.

– W moim świecie za dobre uczynki się nie płaci – rzekł obcy.

– Jak zwykle twoje zasady są niesłuszne i nieuczciwe. Przyniosłyby wiele szkody, gdyby je stosowano w praktyce. Udowodniam ci cały czas, jak bardzo nie masz racji, a ty się upierasz. Nic ci to nie pomoże i tak zostaniesz zabity, nasze reguły przecież muszą działać.

Z groty wyszedł Cherlakles z jęzorem Chymery w ręku. Po walce w ciasnej i ciemnej przestrzeni był osmalony i brudny. Jednak przede wszystkim rozpięła go

wściekłość. Jeszcze nigdy nie musiał pracować w tak upokarzających warunkach, a co gorsze, nikt go nie podziwiał. Co za dyshonor! Spodziewał się zatem porządnej nagrody za dodatkowe utrudnienia w pracy. Walka z potworami była jego zawodem, musiał w końcu z czegoś żyć. Już otwierał osmalone usta, by się dopomnieć o swoje, lecz Pallados go uprzedził.

– Nie dostaniesz zapłaty, dobre uczynki jej nie wymagają.

– Dobry czyn jest nagrodą sam w sobie – rzekł szlachetny obcy.

Cherlakles popatrzył na nich spod osmalonych brwi. Myślał, że żartują, lecz wyglądali poważnie i stanowczo. Pallados nie mógł ustąpić, musiał obcemu wykazać kłamstwo. Osilek jeszcze raz potoczył po nich przekrwionymi ze złości oczami: każdy trwał przy swych zasadach.

Zamachnął się maczugą ponad głową, zakręcił nią młynka i rzucił z całej siły. Trafiła! Roztrzaskała posąg Wenus Dupiastej w kawałki. Rozsypały się jej pośladki i uda, spadając wokół postumentu.

Znikła granica między ludźmi i bogami. Teraz oba światy znajdą się w niebezpieczeństwie: zaczną wojnę, będą się nawzajem napadać i wyniszczać.

– Jestem w końcu półbogiem – warknął Cherlakles.

Ruszył przed siebie, obchodząc maczugę leżącą na ziemi. Pozostała jak olbrzymi fallus, symbol świata, który ma ustąpić. Siłacz zaczął się wdrapywać na górę Polimp. Kiedy zniknął w chmurach, usłyszeli, jak zdaje relację pełnym oburzenia głosem. Po chwili do ich uszu dobiegły soczyste i liczne przekleństwa bogów, oceniające czyn ludzi. Wojna została wypowiedziana.

Z wierzchołka góry wystrzelił snop iskier i trzasnęły grzmoty. Zaraz też buchnęły płomienie i całą górę zasnuł dym. Niósł się od niej żar tak nieznośny, że musieli szybko odbiec spory kawałek.

– Koniec – wysapał Pallados. – Oto do czego prowadzą twoje zasady. Już bogowie są nie dla nas. Oddzielili się i nie będą z nami rozmawiać. Nie ma mowy o pomocy, nawet za sowitą zapłatą. Czy masz jeszcze jakąś zasadę, którą mógłbyś zastosować? Każda dotychczasowa okazywała się szkodliwa.

Hohorfeusz i Siewca szarpali Palladosa za chlamidę. Toż cały świat się walił, a on spierał się o zasady.

– Chcę was ochronić od zbrodni – rzekł obcy. – Oszczędźcie tego biedaka w gaju. Nazywacie go jednodniowym królem. Ma zaspokoić grzeszne chucie waszych kobiet, które go wieczorem rozszarpia na kawałki. Oto słońce chyli się ku zachodowi.

Zepsuty wóz Heliosa zjechał zbyt szybko z nieboskłonu. Nie było południa, tylko od razu nastał wieczór.

Ruszyli natychmiast w stronę gaju. Pallados pierwszy wkroczył pomiędzy drzewa. Dziwny zobaczyli widok. Olbrzym leżał na ziemi, ubrany w kwiaty, wieńce i łańcuszki, którymi go ozdobiły kobiety. Skupione wokół niego, szczęśliwe i szalone, wciąż starały

się go głaskać lub choćby dotknąć.

Na widok wchodzących zaczęły wrzeszczeć, by wygonić intruzów. Skromny młodzieniec stał nieopodal, nietknięty i dziewiczy jak z rana, ręce wstydliwie skrzyżowawszy na podołku. Nikt się nim nie interesował. Zobaczył go Hohorfeusz. Spojrzał, a młodzieniec zatrzepotał rękami. Grajek podszedł i otoczył chłopaka ramieniem, a ten się zaczerwienił jak panienka, którą miał zostać.

– Teraz jestem gotowy – rzekł obcy, klękając. – Uratowałem wasz świat. Możecie mnie zabić.

Zaskoczeni, nawet się nie poruszyli. Przyjemności były cenne. Życie stanowiło najwyższą wartość. Nikt go nie poświęcał dobrowolnie.

– Czekam – ponaglił obcy, szepcząc coś rytmicznie. – Wyznam ci prawdę – przerwał na chwilę swoją wyliczankę. – Powiem ci to w godzinie śmierci. Przyszedłem do was umyślnie, wiedząc, że mnie zabijecie. Przybyłem po śmierć.

– To wariat! – wrzasnął Pallados.

– Nie możemy go zabić – rzekł Siewca. – Tej krwi ziemia nie przyjmie, bo ją zakazi.

– Słońce zachodzi nad waszym światem – rzekł obcy.

– To tylko krzywa ośka, a nie jakiś wyrok – słusznie argumentował Pallados.

Jeszcze świeciło ostatnimi promieniami, ale i tak nie mogli się uratować, mimo że obcy dał im sposób na oszukanie ziemi. Mieli wyrzeźbić ludzką postać i tę kukłę zarzynać na polu, polewając krwią baranka. Hohorfeusz, wciąż tulący króla do łona, zaraz się zabrał do rzeźbienia, biorąc za wzór pięknego młodzieńca.

Bo ziemia umarła w ich umysłach i zapadł się świat podziemny. Obcy powiedział, że jest on wszędzie i wystarczy zwłoki zagrzebać w ziemi. Odtąd zaczęto ją karmić trupami. Już nikogo nie zabijali. Zapanowało miłosierdzie i wzięło w posiadanie ten zupełnie zdruzgotany świat. Istnieje ono tylko tam, gdzie rządzą niesprawiedliwe wyroki. Obcy zostawił przebaczenie, potrzebne tam, gdzie jest grzech, który się właśnie narodził, by odtąd panować na tym i tamtym ze światów. I nikt nie zauważył, co zostało bezpośrednio zniszczone. Tylko poeta.

# Zadanie

Siedział oparty o biały mur z odchyloną do tyłu głową i zamkniętymi oczami. Światło i cienie cienkich, na wpół przezrzystych gałązek przesuwają się po jego twarzy. Rosły tu białe drzewa, stojące nieruchomo w słońcu, a na ziemi gęsto pleniły się kwiaty oszalałe od kształtów i nadmiaru piękna. Wszędzie spacerowały ptaki, krocząc ze spokojną dostojunością. Otworzył oczy i westchnął. Nie chciał się przed sobą przyznać, że dostrzegał coraz mniej. Wiedział, czym są – przedmiotami, ale nie to było ważne. Kolor i piękno nie miały znaczenia. Widział tylko to, co drżało wokół nich: trzepotliwą, migocącą barwami energię. Jej warstwy, cieniutkie obrączki, zachodziły na siebie i tylko migotały wewnątrz świetlistymi ciałkami blasków. A poza tym były spokojne, dlatego tu przychodził, by wypocząć w ciszy. Przyglądał się – oto regularność kształtów i barw, które otaczały przedmioty. One same ukrywały się pod obrączkami energii. Tak, z pewnością miały formę, ale dla niego już zamieniła się w ideę przedmiotu i pamięć. Musiał się podnieść i iść do swych zadań, które były bolesne.

Właśnie pojawił się przed nim cień idei człowieka, który w rzeczywistości innych ludzi jawi się wszystkim jako żywa istota. Taki był i dla niego, kiedyś. Ale im wyraźniej widział świat energii, tym mniej dostrzegał rzeczywistość materialną. Energetyczny kształt otaczał człowieka, który mógł do niego podejść, nie wywołując w nim bólu. Dlatego ten stary mnich został mu przydzielony do opieki.

– Ariel! – siedzący usłyszał swoje imię. – Chodź, już czas.

Stary stał jeszcze chwilę, czekając, aż chłopiec się podniesie. Po czym, odwróciwszy się, poszedł ogrodową ścieżką, brodząc wśród kwiatów i pachnących ziół, które Ariel z ledwością dostrzegał. Podążył za mnichem i po chwili zanurzyli się w chłodną ciszę klasztornego korytarza, gdzie chłopiec mieszkał od dzieciństwa. Z białych ścian usunięto wszelkie obrazy i rzeźby, więc kroczyli przez białą, spokojną pustkę, jedyną rzeczywistość, która nie wywoływała w nim cierpienia. Przekroczyli próg. Tu był przedpokój prowadzący do sali przyjęć. Również ten pokój oczyszczono z krzyczących obrazów. Zazwyczaj stał w nim jedynie pulpit z leżącą na nim księgą, służącą do zapisywania nazwisk ludzi szukających pomocy Ariela. Zapisywał je stary zakonnik, czyniąc to spokojnie i życzliwie, gdyż innych uczuć chłopak nie mógł znieść. Przyjmowanie nieszczęśników, wyjawianie im losu, przypominanie tragedii życiowych i błędów oraz naprawianie ich aury zmuszało Ariela do wielkiego wysiłku. Po każdym seansie czuł się brudny i oblepiony. Mijało wiele godzin, zanim wyrównał swą energię.

Do przedpokoju zazwyczaj nikt nie wchodził, zanim Ariel nie zasiadł w sali przyjęć. Lecz teraz stali tu w dwóch rzędach zakonnicy w białych habitach. Kaptury zsunęły na twarz i żaden z mnichów nie podniósł wzroku. Stali nieruchomo, jak ich pouczono, by nie kaleczyć Ariela.

– Strach! – krzyknął Ariel. – Czego się boicie?

Milczenie. Zakazano im mówić.

– Czuję wasze przerażenie – wołał Ariel.

Zbliżył się jego opiekun i zaczął szeptem wyjawiać mu dziwną wiadomość:

– Dzisiaj przyjmiesz tylko jednego pacjenta, osobę specjalną, ważną dla naszego klasztoru, on zapewnia ci opiekę. Jeżeli sprawy pójdą źle, zostanie cofnięta jego życzliwość dla nas i dla ciebie. To jest bardzo ważne. Zawsze dotąd mogliśmy liczyć na tego dostojnika, który przybył tu aż z Ziemi. Protekcja to oględne pojęcie dla określenia tego, co ten człowiek dla nas robi w Układzie. Od jego opinii zależy nasz byt materialny.

– Przecież pobieracie solidne opłaty za moją pracę.

– Dają co łaska, ale nawet nie to ma największe znaczenie. Może zostać wydany dokument rozwiązujący nasz zakon. Zostaniemy rozmieszczeni po różnych klasztorach na wielu satelitach. Co będzie z tobą, nie wiem. Kto się tobą zajmie?

– Mam kłamać? Przecież to niemożliwe, nie zależy ode mnie. Jestem tylko narzędziem!

– Istnieje poważniejszy problem. Jak wiesz, po upadku wiary na Ziemi tylko my i nasza Reguła przechowaliśmy jej prawdziwą i ostatnią zasadę. Mówiono, że Kosmos przepełniony jest cierpieniem, a życie ludzkie zostało napiętnowane grzechem, czego wyraźnym dowodem jest twoja egzystencja. Z tego też powodu zebrano grupy takich jak my ludzi dobrej woli, którzy wyrzekłszy się świata i jego brudnych pokus, schronili się w tak zwanych klasztorach, aby cierpieć za innych, wcielając w ten sposób w życie zasadę Boga poświęcającego się za innych. Każdy z nas jest jego częścią i cierpiąc za wszystkich, unieważnia grzechy ludzkości.

Ariel nigdy tego nie mógł pojąć. Nie rozumiał, za co został kiedyś napiętnowany. Nie wiedział, jaką to nikczemność popełnili ludzie na jakimś mitycznym początku przed tysiącami lat, i z jakiego powodu on ma za to pokutować. Ale urodził się inny i cierpiał. Nie popełnił żadnego wykroczenia nazwanego grzechem, dręczono go za cudze winy, więc czuł się głęboko skrzywdzony i wcale nie odnosił wrażenia, że w ten sposób nosi w sobie część boskości. Jego nadzwyczajne zdolności paranormalne podpowiadały mu, że tkwi w tym kłamstwo. Nie chciał jednak tego powiedzieć opiekunowi, więc milczał.

– Wiesz już wszystko – dodał zakonnik. – Przekrocz ten próg.

Ariel odwrócił się od niego i poszedł w stronę wielkich drzwi. Ledwo minął próg, zakonnicy zebrani w przedpokoju usłyszeli jego krzyk. Przerażeni, spojrzeli na siebie

spod nasuniętych kapturów, a potem rozbiegli się do swoich cel, by błagać o łaskę i pomoc. Wiedzieli jednak, że nie ma to żadnego znaczenia, gdyż nie istnieje siła zdolna odwrócić przeszłość, którą Ariel zobaczy i wykrzyczy prosto w czerwoną twarz oburzonego dostojnika. Prosimy o jedno: o opamiętanie dla tego chłopca. Błagali o to, żeby skłamał lub stracił część swej siły. Ubiegali się o rzecz złą, więc szeptali słowa swej religijnej mantry bez wiary i nadziei.

Ariel oparł się o drzwi, gdyż bał się, że upadnie. To, co zobaczył, odebrało mu siły i mowę. Na wielkim, paradnym fotelu siedział prosto mężczyzna, olbrzymi i zwalasty, wpierając ręce w głowy lwów wyrzeźbionych na poręczach. Siedział tak napięty, jakby się szykował do szarży, by zmieścić tę drobinę, szczupłego chłopca, który mógł mu zagrozić.

Na Ariela spłynęła brudna, brunatna ciecz, która dla niego była tym człowiekiem. Fizyczna osoba była nią otoczona i wewnątrz niewidoczna. Magma okleiła Arielowi ramiona tak, że nie mógł ich podnieść. Spływała po szyi, oddychał z trudnością, więc zaczął się bronić. Zgarniał ją ze swego ciała i strząsał, by się oczyścić i uwolnić.

– Czy jesteś w delirium? – usłyszał wzgardliwe pytanie.

Już chciał krzyknąć, co widzi, lecz przypomniał sobie błagalny szept swego opiekuna. Jeżeli obrazi człowieka ukrytego pod smołą, wszyscy będą cierpieć, a on najbardziej, gdyż nie umiałby przetrwać w zwyczajnej rzeczywistości. Pozostawał jeszcze jeden powód milczenia, i to ważniejszy: przestanie pomagać ludziom, a to było jego zadaniem.

Nie odpowiedział, lecz zamknął oczy i zaczął się oczyszczać, paląc swym fioletowym ogniem brunatną posokę.

– Wiele o tobie słyszałem. Leczysz ludzi, przepowiadasz im przyszłość.

Ariel milczał. Po chwili ciecz została wysuszona i kruszyła się grudkami na podłogę.

– Podobno możesz odczytać przeszłość? – W głosie dostojnika brzmiało lekceważące niedowierzanie. Ariel jednak wiedział, że ukrywało niepokój.

– Widzę to, co jest.

– Czy jest to siła boska?

– Nic mi o tym nie wiadomo, nie doznałem objawienia.

– Więc zaprzeczasz jej istnieniu?

– Po prostu odczytuję zapis mózgu.

– W jaki sposób?

– Tego nie wiem. Widzę obraz odbity w mózgu drugiego człowieka.

– A jeżeli uległ on amnezji lub zapomniał wydarzenia siłą woli czy też w inny sposób?

– Nie spotkałem się z takim przypadkiem. Ale sądzę, że obrazy wydarzeń pozostały, mimo że uległy zapomnieniu lub stłumieniu.



– Zobaczysz je?

– Spróbuję – odpowiedział Ariel ogłędnie, mając w pamięci przestrogi opiekuna.

„Zbrodniarz wraca na miejsce zbrodni” – ta fraza została wypowiedziana w mózgu Ariela i zrozumiał, po co ten człowiek przybył: chciał się z nim zmierzyć. Jego arogancja sięgała nieba, a raczej piekła. Słyszał o zdolnościach chłopca, jego sława obiegła wszystkie satelity i dotarła do Ziemi. Przybywali do niego nieszczęśnicy, a Ariel, krzyżąc i płacząc, wyjawiał im ich ból, który powodował choroby. Widział wypalone dziury w ich otoczkach energetycznych, więc je wypełniał. Pełne i sprawne ciało energetyczne dokonywało naprawy ciała materialnego, czyli organizmu człowieka. Ten siedzący przed nim również był chory. Brunatna magma, w którą zamieniła się niegdyś świetlista energia, musiała spowodować bezwład funkcjonowania wszystkich organów, przeżreć je niby rak, na pewnogniły. Bez wątplenia był chory, i to śmiertelnie. Również z tego powodu przybył do Ariela, gdyż nikt na świecie nie mógł mu pomóc. Mimo choroby jego arogancja nie zniknęła. Pewność siebie, chęć wygrania za wszelką cenę, rozdęta duma przewyższały wszystkie uczucia i potrzeby. Chłopiec zobaczył to bardzo jasno, ale nadal się powstrzymywał przed wejrzeniem w głąb tego człowieka, aby nie zniszczyć wszystkiego, co ważne i drogie.

– Spróbuję – powtórzył cicho.

– No to się zmierzmy. Zobaczmy, kto silniejszy i ile jesteś wart.

Ariel zobaczył nagle szczupłego człowieka o łagodnych oczach. Wchodził po schodach, postępując za plecami zwalistej postaci. Było to ostatnie piętro i tam, na podeście otoczonym balustradą, ten, który szedł pierwszy, odwrócił się i Ariel spojrzał wprost w zawzięte oczy. Znał je, choć były znacznie młodsze, ale wyrażały taką samą arogancką pewność siebie. Mężczyzna oparł się o balustradę tak, że tamten stał plecami do schodów.

– Zdecydowałeś się ubiegać o urząd? Teraz jest tylko dwóch kandydatów: ty i ja.

– Postanowiłem wygrać.

Zwalisty mężczyzna wiedział, że zostanie pokonany. Jego szczupły i ascetyczny przeciwnik zyskał opinię świętego. Przemawiał do tłumów. Jego gorące apele wzbudzały entuzjazm, a charyzmatyczna osobowość wywoływała uwielbienie.

– A jeżeli w imię wyższych celów zażadam, abyś wycofał swą kandydaturę? – zapytał mimo to.

– Nie zrobię tego. Ubiegam się o urząd, aby mając władzę, czynić dobro. Ty natomiast pragniesz władzy dla niej samej, gdyż twoje ego jest wiecznie puste i wciąż usiłujesz je zapełnić. Ale to przepaść, która się pogłębia. Nawet gdyby słońce w nią wpadło, jego światła nie byłoby widać z dna.

– Czy to twoje ostatnie słowo? – zapytał groźnie, lecz rozmówca, patrząc w dal na swoje błękitne cele, nie dostrzegł niebezpieczeństwa.

– Tak, oczywiście.

– Ostatnie słowo. Masz rację, ha, ha!

Silne i krótkie pchnięcie w pierś. Człowiek upada do tyłu, za plecami brak oparcia, są tylko schody. Toczy się coraz niżej, objając o ściany. Tak wiele tu pięter. Ciało staje się bezwładne, spada szybciej. Jest tam podłoga, ale jeszcze miękka, wypełnia ją substancja dopiero w stanie krzepnięcia. Ciało w nią wpada, tworzy się lej, masa wciąga ofiarę i powoli zamyka się nad nią.

Ariel czuje w piersi ból tamtego uderzenia. To jego ramiona i plecy objają się o ściany. Czuje, jak łamią się kości nóg i zdiera skóra z twarzy i rąk. Nadal żyje, teraz otacza go coś miękkiego. Usta i nos zalewa gęsty płyn. Dusi się, nie może poruszyć rękami, aby wydobyć się na powierzchnię. Straszne cierpienie. Teraz ciemność, chwila ulgi.

Próbuje wyjść z własnego ciała. Udało mu się to dość łatwo. Robi kilka kroków po moście na drugą stronę, lecz odwraca głowę i patrzy poza siebie. Nie może odejść, ważna sprawa nie została załatwiona. Pozostał obowiązek. Musi pomagać ludziom. Krąży więc wokół tego miejsca. Odchodzi i znowu robi kilka kroków do tyłu. Tak wciąż krąży, płacząc i nie mogąc zapomnieć. Już by odszedł, lecz nie może pozwolić, aby dokonano się zło. Został powołany na ten świat, aby czynić rzeczy dobre, to jego zadanie. Mija czas, właściwie czasu nie ma.

Ariel krzyczy i biegnie przed siebie, a potem wraca. Robi to wielokrotnie, nie mogąc znieść cierpienia. Tamten się uspokaja, lecz nie zapomina. Ariel również odzyskuje równowagę, ale wie, że przejął obowiązek i nie może go porzucić. Opamiętał się nagle i spojrzał wprost w czerwoną od napięcia twarz siedzącego przed nim dostojnika. Ten wychylił się do przodu, zaciskając ręce na wyrzeźbionych głowach lwów.

– No co, odczytałeś mój mózg?

Ariel otworzył usta, aby wykrzyknąć wszystkie obrazy i wyrzucić z siebie ból i oskarżenie. Zaraz jednak zacisnął usta i opuścił oczy, aby tamten nie wyczytał z nich kłamstwa.

– Ha, ha! Byłem pewien, że cię pokonam.

– Tak.

– Ha, ha! Mnie nikt nigdy nie zwyciężył.

– Muszę się dowiedzieć, gdzie stoi wieża.

– Skąd wiesz, że to jest właśnie wieża?

Chciał krzyknąć: „Widziałem! Wiem, że jesteś mordercą”. Lecz znowu zacisnął usta.

– Mam niejasne wizje, widzę wysokie miejsce, czuję, że jest z tobą związane, panie.

– Co widzisz?

– Nic konkretnego. Przyjacielską rozmowę.

– Kto w niej bierze udział?

– Młody człowiek i kobieta. Tak, wysoka i szczupła, ale ona jest w ciąży. I, jak sądzę, potknęła się i spadła. Widzę, że ten mężczyzna biegnie za nią, by ją uratować, ale niestety prawa fizyki na to nie pozwalają.

– No i po co wiadomość o tym, gdzie stoi wieża?

– Bo jest to przeklęte, nawiedzone miejsce. Muszę odprawić rytuały. Inaczej nie zaznam spokoju. Chcę odnaleźć tych ludzi i powiedzieć im, że nie muszą się obwiniać, gdyż to był wypadek.

– Ona żyje, ta kobieta?

– Oczywiście, tylko straciła dziecko. – Ariel nie wiedział, jak zdołał powiedzieć aż tyle kłamstw. – Bardzo proszę o wiadomość.

– No, skoro tylko tyle, przyrzekam, że ci powiem. Ale mam jeden warunek.

– Tak, panie.

– Musimy jeszcze raz się zmierzyć. Pierwsza próba była nieudana. Zobaczmy, jak się popiszesz za drugim razem.

– Postaram się.

– Ha, ha, on się postara. No dobrze. Mam pewne niedomagania.

– Widzę.

– A co takiego? – zapytał lekceważąco.

– Pan umiera.

– Ile mi zostało?

– Parę tygodni.

Chwila milczenia. Dostojnik nadal nie chciał nic po sobie pokazać. Spojrzał w okno, za którym zwieszała się gałąź kwiatów. Potem uniósłszy brodę, potoczył wzrokiem po ścianach.

– No to się postaraj, dobrze ci radzę, bo inaczej...

Ariel zamknął oczy. Brązowa magma znowu zaczęła go oblepiać. Narzucił sobie spokój. Widział, że w wielu miejscach jest czarna i ciągną się od niej długie witki wkręcające się w serce i wątrobę. Te, które dążyły do mózgu, były najsilniejsze, więc od nich zaczął. Trwało to długo, ale dla niego leczenie stanowiło rutynową czynność. Kiedy skończył, otworzył oczy.

– Będzie pan zdrowy. – „Będzie długo żył – pomyślał – a nie powinien”. Ale jego zadaniem było pomagać, a nie osądzać i zabijać.

– Nic się nie zmieniło.

– Wszystko jest naprawione. Aura ma dobry kolor i pali się równo.

– Jaka aura?! – wybuchnął mężczyzna.

Ariel uznał, że nie warto odpowiadać. Czuł się bardzo źle. Musiał odpocząć w ogrodzie wśród kwiatów, które milczą.

- Gdzie jest ta wieża? – zapytał.
  - O czym ty mówisz?
  - Pan przyrzekł.
  - Jaki mam dowód na to, że zrobiłeś, co trzeba, he?
- Ariel nie mógł odpowiedzieć. Zemdlał.

Kiedy otworzył oczy, leżał na białych noszach w ogrodzie. Ale teraz drzewa były szare, gdyż minęło wiele czasu. Tuż obok na małym, składanym stołeczku siedział jego opiekun, trzymając ręce ukryte w rękawach. Widać było, że trwał nieruchomo bardzo długo. Pierwsze zdanie, jakie Ariel wypowiedział brzmiało:

- „Zbrodniarz zawsze wraca na miejsce zbrodni”.
- Wciąż powtarzałeś to we śnie.

To nie były sny. Ariel widział miejsce i wciąż wokół niego krążył. Rozmawiał z tamtym, którego ciało było pokryte zakrzepłą już ciecżą. Rozmawiał z nim bardzo długo i wszystko ustalili. Należało naprawić wyrządzone zło. Dostojnik, ciesząc się witalnością i zdrowiem, manipulował ludźmi, wielu cierpiało. Pierwszy dokument, jaki wydał, dotyczył rozwiązania klasztoru, gdzie mieszkał Ariel. Wszystkich rozparcelowano, mury straszyły pustką, pozostał tylko opiekun, czekając na obudzenie się Ariela. Trzeba ogłosić zbrodnię i nadużycia, ludzie potrzebują sprawiedliwości.

- Muszę już iść – powiedział do swego opiekuna.

**Pod czarnym niebem piętrzyły się wielkie stalowe konstrukcje. Budowę portu przerwano, mimo że była prawie na ukończeniu. Lotnisko znajdowało się niemal na brzegu satelity; stąd miały odlatywać wielkie maszyny. Lecz wszystko niszczało od dziesiątków lat, gdyż z powodu nieznanых okoliczności wstrzymano inwestycję. Ariel szedł, słysząc gwar i robotników, którzy kiedyś trudzili się w tym miejscu. Port ożywał rozmowami i ruchem, pracowały maszyny i chodzili ludzie. A kiedy przebrzmiały jego kroki na pustych placach, cisza z powrotem przejmowała wszystko w swe władanie.**

Drzwi do wieży nie było. Ariel zanurzył się w wilgotną ciemność. Ból popełnionej zbrodni uderzył w niego niby ostrza. Powietrze cuchnęło. Stał chwilę na progu, a potem postąpił krok na twardą od lat podłogę. Było tu niewielkie wgłębienie, więc zatrzymał się na jego skraju.

- Jestem – powiedział tamten.
- Był szary i dosyć wyraźny, czas nie miał żadnego znaczenia.
- Przeprowadzisz mnie do końca – powiedział Ariel.
  - Chodź. – Wyciągnął rękę, której Ariel dotknął.

Przed nimi pojawił się most w chmurach. Niebo wisiało nisko jak seledynowy pułap, po obu stronach ciągnęły się srebrne strugi czasu, płynące wstecz. Szli, zanurzeni po kolana w pyle wieczności, i o niczym nie rozmawiali. Droga była bardzo długa. Mijali ich inni. Niektórzy dążyli w skupieniu z pochylonymi głowami i

złożonymi dłońmi. Wędrowali powoli, posuwając się z trudem, starając się wykonać tę pracę jak najlepiej. To byli ci, którym pomagali bliscy, patrząc, jak odchodzą. Inni biegli szybko, uciekając, krzycząc. To samobójcy, nigdy niepokodzeni. Mieli do wypełnienia tylko jedno zadanie: pójść na drugą stronę i odczekać pewien czas, aby zrozumieć wzór swego życia. Lecz oni zawsze się spieszyli i nigdy nie mogli wysłuchać lekcji do końca. Powracali zbyt szybko, zanim jeszcze cokolwiek zrozumieli, by ponownie odegrać zapamiętane sceny. Wielu szło samotnie i obojętnie. Zapomnieli szybko, już w chwili śmierci, i nie planowali żadnych powrotów.

– To tutaj – powiedział tamten i Ariel wiedział, że dalej musi iść sam.

– Moje ciało tam leży – powiedział mu, zanim się pożegnali – jest trudne i wymagające, musisz o nie zadbać.

Tamten kiwnął głową i zawrócił. Ariel ruszył dalej. Dostał się do dziwnej przestrzeni, skąd nie było już drogi. Tu most się kończył, przynajmniej dla niego. Usiadł więc nad brzegiem urwiska i otoczywszy ramionami głowę opartą o kolana, przestał się poruszać i myśleć. Był bardzo zmęczony i niczego nie pragnął. Nareszcie został uwolniony od cierpień. Trwało to pewien czas, ale potem pojawili się inni. Byli niespokojni i oglądali się za siebie. Czasem łomotali pięściami w niebo, stojące przed nimi jak brama, czasem krzyczeli. Ariel widział historie ich życia. Były tak okropne, że nie mógł ich zapomnieć. Dopiero przy nich rozumiał błahość własnych doznań. Wielu nie zaznało w życiu żadnego spełnienia, więc siadali przed nim i pytali: „Dlaczego?”, a potem nie czekając na odpowiedź, patrzyli przed siebie i nie mogli zrozumieć. Ariel cierpiał i zdawał sobie sprawę, że jest to kraina bez nadziei i jego cierpienie nigdy się nie skończy.

Aż kiedyś przybył tamten i stanął przed nim, aby go wyzwolić.

– Dlaczego powróciłeś? – zapytał Ariel. – Czy ze względu na mnie?

– Trochę. Kiedy przybyłem do klasztoru, twój opiekun czekał na mnie. Był prawie martwy z zimna i spodziewał się, że mu pomogę, ale nie miałem w sobie twojej siły, więc wkrótce umarł.

– Nie widziałem go tutaj – powiedział Ariel.

– Poszedł inną drogą. Udałem się do swego zabójcy i wyjawilem mu, kim jestem. Uwierzył, wydał więc rozkaz naprawienia szkód. Ale wielu rzeczy nie dało się naprawić. Przez pewien czas rozważałem sprawę rozpoczęcia wszystkiego od początku. Od tamtego momentu, kiedy umarłem. Chciałem zająć jego miejsce i naprawić wszystko, co zrobił złego. Ale jak? Zwrócić zagrabione majątki? Właściciele nie żyli. Odwołać kłamstwa i potwarze, odplątać intrygi? Przywołać wygnańców z banicji? Wrośli w nową glebę. Wydrukować zakazane niegdyś książki? Powstały nowe poglądy.

Czy wystarczy ogłosić jego przewiny, skompromitować go i potępić, aby wszyscy uzyskali moralne zadośćuczynienie? Po pewnym czasie zrozumiałem, że zło już się

wydarzyło, a świat uległ zmianie. Jest tak splątana i delikatną konstrukcją, że nie da się niczego wyjąć z osobna, gdyż jeden element łączy się z wieloma innymi. I zrozumiałem rzecz jeszcze jedną, najstraszniejszą: zło potem przechodziło w dobro. Nie chcę tego rozważać ani o tym pamiętać, muszę tu pozostać, aby to zrozumieć.

Zrobiłem jednak coś dobrego. Do klasztoru powrócili mnisi i jego mury od nowa zapełniły się życiem. Ale tym razem dobro stało się złem. Mnisi poznali inne miejsca i obyczaje. Powrócili zmienieni wewnątrz, pamiętając to, co przeżyli gdzieś indziej. Musieli znowu powrócić do swoich obowiązków, do uprawy ogrodu, zebrania w przedpokoju, i one zaczęły im ciążyć. Czuli się jak w klatce, wciąż myślą odlatując w dal i przeszłość, gdzie były odmienne krajobrazy i inne twarze.

Ludzie dowiedzieli się, że powróciłem i zaczęli przybywać. Lecz nie umiałem im pomóc. Jedni odchodzili, płacząc, inni złorzecząc. Zrozumiałem, że wypełniłem swoje zadanie – miałem wtedy umrzeć. I niczego nie można naprawić ani odwrócić, na tym ani na tamtym świecie.

Ariel wstał.

– Ale uzyskałeś pomoc i zrozumienie.

– A ty? – zapytał tamten.

– Pojąłem znaczenie proporcji.

– Tak?

– Wiem, że moje cierpienie tu na tle innych... – urwał, a po chwili zaczął od innej strony. – Moje życie w porównaniu z tym, co tu widziałem...

– Nie musisz kończyć.

Ariel popatrzył uważnie na tego, który miał tu pozostać, pogodzony.

– Moje ciało wcale nie jest takie trudne, prawda? – raczej stwierdził, niż zapytał.

I uśmiechnąwszy się, zaczął odchodzić w stronę Ziemi, choć obok jego ciała nie siedział już opiekun i nikt na niego nie czekał. Szedł zadowolony, aby wypełnić zadanie. Szedł spokojnie, ani nie zwalniał, ani nie przyspieszał.

# Klinika doktora Noxa

Stąd nie było ucieczki. Jednak on o tym nie wiedział.

Spoglądał na ocean przez okna, idąc co rano korytarzem do laboratorium. Fale waliły wściekle o skały.

Gdzie leżała ta wyspa, na jakim oceanie? Nie wiodły tu szlaki okrętów i nigdy nie zabłąkał się jacht samotnego żeglarza. Nieba nie przecinały samoloty pasażerskie. Nie weszły tu nawet wojskowe patrolowce.

A więc jak się tu dostał?

Zbudził się, jego świadomość powróciła. Poczuł, że istnieje.

Nie wiedział jednak, kim jest. Nie miał pojęcia, gdzie jest. Chciał to zobaczyć, nie mógł jednak otworzyć oczu. Dźwignięcie powiek było zbyt trudne, wydawały się ciężkie ponad jego siły. Poczuł, że słońce świeci mu prosto w twarz i jaskrawe światło pada wprost na jego oczy. Oślepiało go, mimo zamkniętych powiek. Było to takie wrażenie jak po wydostaniu się z ciemności, i to w takiej, w której leżał bardzo długo. Musiała to być ciemność całkowita, podobnie jak w jaskini, do której nie ma dostępu światła. Był więc tam, gdzie mroku nie rozrzedzało najsłabsze nawet szare światło, które się wdarło przez szparę w drzwiach. Leżał więc w takiej właśnie ciemności, na samym jej dnie. Ale z niej wyszedł.

Słońce go jednak tak raziło, że ciało instynktownie przekręciło się na bok, a w tym ruchu i decyzji jego wola nie brała udziału, tylko sama fizyczność.

W tej chwili usłyszał lekkie stuknięcie. Brzmiało to tak, jakby bardzo lekki przedmiot spadł na deski. Domyślił się, że podłoga jest tuż pod nim i kiedy otworzy oczy, nie spojrzy w oślepiające słońce; podniósł więc powieki. Zobaczył leżącą na gładkiej podłodze obręcz sklejoną z paska sztywnego papieru, o szerokości nie większej niż centymetr. Co to jest?

W jakiś sposób odgadł od razu, czym była i po co nałożono ją na przegub jego ręki. Taki pasek zakłada się zmarłym ludziom, wsuwając przez dłoń.

Zatem umarł. Czy i teraz nadal nie jest żywy, a wszystkie doznania – jak otwarcie oczu czy zsunięcie się obręczy z ręki – to tylko złuda zmysłów? Chciał wiedzieć, że naprawdę wrócił do świata żywych, doznawał więc wrażeń i nie poruszając się, oglądał miejsce, do którego trafił. Leżał na łóżku. Mówiąc ściślej, został na nim położony czy raczej rzucony dość niedbale, podobnie jak się rzuca ciężki przedmiot bez żadnej wartości, którego ktoś chce się szybko pozbyć. Jego głowa zwisała się poza krawędź. Zwisało również lewe ramię, dłoń niemal dosięgała podłogi. To

właśnie z nadgarstka tej ręki zsunęła się obrączka z papieru i stuknęła o podłogę.

Jego dłoń była świeża i dobrze umięśniona. Gdyby nie żył, tłuszcz spod skóry zostałyby zużyty, przecież umarłych się nie karmi. Coś tu się nie zgadzało, był jakiś błąd w danych.

Rozmawiał w myślach ze sobą, zadając pytania i udzielając odpowiedzi. Niemal się ucieszył, gdyż uświadomił sobie, że jego mózg funkcjonuje prawidłowo, czyli podczas przebywania w stanie śmierci nie uległ rozpadowi.

Chciał jednak poznać datę swojej śmierci. Gdzie ją znaleźć? Odpowiedział sobie od razu: została zapisana na pasku. Ale choć wyteżał wzrok, nie mógł jej odczytać. Znalazł przyczynę: cyfry mogły ulec zamazaniu od wilgoci. Ten proces rozumowania sprawił mu pewną przyjemność, gdyż był kolejnym dowodem na prawidłowe funkcjonowanie jego mózgu.

Chciał sprawdzić, czy na pasku informacyjnym w ogóle coś napisano. Może są tam jakieś dane, które pomogą mu odkryć, kim jest? Jego dłoń popchnęła pasek papieru, który się obrócił. Ujrzał na nim wydrukowane litery. Odczytał nazwisko, słabo widoczne, gdyż tusz zaczął się rozkładać. Na pasku widniał napis: Henryk Kahlt.

„To ja – pomyślał. – Tak się nazywam”.

Nie mógł sobie jednak niczego więcej przypomnieć. Ale jego mózg funkcjonował i tylko to się liczyło. Produkował myśli, a właśnie to decydowało o byciu człowiekiem. Mózg uważał za najważniejszy, a zdolność wytwarzania myśli za cechę, która czyniła z niego istotę. Uczucia, jakieś tam emocje, były bez znaczenia, całkowicie niepotrzebne.

Poczuł jednak, że prześcieradło pod jego plecami było wilgotne, a on nie został nawet przykryty. Skąd ta wilgoć? Zanim go tu przyniesiono, leżał zanurzony w wodzie. Kiedy kładziono go na łóżko, był wilgotny, woda z ciała spłynęła na prześcieradło. Zadał sobie jednak pytanie, dlaczego nie obeschła na skórze? Umysł Henryka pracował przez chwilę, przetwarzając informacje, i znalazł odpowiedź: najwidoczniej woda, w której był uprzednio zanurzony, miała bardzo niską temperaturę. A może leżał po prostu w lodzie? I rzucono tę bryłę lodu na łóżko, z jego ciałem w środku, pozostawiając do czasu, aż lód się roztopi. Przyjął to wyjaśnienie obojętnie; pomyślał tylko, że woda nie wyparowała, gdyż temperatura jego ciała również była niska.

Ta odpowiedź zadowoliła Kahлта całkowicie, gdyż została sformułowana przez jego mózg. To mu wystarczało. Nie potrzebował żadnych uczuć ani emocji, gardził nimi i starał się je pomijać.

Był już na tyle silny, że uniósł głowę. Znajdował się w pustym, dość jasnym pokoju. Na przeciwległej ścianie pojawił się prostokąt. Spojrzał na niego i zrozumiał, że jest to kalendarz. Nie zobaczył jednak na nim żadnych cyfr wskazujących datę. Nie dowiedział się więc, jaki jest dzień lub choćby miesiąc.

Po chwili jednak pod wpływem jego wzroku kalendarz się uruchomił i pokazał datę. Lecz zanim zdążył ją odczytać, znikła i pojawiła się następna. I znowu znikła, i



znowu pojawiła się kolejna. Pokazywały się i mijały, a on odgadł, że pierwsza data odnosiła się dnia, kiedy ostatni raz patrzył na kalendarz, przebywając w tym pokoju. Kiedy to było? Przed śmiercią. Spadające i znikające dni wskazywały, jak długo znajdował się w stanie śmierci. Leciały jednak tak szybko, a nawet przyspieszały, że nie mógł ich policzyć. Było ich bardzo dużo, tworzyły miesiące, może nawet lata. Spadały i nie chciały się zatrzymać, a czas mijał, ten czas, kiedy go nie było. Odwrócił głowę; wiedział, że kartki kalendarza puszczane w ruch nadal się sypią, bez ustanku, nie zwracając uwagi na człowieka.

Nie mógł sobie przypomnieć chwili, kiedy zabrano go z tego pokoju. Uznał, że upływ czasu mierzy się od jednego wydarzenia do drugiego. Nie potrafił jednak przywołać w pamięci żadnego faktu, choć jego mózg działał tak bezbłędnie. Nie był w stanie zrozumieć, jaką operację powinien wykonać umysł, by wyświetliły się w nim jakieś informacje z przeszłości. Nie wiedział również, jaki jest mechanizm łączący je w pamięci.

Znikające dni, miesiące, całe lata nie miały cech charakterystycznych, były tylko szeregiem cyfr bez treści. Odwrócił więc wzrok od kalendarza, który okazał się nieprzydatny, bo niczego mu nie wyjaśnił. Co sprawi, że przypomni sobie tamten dzień, wydarzenia i czynności, ruchy rąk, kroki, głosy ludzi i rozmowy – wszystko, co decydowało o tym, że od tej chwili będzie się liczyć odcinek czasu?

Zdziwił się bardzo, że to, co przydarza się jemu, ma tak silny wpływ również na urządzenia elektroniczne.

– To nie jest moja rzeczywistość! – krzyknął z całej mocy.

Nie jemu się to przydarzyło, ale im, tamtym, którzy leżeli w lodzie tyle czasu. To oni ją tworzyli, zamrożeni w bryłach lodu pacjenci Kliniki doktora Noxa. Leżeli w nich bardzo długo i mieli zapomnieć. Pragnęli pozbyć się traumatycznych przeżyć, które były tak silne, że nie mogli sobie z nimi poradzić. Poddawali się więc sesjom krio, podobnym do stanu śmierci fizycznej.

Ale to nie była jego śmierć, on nie umarł, tylko oni, tamci. Leżeli unieruchomieni w lodzie, procesy życiowe ich organizmów uległy wyhamowaniu. Wciąż jednak coś z siebie wydzielali. Wyrzucali swoje potwornie silne i nadzwyczaj bolesne uczucia. Widzieli zdarzenia z przeszłości, wspominali je i przewijali przed oczami straszne sceny.

I te obrazy, ta ich rzeczywistość wsączyła się do świata Henryka Kahlta tej właśnie nocy. Nieżywi, zamrożeni nieszczęśnicy, pacjenci Kliniki doktora Noxa wytworzyli silną rzeczywistość, która opanowała jego sen; o ile w ogóle teraz śnił.

Coś niesamowitego musiało się wydarzyć tej nocy w klinice, skoro straszne sceny wydobyły się z pamięci pacjentów i uzyskały tak wielką autonomię, że opanowały jego sen. Otuliły Henryka jak kocem i uzyskały przewagę nad jego własnymi doznaniem.

Co straszego wydarzyło się tej nocy?

Rzeczywistość stawała się bardziej spójna i dotykalna, nadpływała sekwencyjnie. Ale na niego nie miała wpływu. On nadal jest tym, kim chce być. Zachowuje spokój emocjonalny. Myśli, co zapewnia mu wyjątkowość i wielkość. Może w każdej chwili sprawdzić opanowanie swoich emocji, bo nie da się im, tamtym, którzy leżą w lodzie i nie mogą zapomnieć. Jednak on sam nie potrafił sobie przypomnieć niczego na własny temat, gdyż nic nie czuł. Oni natomiast nie mogli zapomnieć, gdyż czuli zbyt silnie.

Spojrzał na stojące pod oknem krzesło – leżała na nim odzież złożona w kostkę. Przyglądał się jej przez chwilę i stwierdził, że ubranie było noszone. Przypuszczalnie należało do niego i kiedyś go używał. Może więc je założyć i na pewno powinien to zrobić. Nie mógł sobie również przypomnieć swoich zwyczajów: czy składa rzeczy porządnie, czy raczej je rozrzuca. Henryk podniósł się z posłania i zbliżywszy do krzesła, wziął ubranie w rękę. Oglądał je obojętnie i nie wiedział, czy kiedykolwiek je zakładał. Spodnie nosiły ślady wsuwania czegoś za pasek. Nie umiał skojarzyć, co to było. Nie znał również mechanizmu, który umożliwiłby mu połączenie charakterystycznych cech oglądanych przedmiotów z przeszłymi wydarzeniami, związanymi z tymi rzeczami.

Ubrał się, nie rozstrzygając niczego i nie chcąc się dowiedzieć, jaki właściwie jest. Było mu wszystko jedno i on sam był dla siebie nieważny. Myślał. Tylko to całkowicie go określało i wystarczało, zastępując inne doznania.

Przybliżył twarz do szyby, usiłując przeniknąć ją wzrokiem. Słońce świecące prosto w okno nie pozwoliło mu niczego dojrzeć na zewnątrz. Zobaczył jednak swoje odbicie w szybie.

Przyglądał się swojej twarzy zupełnie obojętnie. Pomiędzy brwiami, nieco powyżej, zauważył coś czerwonego i wypukłego. Zmrużył oczy. Wtedy stwierdził, że wykwitł mu na czole nabrzmiały, czerwony ropniak, olbrzymi, z żółtym dziobem ropy na końcu. Dotknął go palcem, by sprawdzić, że na pewno się tam znajduje. Pod palcem poczuł wypukłość.

Dotyk wzbudził w nim nieznane dotąd wrażenie: obrzydzenie. Oczy mówiły mu, że ropień jest odrażający. Uświadomił sobie, że ma go na własnej twarzy. Pryszcz oznacza, że jego ciało wydała odpady przemiany materii. Wyrzuciło je jednak na twarz.

„Obrzydliwe”. Wstrząsnął nim dreszcz, kolejna nowość. Uświadomił sobie, że posiada ciało, które jest wypełnione podobnym paskudztwem. Nagle wyobraził sobie produkty przemiany materii, przelewające się w jego wnętrzu. To było okropne i nie chciał się z tym pogodzić.

„Jestem ohydny” – pomyślał.

Ogarnęło go uczucie wstrętu do własnej osoby. I nagle przez jego umysł popłynęły jakieś obrazy. Były jednak niewyraźne. Nie łączył ich pojawienia się z odczuciem, jakie go opanowało. A stawało się coraz silniejsze.

„Nie jestem wyłącznie umysłem” – zrozumiał i wtedy ogarnęło go coś, czego dotąd

nie doświadczał: emocje.

„Nie zgadzam się” – wołał do siebie samego, chcąc pozostać czystym światłem myśli. Nie było to już możliwe.

Pochylił się, wlepił wzrok w odbicie i uniósłszy dłonie do czoła, wycisnął ropień paznokciami. Zdusił go mocno dwoma palcami, ale wzgórek nie zniknął i skóra na czole pozostała wypukła. Przekonał się, że jest ciałem, które wydala. Ta definicja wzbudziła w nim pogardę do samego siebie. Nie chciał być ograniczony do funkcji fizycznych, musiał być czymś więcej.

„Kim jestem?”

I wtedy opanowało go kolejne uczucie: wstyd.

„Uczony z ropniakiem na czole” – pomyślał o sobie.

I wtedy cały jego umysł i ciało przeszył dreszcz, i wykrzyknął na głos:

– Jestem uczonym! Umysłem, a nie ciałem, wypełnionym odchodami i psychiką rozwaloną negatywnymi emocjami.

Stworzył nawet własną teorię naukową dotyczącą relacji umysłu i emocji. Patrzył wciąż na swoją twarz zwięzonymi oczami. Był zły, rozwścieczony do ostatnich granic. Czuł się znieważony, i to czym – takim odrażającym, haniebnym ropniakiem.

„Jakiż to ze mnie uczony!”

Uświadomił sobie, że jego mózg nie zarządzał ciałem całkowicie. Nie było mu posłuszne. Jego umysł okazał się słabszy od ciała, samowolnego i bezczelnie bezwstydne. Pomyślał, że jego organizm spala i wydala tak dużo, gdyż dostarcza mu zbyt wielu tłustych i ciężkich pokarmów. Po prostu obżera się codziennie ponad miarę i ponad potrzebę podtrzymywania życia. „Jakaż to wstrętna i poniżająca wada. Jakże nie pasuje do uczonego, który uważa, że najważniejszy jest jego umysł”.

Widział siebie podczas posiłków, jak nakłada sobie z półmisek na talerze kolejne porcje i pochłania je, niemal nie gryząc, a jedynie połykając, by najeść się szybciej.

„Jaki wstyd!”

Zobaczył, że jego twarz odbita w szybie robi się czerwona. Nigdy dotąd nie doznawał takich emocji i znowu nie potrafił ich kontrolować swoim umysłem. „Po co one? Nienawidzę ich!” – krzyczał do siebie, ale czuł coraz mocniej i bardziej szaleńczo. Emocje, dzikie i żarłoczne, opanowały Kahla niemal całkowicie. Ogarnął go wstyd również z innego powodu: poczuł się jak chłopaczek, który się rumieni, bo nie może opanować odruchów swego ciała, a ono samowolnie wywala na skórę produkty przemiany materii. Nie miał na to żadnego wpływu. I nic nie mógł na to poradzić jego świetny mózg uczonego!

„Jakże jestem śmieszny”.

Jeszcze przed momentem, przed tym wydarzeniem, był zadufany w sobie i uważał się za uczonego – a jest chłystkiem z krostami na twarzy. Czuł się zdegradowany. Jakiż z niego uczonego, skoro ma pryszcz na czole jak smarkacz, który wstydliwie spuszcza

wzrok. Jakże czuje się spostponowany. I wściekły.

Jak mocno czuje! On, który uważał, że emocje są niepotrzebne.

Teoria Henryka mówi, że emocje to po prostu totalny chaos niszczący psychikę. Niekontrolowane, rozwalają osobowość, dezorganizują całego człowieka. Wniosek wydaje się oczywisty: emocje są zbędne. Wpływ uczuć na rozwój inteligencji jest nieistotny. Ba, ale to trzeba udowodnić, jeśli teoria ma posiadać wartość naukową.

Kolejnym więc etapem w jego pracy było znalezienie metody kształtowania emocji, ich stabilizacja. Gdyby stały się posłuszne, gdyby człowiek je kontrolował, wtedy mógłby nimi zarządzać i używać do własnych celów. Gdyby przebiegały w sposób uporządkowany, nabrałyby dla ludzi wartości.

To chciał udowodnić. Dlatego podjął się tej pracy w Klinice doktora Noxa, będącej jednym wielkim doświadczalnym laboratorium. Tu mógł się popisać i zrobić wielką karierę.

Człowiek jest istotą rozumną. Bez emocji potrafi się obejść.

A teraz właśnie poddał się emocjom, których nie kontrolował. Wprost przeciwnie, to one go opanowały. Ciekawe, czy ta wściekłość, która nim miota, ta pogarda do samego siebie, mają jakikolwiek wpływ na funkcjonowanie umysłu? Nie potrafił się skupić. Za mocno odczuwał.

Obaj koledzy przy śniadaniu będą z niego drwić. Słyszając ich złośliwe uwagi, skrepowany, spuści głowę. Nie nawiązywał z nimi relacji, nie spotykał się na korytarzu, nie prowadził pogawędek. Zachowywał dystans. Bo o czym mogli rozmawiać! O banałach, o swoim samopoczuciu i głupich rozrywkach, o niczym godnym umysłu uczonego. Każdy z upodobaniem opowiadał też o rodzinie. Każdy ją stracił. Z tego powodu ogromnie cierpieli i w kółko przypominali sobie szczegóły śmierci żony, córki, utraty domu, który spłonął lub zalało go tsunami. Znał już ich historie na pamięć i nie miał ochoty znowu ich wysłuchiwać, oglądając twarze poryte zmarszczkami bólu. Dziwił się, że ci dwaj w ogóle funkcjonują. Ale dzisiaj to Henryk wciąż przypominał sobie przeszłość. „To znowu oni, ci krio – pomyślał. – Ich rzeczywistość ma negatywny wpływ na moją pamięć i świadomość”.

Odwrócił się od okna i zobaczył, że na krześle pozostała jeszcze jedna rzecz: jego laptop. Był cienki i dawał się składać na pół, co było bardzo wygodne. Ujął go i automatycznie, nie zastanawiając się nad tym, co robi, wsunął go za pasek spodni. Widniał na nim ślad od codziennego wkładania laptopa, który wyglądał jak złożona kartonowa teczka do przechowywania dokumentów. Ale by upchnąć laptop za paskiem, musiał wciągnąć brzuch. Był grubasem, tłuściochem, uczonym opasanym warstwą sadła.

Wywołało to kolejny atak odrazy do samego siebie. Znowu opanowały go silne emocje, rozsypując następny, jeszcze głębiej w przeszłości zawiązany węzełek na sznurku trwania. Ale Kahlt o tym nie wiedział, nie chciał wiedzieć. Choć od tego nie

ma ucieczki.

Moce doznania uruchamiały pamięć, mimo że wcale mu na tym nie zależało. Obrazy przyplływały same. Oglądał sceny, pokazujące mu, jak się tu dostał. Zaproponowano mu pracę. Wielka wygrana. Bezpośredni rezultat wydrukowania jego artykułu, oczywiście naukowego. Objasniał w nim dokładnie swoją teorię emocji. Miał niesamowite szczęście, gdyż jego tekst został przyjęty do druku i wkrótce pojawił się przed oczami czytającej publiczności. Nie było tych oczu zbyt wiele, gdyż artykuł został wydrukowany w naukowym czasopiśmie studenckim, sponsorowanym przez uczelnię. Jego nakład był niewysoki, ograniczał się do kilkuset sztuk, ale i to się liczyło. Egzemplarze rozkładano w uczelnianej bibliotece i w stołówce, gdzie oczy czytających skupiały się również na jedzonych właśnie potrawach.

Chociaż ujawnił w artykule swoją teorię, która była absolutnie oryginalna, nie liczył na propozycje zatrudnienia ze strony wielkich korporacji. O takie zlecenia musieli walczyć nawet pracownicy naukowcy z poważnym dorobkiem. Kiedy złapali temat badań, nie pytali, w jaki sposób zostaną wykorzystane ich wyniki. Wytną białka i będą się rodzić ślepe dzieci. Dobrze, za ile? Ziemia stanie się jałowa. Okej, podwyższamy stawkę. Pracujemy nad ściśle tajnym projektem wojskowym? Oczywiście, a czy są inne? Czy jakakolwiek korporacja posiada wolne środki? Nie ma innych zleciodawców niż wojsko, przestańcie być naiwni.

I on też wystawił się na sprzedaż w wielkim oknie sklepowym i czekał na nabywcę. Oczywiście z wypchanym portfelem. Nie miał również szansy zaczepić się na uczelni na jakiejś asystenturze czy w laboratorium, gdyż brakowało funduszy.

Jechał wtedy Pasem jak co dzień, siedząc w klasie darmowej, wśród innych, takich samych jak on, zdolnych absolwentów, którzy szukali swej szansy życiowej i nie chcieli skończyć jako sprzedawca w sklepie. Żaden z nich nie wyglądał przez okno szarym wzrokiem, gdyż jeszcze nie zrezygnowali: każdy systematycznie i wściekle szukał intratnej oferty. Henryk również, poszukując dla siebie propozycji pracy, przeglądał zasoby w laptopie położonym na kolanach. Robił to dzień w dzień, z zaciekleścią, która rosła w miarę, jak dostawał odmowne odpowiedzi na swoje wciąż wysyłane CV. Znowu nic! I dzisiaj także nic; tylko dyżurny komputer w dziale zatrudnienia odsyłał swoje chamskie i nieludzkie: „Dziękujemy, nie skorzystamy”.

Gnał więc Pasem, jeżdżąc w kółko z uczelni do domu, by zabić czas. Był już blisko ostatniego przystanku, na którym zawsze wysiadał, chciał więc złożyć laptop na pół i wsunąć za pasek spodni, kiedy nagle zauważył pewne logo: cztery osoby, szczęśliwa rodzina. I nie gadajcie, że tylko wojsko robi projekty. Yes! Propozycja, praca, stanowisko, i to specjalnie dla niego. „Potrzebujemy właśnie pana, naukowca, twórcy tak oryginalnej teorii”. Los szczęścia.

Szybko przebiegł wzrokiem warunki kontraktu. Yes! Yes! Obiecano mu wszystko,

czego tylko pragnął: samodzielne laboratorium, fundusze na badania, brak ingerencji w tematykę i zgodę na jego metody. Kolejnych punktów nie przeczytał, szalony ze szczęścia. Podpis elektroniczny, klik, wypełniło się. Odetchnął i wsunąwszy laptop za pasek, wysiadł na ostatnim przystanku. Wszystko stało się tak szybko.

Tyle pamięta. Wie, kim jest, poznał już fragment swojej przeszłości, zobaczył znaczące, kluczowe wydarzenie. A stało się to możliwe tylko dzięki temu, że odczuwał silne emocje. Rozumie więc, że przebywa w miejscu, gdzie go zatrudniono. Pracuje tu jako uczony, ma laboratorium i swój program badawczy, w który nikt nie ingeruje. Tyle już wie o sobie.

Ogarnął jeszcze wzrokiem pustawy i bezosobowy pokój i wyszedł na korytarz. Udał się do jadalni. Duża sala została przedzielona filarami. Pomiędzy każdymi czterema słupami znajdował się stolik przykryty obrusem z tkaniny. A na nim zazwyczaj stały potrawy, które jadalni jego dwaj koledzy.

Dzisiaj do śniadania nakryto tylko jeden stolik, który na dokładkę wyglądał jakoś inaczej. Przyglądał się uważnie zastawie i zaserwowanym daniom – były dziwne, choć przez dłuższą chwilę nie mógł zrozumieć, co go w nich niepokoi.

Filizanki do kawy wykonano z porcelany, nie z plastyku. Zamiast ekspresu ciśnieniowego, przypominającego zwykły sześcian z guzikiem do naciskania, był młynek – miał z boku korbkę, a ziarna kawy wsypano do stojącej obok drewnianej szkatułki z otwieranym wieczkiem, pięknie rzeźbionym. Na środku blatu stała waza na zupę, w środku znajdowała się ciężka i srebrna chochła.

Dlaczego nie siedzą przy stoliku dwaj jego koledzy z wykrzywionymi bólem twarzami? Co się z nimi stało, gdzie się podziarli? Dla kogo nakryto stolik? Straszne podejrzenie zakiełkowało w jego umyśle. Dlatego dopiero po jakimś czasie uświadomił sobie, że te wszystkie przedmioty miały dziesiątki lat, moda również. Pełen niepokoju przeszedł do niewielkiej antresoli. Tu właśnie jadał, pochylony nad swoim laptopem, rozłożonym tuż obok talerza. Jedząc nieuważnie, przeglądał różne projekty naukowe i porównywał rezultaty swojej pracy z kilku ostatnich dni. Jego udział w życiu tego miejsca był ściśle określony zadaniami, jakie wykonywał. Nie chciał się przysłuchiwać dobiegającym z jadalni rozmowom kolegów, opowieściom o ich życiowych tragediach.

I tego dnia również swoim zwyczajem wyciągnął z zaskakująco laptop i położył go na stole, otwierając, by przy śniadaniu przeglądać zasoby sieci. Mimowolnie nasłuchiwał odgłosów z sali jadalnej. Panowała tam jednak cisza, nikt nie wszedł. Nie było również jego kolegów.

Sięgnął więc po jedzenie, wciąż nadstawiając uszu. Dobierał potrawy na talerz, i to kilkakrotnie, aż uznał, że jest napełniony, przynajmniej na jakiś czas.

Nagle usłyszał kroki dobiegające z sąsiedniej sali – inne niż te, do których

przywykł. Jego koledzy poruszali się pewnie, jak osoby żywe; nie płynęli ponad posadzką niby zjawy. A ludzie zza ściany stąpali lekko, niemal bezszelestnie. Odsuwali delikatnie krzesła, nie szurając nimi po podłodze. Być może byli po prostu bardzo dobrze wychowani. Ktoś zakręcił korbką młynka do kawy. Wkrótce do nozdrzy Henryka dotarł miły aromat. Porcelanowe filiżanki, z których upijano po łyku, delektując się smakiem naparu, delikatnie odstawiano na spodeczek.

Nie byli to koledzy Khalta, gdyż oni zachowywali się znacznie głośniejsze, stukając sztućcami i nie troszcząc się o maniery przy stole.

W tym momencie usłyszał rozmowy.

– Moja córka ma grypę – powiedziała jakaś kobieta smutnym głosem. – Mówią, że to jakiś nowy, bardzo zabójczy szczep. Obawiam się, że z tego nie wyjdzie. Nie wyobrażam sobie, jak będę żyła, gdyby stało się najgorsze.

– Zrobiłem sobie masę zdjęć na filmie Fuji – rzekł mężczyzna tak samo żalnym tonem. – Czy chciałabyś je obejrzeć? Są na nim utrwalone wszystkie momenty mojego życia. Naprawdę straszne i nie mogę ich zapomnieć.

„To oni” – uświadomił sobie.

Właśnie zostali wybudzeni. Przez całą noc trwał proces przywracania ich do życia, gdyż tak wyglądała procedura w Klinice doktora Noxa. Zajmowali się tym jego koledzy i to oni podjęli decyzję o wybudzeniu dwóch osób. Ale gdzie są teraz, co się z nimi stało? Jakieś straszne, nieprzyjemne i bolesne podejrzenie wkradło się do jego serca. Przypomniał sobie, że mówili wielokrotnie, że dobrnęli już do kresu sił psychicznych i nie dają rady dźwigać swojego cierpienia. Jednak jego to nie obchodziło. „Jestem przecież uczonym i nie mogę się zajmować cudzymi sprawami. Mogę odpowiadać wyłącznie za siebie”.

Teraz jednak odczuł coś w rodzaju ulgi, choć wiedział, że to egoistyczne. Niemniej skoro ich nie było w jadalni, uniknął ich docinków i lekceważących spojrzeń. Gdzie się podzieli? Był niemal pewien, że przeprowadzili dekriogenizację tych dwóch osobników tylko po to, aby zająć ich miejsce. Leżą więc tam u góry, na piętrze, za hermetycznym drzwiami. Będzie musiał sprawdzić, na jak długo włączyli program, bo teraz na niego spadły wszystkie obowiązki.

Słyszając wyznania pacjentów, zastanawiał się nad jeszcze jedną ważną sprawą. Jaki był stan ich psychiki? Już po pierwszych słowach stało się jasne, że nadal odczuwają wszystkie cierpienia, jakich wcześniej doznali w swym życiu fizycznym. Sesja kriogenetyczna w ich przypadku nie powiodła się. Być może dlatego, że została skrócona, niezgodnie z programem. Gdyby przebywali w komorze krio przez wyznaczony czas, na pewno bolesne wspomnienia uległyby zatarciu – takie właśnie było założenie Kliniki doktora Noxa. Czy koledzy postąpili właściwie, zgodnie z procedurami, czy raczej nie liczyli się z interesem doktora Noxa, nie dbali o zdrowie psychiczne pacjentów i w ogóle nie przejmowali się uczciwością wobec korporacji,

która ich zatrudniła?

Przedmioty w jadalni zaprzeczały jego cynicznym wnioskom. Stara zastawa, młynek z korbką, rzeźbiona drewniana kasetka do kawy w ziarnach. W jego czasach ekstrakt rozpuszczalnej kawy pakowano w hermetyczne torebeczki, które znikwały w gorącej wodzie. Zastawa stołowa miała co najmniej kilkadziesiąt lat. Czyżby więc zostali wybudzeni najstarsi pacjenci kliniki? To znaczy, uświadamiał sobie z przerażeniem, że przebywali w stanie krio bardzo długo! Nie leżeli w lodzie, to uproszczenie; poddawano ich specyficznym zabiegom powoli wyłączającym i konserwującym ich organy wewnętrzne. Nie był dotychczas zbyt zainteresowany procedurami, gdyż pełnił tu funkcję pracownika naukowego na stanowisku psychologa. Miał swój projekt badawczy. Niemniej jednak ci najstarsi stażem pacjenci przebywali w komorze przez kilkadziesiąt lat. O tym świadczyły również ich rozmowy. Kobieta mówiła o córce chorującej na grypę. Faktycznie, w pewnych okresach historii ta groźna choroba pociągała za sobą wiele ofiar śmiertelnych. Jedną z nich była ukochana córeczka tej kobiety. Jej towarzysz przy stole wspominał o filmie Fuji. To znaczy, że robił zdjęcia, zapisując je na filmie wsuwanym na rolce do aparatu – ale już w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego stulecia ten sposób zapisu fotografii wyszedł z użycia. Jakże wiele lat minęło! I przez ten cały okres przebywali w komorach krio, starając się zapomnieć o bolesnych przeżyciach, które spowodowały, że zgodzili się poddać temu straszemu procesowi. I dzisiejszej nocy ich potwornie silne emocje uwolniły się, gdy krew zaczęła na nowo wypełniać ich komórki. Jak widać metoda doktora Noxa okazała się nie całkiem skuteczna; będzie więc musiał złożyć raport, aby ją udoskonalono. Dokona wielu obserwacji i pomiarów, podejdzie do zagadnienia jak naukowiec.

Zamierzał uruchomić stronę, na której widniało logo jego pracodawcy. To ono przyniosło mu szczęście i pracę. Odsunął talerz, by móc swobodnie oprzeć łokcie na stole i wyprostował się, plecami dotykając oparcia krzesła. Głowę odchylił nieco do tyłu i odruchowo spojrzął na ścianę naprzeciwko. I pierwszy raz dzisiaj zobaczył to, co na niej zawieszono.

Patrzył, zastanawiając się jednocześnie, czy już przedtem kiedykolwiek to widział. Na ścianie wisiał plakat. Bardzo duży, zajmował przestrzeń od jednego do drugiego filaru. Przyglądał się ze zdziwieniem, gdyż wszystko w nim było nie z tej epoki. Został wykonany z papieru. Musiał być dosyć cenny, gdyż oprawiono go w drewniane ramy, ze zdobniczymi żłobieniami, i przykryto szybą. Papier wzdłuż brzegów był pożółkły i postrzępiony; oprawa zapewne chroniła plakat przed dalszym zniszczeniem lub wręcz rozsypaniem się. Ktoś zadał sobie trud, by go zachować w całości.

Na plakacie pokazano rodzinę. Rodzice i dzieci. Biło od nich szczęście i radość. Uchwyceni w biegu. Uniesione nogi, ruch wzdymający sukienki tańczące wokół kolan. Biegła matka, trzymając za rękę rozradowaną córeczkę. Tuż przed nimi biegł ojciec,



ubrany w garnitur z prążkowanego materiału. Marynarka miała szerokie klapy, a nogawki spodni wyjątkowo szerokie mankiety u dołu. Ojciec również trzymał za rękę dziewczynkę, której włosy zostały zaplecione w dwa cienkie warkoczyki i ozdobione kokardkami.

Zbliżali się, tak biegnąc, do dużego budynku. Z jego szeroko otwartych drzwi biła łuna jaskrawego światła. Biegli, byli już blisko jasności. Zaraz w nią wbiegną i roztopią się w blasku, znikną, pochłonięci przez światło. Jakże się śpieszyli i jak bardzo byli szczęśliwi, że są już tak blisko, wystarczy kilka kroków i przekroczą drzwi. Ponad nimi widniały duże białe litery, wyraźnie odcinające się na tle czarnej ściany budynku: „Klinika doktora Noxa”.

Ten napis, straszny, nagle zobaczył w swojej pamięci. Widział siebie, jak go odczytuje z uniesioną głową, mając za plecami czarne niebo. Ogarnął go strach i był tak samo silny jak tamtego dnia. W tej samej chwili przypomniał sobie, jak tu dotarł. Widział każdą sekwencję od samego początku, od chwili, kiedy podpisał kontrakt.

Pracodawca wyznaczył mu punkt kontaktowy. Była to szeroka, nieuczęszczana szosa za miastem. Kazano mu tam czekać na przylot transportowca, który zawiezie go na miejsce. Myślał głównie o laboratorium, które mu przyrzeczono.

Stał więc na pustej szosie. Godziny mijały, mimo to stał uparcie, wierząc w obietnicę. Nie dopuszczał do siebie żadnych wątpliwości: że może się pomylił lub go oszukano. Po prostu trwał, jak na posterunku strzegącym jego pomyślnej przyszłości, w którą ufał.

Zapadła już ciemność. Wciąż stał, patrząc przed siebie. Powiał nagły wiatr i wtedy tuż przed nim wylądowała bez najmniejszego szmeru jakaś maszyna. Widział przed sobą dwa jarzące się światła. Oślepiły go, więc prócz nich udało mu się dostrzec jedynie coś w rodzaju czarnego trójkąta. Pojazd usiadł na gładkiej szosie tak precyzyjnie, że drzwi wjazdu znalazły się dokładnie na wprost niego – właśnie się rozsuwały na boki, ujawniając duże, puste, oświetlone wnętrze. Westchnąwszy, pochylił się, by ująć rączkę walizki. Trzymając ją mocno, zrobił jeden krok i już znalazł się w środku pojazdu. Wciąż nieco pochylony, gdyż sufit znajdował się nisko, zbliżył się do fotela, jedyne, jaki znajdował się w tej kabinie; usiadł, stawiając walizkę tuż obok prawej stopy. Niemal zapadł się w głębokie, miękkie siedzisko, z którego na pewno nie byłoby łatwo się wydostać – tym bardziej że umieszczone po obu stronach łapy uniosły się i pochwyciły jego oparte na poręczach ręce, a obręcze unieruchomiły nogi i ramiona. Teraz na pewno nie dałby rady wstać, ale nie przejął się, gdyż zdawał sobie sprawę, że te zabiegi należą do procedur bezpieczeństwa. Pojazd najwyraźniej będzie leciał bardzo szybko.

Nie pomylił się – i choć zewnątrz nie ani drgnął, kiedy odrywali się od ziemi, jego żołądek uderzył w płuca. Zrozumiał więc, że znajdują się w przestrzeni. Nie pojawił

się żaden pilot ani też nikt z obsługi, co zresztą nie dziwiło, bo lotami sterowały systemy, sprawniejsze i tańsze niż ludzie. Nie wiedział, jak długo trwała podróż; wydawało mu się, że się zdrzemnął, albo zapadł w dziwny sen, będący czasową utratą świadomości. Nie roztrząsał tego, nie analizował. Być może nikt nie chciał wymazać mu pamięci ani też inaczej wpływać na jego umysł – tylko szybkość lotu i wysokość miały na niego tak negatywny wpływ.

Kiedy wysiadł po wylądowaniu, niczego wokół nie widział, tylko ciemność. Słyszał jednak huk, który dobiegał zewsząd. Znał ten dźwięk: tak waliły o brzegi wielkie fale. Ocean! Wielki ocean, a nie jakieś tam morze wewnątrz lądu, bo morza tylko szumią, oceany natomiast huczą i czujesz ich wielkość, głębię i nieodgadnione przestrzenie.

Przestraszył się, odkrywszy, że trafił na prawdziwą oceaniczną wyspę! Poczuł się nagle bardzo mały i wręcz widział swoją drobną i czarną sylwetkę na tle ogromnego nieba i wielkiej wody. Zapaliły się reflektory transportowca, ostre światło zostało skierowane na stojący nieopodal budynek. Zobaczył przed sobą prostą drogę; mimo to jego strach nie mijał, wciąż czuł się mały i samotny.

Transportowiec uniósł się. Zakręciwszy na tle nieba, zwinął się jak zwęglona kartka papieru i zanurkował w głąb przestrzeni. Dopiero w tej chwili uświadomił sobie, czym mogła być maszyna, która go przywiozła. „Co to właściwie za firma, jakie ma powiązania?” Nie wiedział, dla kogo będzie pracował ani jakim celom posłużą jego badania. Nie zastanawiał się nad tym. Aż do tej chwili. „Nie są przecież niebezpieczne. Nie mogą być wykorzystane przeciwko ludziom” – ta myśl, choć niczym nie poparta, jednak go uspokoiła.

Czarny trójkąt dawno zniknął, a on stał z walizką u nogi. Uniósł ją wreszcie i poprzez betonową płytę lotniska ruszył ku budowli. Nagle ktoś otworzył szeroko drzwi i buchnęła z nich jasność, wielki snop silnego światła. Uczyniono to z pewnością, by wskazać mu drogę. Wszedł w oświetlone drzwi, w przerażające białe światło, podobnie jak rodzina przedstawiona na plakacie.

Uruchomił laptop. Wiedział, czego szuka. „Doktor Nox” – wpisał do wyszukiwarki. Odpowiedź go zdumiała: „Doktor Nox nigdy nie istniał”. Jednocześnie wyświetliły się różne powiązane z tym hasłem skojarzenia. Odsyłano go do takich dziwnych pojęć jak komunikacja pozawerbalna, stymulacja mózgu oraz wygaszanie emocjonalne. Postanowił później ewentualnie zapoznać się z tymi wyjaśnieniami, gdyż uznał, że mają tylko bardzo odległy związek z tym, co go bezpośrednio dotyczyło.

Zamknął i złożył laptop, po czym wsunął go za pasek, wciągając brzuch wraz z powietrzem. Wyszedł z jadalni, w której już nikogo nie było. Stał u podnóża schodów prowadzących na wyższe piętro. Dobiegały stamtąd dziwne dźwięki. Słuchał przez chwilę, nie mógł jednak odgadnąć, co to za instrument. Była to przyjemna

melodyjka, wygrywana w sposób dość mechaniczny. Mając się na baczności, wspinał się po schodach. Co zobaczy na ich szczycie?

Stanął na najwyższym stopniu. Przed nim roztaczał się niezwykle widok, który oglądał z rosnącym zdumieniem. Był tu po raz pierwszy. Dotychczas ograniczał się tylko do swoich prac w laboratorium i nigdy nie czuł potrzeby, aby tu wchodzić, gdyż pacjentami zajmowali się jego koledzy. No ale teraz ich nie było.

Korytarz stanowił jakby ulicę w miasteczku. Nawet powierzchnię wyłożono płytkami chodnikowymi. Po obu stronach stały miłe, parterowe domki z gankami. Przed każdym rósł jarząb, zwieszając swoje gałęzie, obwieszane kiściami dorodnych, czerwonych owoców. Pod każdym drzewem stała drewniana ławeczka, a na najbliższej, znajdującej się dosłownie tuż obok, siedziała jakaś smutna i pochylona postać.

Był to szczupły, stary mężczyzna; miał opuszczoną głowę, jego ręce spoczywały na kolanach. Nagle do naukowca doleciał tłumiony szloch. Henryk Kahlt zatrzymał się i wsłuchiwał. Płacz dobywał się z głębi piersi i tam się rozrywał, nim wydostał się przez gardło. Starzec zamilkł nagle i pokiwał głową. A potem ciszę rozdarł okropny jęk i z piersi mężczyzny znowu wyrwał się rozdzierający szloch. Bardzo cierpiał. Pogrążony w swojej rozpacz, niczego nie zauważał. Chociaż Kahlt podchodził coraz bliżej, starzec w ogóle nie reagował. Nie podniósł głowy nawet wtedy, gdy Henryk stanął tuż nad nim. Wciąż szlochał i pojękiwał.

W rękach położonych na kolanach trzymał otwarty srebrny medalion. Była to typowa pamiątka, jaką niegdyś sprawiali sobie narzeczeni. Dwie owalne miniatury połączone zawiasem, które można było zamknąć i zawiesić na szyi. Srebrny łańcuszek splatał się z palcami siedzącego.

Kahlt spojrział na otwarty wisior. Po lewej stronie zobaczył podobiznę młodzieńca o szczupłej twarzy, wysokich kościach policzkowych i wyrazistym nosie. Upływ lat zamienił jego czarne włosy w siwe, jednakże kształt głowy, policzków i nosa pozostały niezmienione. Jakże to było przerażające! Stary mężczyzna wpatrywał się w miniaturę. Kahlt pochylił się, by dojrzeć twarz drugiej osoby, zapewne narzeczonej starca. Chciał ją zobaczyć, jednak daremnie wyteżał wzrok. Bo tam nie było drugiej twarzy! Lśniła tylko pusta srebrna tafla. Przerazenie ogarnęło Henryka. Stary człowiek najwyraźniej jednak widział ukochaną i wskazującym palcem głaskał nieistniejące policzki. Zapewne sam starł portret, jeżeli robił to codziennie. Ile lat zajęło wymazanie kilku warstw farby ze srebrnej powierzchni? Nieważne. I tak widział ją dokładnie, jakby barwy policzków, oczu i włosów pozostały tak samo żywe jak wtedy, gdy się zaręczyli.

Kiedy to było? Dawno temu. W miniaturze nie umieszczono papierowej fotografii. Portret mężczyzny został namalowany! Czyli medalion powstał w czasach, kiedy panował zwyczaj malowania miniaturowych podobizn, bo zdjęcia na papierze uważano za rzecz użytkową, pozbawioną wartości artystycznej i sentymentalnej.

Kiedy stanął tuż nad starcem, ten powiedział, nie odrywając oczu od pustej miniaturowy:

– Moja piękna...

Dreszcz przeszył Henryka. Mignęła mu we wspomnieniach twarz jakiejś kobiety. Ciemne, wielkie oczy, bardzo lśniące, co działało na niego podniecająco. Nad wypukłym czołem lekko falowały ciemne włosy. Znał ją i chyba nawet coś go z nią łączyło. Czyżby miłość?

Stał oszołomiony i usiłował sobie przypomnieć. Rozumiał już bardzo dobrze, że tylko silne emocje powodują, że wracają do niego wydarzenia z przeszłości. Teraz doznanie nie było na tyle mocne i głębokie, by w jego pamięci odtworzyła się sytuacja, w której uczestniczyłby on i jakaś piękna kobieta o lśniących oczach. Coś go z nią łączyło i w tle było potężne uczucie miłości, ale jednocześnie jakby istniało nie w nim. Nie mógł w tej chwili tego zrozumieć. Gdyby udało mu się zobaczyć twarz kobiety z miniaturowy, być może ten widok uruchomiłby w nim proces pamięciowy. Pochylił się nad siedzącym mężczyzną.

Tylko starzec widział portret w miejscu, gdzie lśnił srebrny owal. Chudy palec wciąż gładził jego powierzchnię.

– Jakie miłe w dotyku są jej włosy. Miała ciemne sploty, które otaczały jej kształtną główkę. – Palec wciąż dotykał nieistniejących włosów.

Właśnie wtedy Kahlt zauważył, że przegub starca otacza pasek z kartonu. Pochwycił go za nadgarstek i przekręcił, by odczytać napis: „Neuroprogramowalny Obiekt X. Do kasacji”. Puścił jego rękę, która powróciła na swoje miejsce na kolanie, jakby nic się nie wydarzyło.

Stary człowiek został przyjęty do kliniki doktora Noxa zapewne tuż po jej otwarciu. I odtąd, gdy nie przebywał w krio, siedział tu na korytarzu-ulicy, wpatrując się w miniaturę swojej narzeczonej. Jego pamięć o niej nie uległa zatarciu.

Przyjrzał się bliżej datom umieszczonym na pasku. Okresy krio były długie i częste. Być może starzec był jednym z pierwszych pacjentów, ale cóż z tego! Ani jego uczucie do narzeczonej, ani też bolesna pamięć o jej utracie nie uległy zapomnieniu. Chociaż zniknął portret kobiety na srebrze, jego uczucia pozostały tak samo żywe jak na początku. A odeszła przed wieloma dziesiątkami lat.

Program jest nieskuteczny. Oni wcale nie zapominają. Widzą wszystko i wciąż przeżywają.

Muzyka nagle umilkła. Henryk podniósł głowę i zobaczył po przeciwnej stronie ulicy szafę grającą. Mechaniczne ramię właśnie się uniosło i wybrało kolejną płytę. Opuściło ją, położyło, a ramię z igłą znowu dotknęło jej powierzchni. Rozległa się smutna piosenka o miłości i tęsknocie. Te słowa i melodia coś w nim poruszyły, jakąś strunę. Ale jeszcze nie zadrgała.

Stał obok domku z gankiem, drzwi były otwarte. Zobaczył łóżko stojące na środku pokoju. Leżało na nim prześcieradło, częściowo ściągnięte na podłogę. Wbiegł, domyślając się, że kobietę zabrano do komory. Jakże pracowitą noc mieli jego koledzy. Jaka szkoda, że nie przysłuchiwał się ich rozmowom i w swej arogancji wcale nie chciał z nimi rozmawiać. Dowiedziałyby się, co mają zamiar zrobić. Czy starałyby się ich od tego odwieść? Ich determinacja mogła okazać się zbyt silna, aby to było możliwe.

Całą noc zajmowali się przygotowaniem dla siebie dwóch miejsc w komorze krio. Ale dlaczego? Przecież musieli wiedzieć, że nie zapomną, gdyż żaden z pacjentów kliniki nie zapomniał. Program zawiódł. Nikt nie zapomniał swoich przeżyć. Będą poddawać się sesjom krio i wciąż pamiętać, nieustannie wydzielać z siebie swe straszne i piękne wspomnienia. Może im to wystarczało, gdyż chcieli o nich pamiętać, pragnęli zagłębiać się w dawne przeżycia. Nie mieli już jednak siły, by dźwigać dłużej swoje fizyczne życie. Wykonali dużą pracę, zostawiając go na dyżurze, zmuszając w ten sposób, aby kontynuował ich zadania. Zostawili mu jednak kilka wskazówek; jedną z nich był plakat. Nie rozumiał jeszcze jego znaczenia.

Zobaczył na płytach chodnika rozwiniętą rolkę filmu. Podążył za nią wzrokiem – ciągnęła się przez całą długość uliczki. Odgadł, gdzie się kończyła. Mężczyzna szedł, oglądając zdjęcia i płacząc; przypominał sobie swoje przeszłe życie. Nic innego się dla niego nie liczyło, tylko tamto cierpienie i sceny, które wciąż oglądał w swym mózgu. Nie chciał niczego innego odczuwać, nie chciał oddychać, pragnął tylko oglądać bolesną przeszłość. Jego znajoma z jadalni pośpieszyła za nim.

Stojąc w drzwiach, Henryk patrzył na łóżko, na którym nikt nie leżał. Na jego szczycie znajdowała się tabliczka informacyjna z widoczną na niej fotografią pięknej kobiety o ciemnych włosach. Z przerażeniem uświadomił sobie, że stojąc nad starcem, zobaczył twarz tej kobiety w swojej wyobraźni. Odniósł również wtedy wrażenie, że ją zna lub kiedyś widział i coś go z nią łączy. Ponad tabliczką przeczytał informację o pacjentce: „Neoprogramowalny Obiekt X”. Tu następowały daty sesji krio. Było ich kilka.

I wtedy właśnie zaczął widzieć obrazy i słyszeć słowa.

– Jesteś! – zawołała radośnie. – Wróciłeś. Czekałam na ciebie przez te wszystkie lata. Czekałam na jawie i we śnie. Widziałam cię w dzień i widziałam w nocy. Byłam pewna, że pewnego dnia zapukasz do moich drzwi. Wejdz!

Widział ją wyraźnie, szaloną ze szczęścia, choć oczywiście nikogo tu nie było. Tylko duchy. Nic już nie mogła mówić. Po gorącym powitaniu oderwała się od niego z wysiłkiem i pociągnęła za obie ręce. Wciąż go trzymając i nie odrywając od niego wzroku, prowadziła Henryka do wnętrza pokoju.

Znaleźli się w dużej sypialni. Na środku stało olbrzymie łóżko, o wiele za duże na

samotne noce. Pociągnęła go na poduszki. Położył się obok niej. Jej miłosne podniecenie i jemu się udzieliło.

– Mówili mi, że zginąłeś podczas drugiej wojny w Zatoce. Nie chciałam wierzyć. Nie mogłam zapomnieć ani żyć, dlatego się tu znalazłam, ale nie wiem, w jaki sposób.

„To ja jestem mężem tej kobiety? – zapytywał siebie. – Zostałem zabity podczas działań wojennych? To jest moje prawdziwe wspomnienie, moja tożsamość?” Wiedział, że jest kimś innym, lecz emocje tej kobiety, która dopiero niedawno została zamknięta w komorze krio, były bardzo wyraźne i nie tylko nakładały się na jego emocje, ale stawały się jego własnymi. Widział ją i odczuwał jej fizyczny dotyk. Położyła się z ręką pod głową. I wtedy, w miarę jak opowiadała, zaczął sobie przypominać. Widział okropne sceny.

– Teraz jestem taka szczęśliwa, że mogę ci opowiedzieć, czego się dowiedziałam. Przyszedł do mnie twój kolega. Mówił, że gdy wydostał się z tej dziury w piasku pustyni, wołał, byś biegł za nim. Ale ty nie chciałeś uciekać. Obawiałeś się, że i tak nie uratujesz swego życia, że zaraz dostaniesz serię w plecy. Padniesz przeszyty kulami, a po kilku dniach odnajdą cię koledzy z oddziału. I zobaczą, że uciekałeś, bałeś się, i taką wiadomość przekażą dowódcy, twojej rodzinie i mnie. Więc mrużąc oczy, wciąż strzelałeś, siedząc po kolana w piachu, a jego rozbryzgi zasypywały ci twarz. Wiedziałaś, że już stamtąd nie wrócisz.

I zaczęłaś myśleć o mnie. Mówiłeś do mnie, a ja siedziałam w domu, skurczona na kanapie. Widziałam cię, patrzyłeś mi w oczy, bo takiej więzi nie można rozerwać ani za życia, ani po śmierci. Czekał na mnie, mówiłeś, a ja pewnego dnia do ciebie przyjdę. I odtąd będziemy już zawsze razem. Twoje życie będzie tylko chwilą, nie naczekasz się zbyt długo. I oto teraz jesteś.

Zamilkła, a on poczuł piach, którym był przysypany. Nagle krzyknął, kiedy jego pierś przeszyły kule. Na mundurze wykwitły czerwone plamy. Ramiona zamarły na karabinie. Głowa opadła. Umierał, wciąż do niej mówiąc.

Jej emocje opanowały Henryka, wniknęły w niego. Stało się tak, bo było w jego psychice dużo pustego miejsca. Chcąc odgonić od siebie cudze uczucia, potarł ręką czoło i wtedy jego dłoń natrafiła na wstrętny pryszcz, który wciąż tkwił pomiędzy brwiami i wydawał się jeszcze większy niż o poranku, i bardziej wypełniony obrzydliwą ropą. Dzięki temu opuścił rzeczywistość emocjonalną tamtej kobiety i znowu stał się sobą. Wybiegł z jej domu na uliczkę miasteczka, ale tylko po to, aby przysiąść na chwilę obok starca, który był niepotrzebny i nieprzydatny do programu i dlatego wciąż mógł siedzieć, głaskając miniaturę.

Wyciągnął zza paska laptop i wpisał hasło: „Klinika doktora Noxa”. Na monitorze pojawiło się logo przedstawiające szczęśliwą rodzinę. Porównał dokument umowy, jaką podpisał: takie same logo, tyle że w znakach graficznych.

Pojawiła się już odpowiedź. „Projekt naukowy funkcjonujący pod tym

kryptonimem. Celem projektu jest programowanie emocji, wyodrębnianie ich z psychiki i swobodne zastępowanie przeżyciami innych osobników. Program został zarzucony ze względu na niemożność znalezienia obiektu, który byłby dobrym odbiorcą cudzych emocji. Musiałby się charakteryzować niskim, wręcz zerowym progiem wytwarzania własnych emocji. Mimo zarzucenia programu nadal obowiązuje klauzula najwyższej tajności”. Zatrzasnął laptop. Program był kontynuowany.

Słyszał, jak fale oceanu waliły o skaliste brzegi wyspy. Szedł jak co rano do laboratorium, by pracować nad emocjami, jakie wciąż napływały zewsząd od ludzi, którzy nie chcieli i nie mogli przestać odczuwać cierpienia.

Fale uderzały o brzeg. Stąd nie było ucieczki. I od siebie również. Ale on o tym nie wiedział.

# Instynkt życia

Tego dnia nikt nie mógł dojrzeć wschodu słońca. Jego blask nie przebił się przez nienormalnie gęste chmury. Za to po niebie kroczyły wielkie światła. Nożyce promieni wysuwały się zza horyzontu i cięły ostro firmament. Chwilę obmacywały pograżone we śnie miasto, niespodziewające się niebezpieczeństwa.

Spały szkoła i dom. Pierwsi obudzili się kierowcy ciężarówek, dowożący żywność do sklepów, by matki, kupujące mleko i bułki, mogły zrobić na czas śniadanie chłopcom idącym do szkoły. Kierowcy budzili się dziwnie otumanieni, mimo zimnego prysznicu odrętwienie nie mijało. Ubierali się mechanicznie. Nasuwali na czoło kaszkiety i wychodzili na ciemne ulice, zapalając pierwszego papierosa, ale zanim zdążyli się zaciągnąć, już nie mieli czego palić, a na ich ubrania osypywał się popiół.

Wsiadali do stojących w garażach ciężarówek, podobnych do wielkich, uszpionych potworów. Aby wejść na stopień kabiny szoferki, musieli wysoko podnieść nogę, ale ich otępiały dziś mózg nawet tego nie zarejestrował. Żaden z nich się nie zastanowił, dlaczego samochody tak bardzo przez noc się powiększyły, czy raczej oni zmaleli. Włączali światła reflektorów, ale wydawały się im mętne i żółte, więc jechali w ciemności, jakby po omacku. Ich umysły automatycznie rejestrowały istnienie zakrętów i znaków drogowych, zmieniali więc biegi, wcale o tym nie wiedząc.

Rzeczywistość, senna i przemieniona, wyolbrzymiona potwornie, nie docierała do ich świadomości. Tylko jeden z nich, Haron, rozumiał, co się wydarzyło. Był tego dnia wyjątkowo zły, gdyż jego chory żołądek nie pozwalał ani na papierosa, ani na śniadanie. Wiedział, że dopiero koło południa zje trochę postnego kleiku owsianego. Jednak głód i ból spowodowały, że jego zmysły były wyostrzone. Widział ciemność i straszne światła obmacujące wszystko, co żywe. Dostrzegał nienormalnie szybko spalające się papierosy, nadzwyczaj olbrzymie samochody, wszystkie, oprócz jego auta. Widział, że śniadania kolegów zawinięte w papier i wetknięte do kieszeni były dziwnie miękkie. Dostrzegał, że pagórki, które mijał, jadąc, posiadały jakąś luźną strukturę. Przestrzeń została jakby unieważniona, pogubiły się wymiary i jednostki. Zdawało się, że czas się zwinął, bo tak szybko dojechali za miasto do wielkich magazynów żywności. Ich wrota stały otworem. Nie paliło się ani jedno światło, z wnętrza ziała ciemność i nie było nikogo z obsługi, żadnego z tragarzy, dźwigających zazwyczaj skrzynki z owocami, kaszą lub mięsem. Nie zobaczyli pomocników pchających wózki ani kierownika z tabletem w ręku, pokrzykującego na wszystkich. Kierowcy nie zwrócili na to uwagi. Nie było obsługi, więc usiedli na stopniach ciężarówek i oparli na rękach ociężałe głowy. Nadjeżdżali wciąż inni i po chwili,



jeszcze przed świtem, przed magazynami stał milczący tłum.

Haron wszedł do ciemnych magazynów i oświetlił wnętrze latarką: nikogo. Stały tylko skrzynki, zsunięte w krąg tak, jakby siedziało na nich kołem kilka osób. Na skrzynkach walały się resztki śniadania: skórki chleba i niedojedzone resztki kiełbasy. Wziął kawałek wędliny w rękę – był dziwnie lekki, jakby z waty. Obok z termosu jeszcze dymiła kawa, tylko ludzi nigdzie nie było.

Kierowcy zgłodnieli, więc wyciągali z kieszeni śniadania i jedli je machinalnie, a Haron tylko patrzył, czując swój obolały żołądek. Zjedli bez słowa, nikt się nie odzywał, tylko w ciszy światła wędrowały po ich twarzach. Haron wyszedł z magazynów. I wtedy zobaczył, co się stało z ludźmi. Krzyczał i zatykał ze strachu usta, ale kto mógł go usłyszeć? Nikogo nie było. Tak krzycząc i bojąc się, zaczął uciekać z tego przerażającego miejsca i gnał ku miastu, jakby zapomniał, że samochodem będzie prędzej.

Matka zbudziła się i spojrzała na zegarek w komórce. To dziwne, zaspali. Trzeba się spieszyć. Pobiegnęła do sypialni syna: chłopiec spał z nogami na kołdrze.

– Wstawaj, syneczku, już późno!

Otworzył oczy i wyskoczył z łóżka. Biegąc do łazienki, naciągał sweter.

– Nie zdążę zrobić śniadania – usprawiedliwiła się matka. – Masz tu pieniądze na bułki, kupisz sobie po drodze w piekarni. Zrobię za to lepszy obiad.

– To przez te twoje nocne dyżury, mamó – powiedział chłopiec. – Za dużo pracujesz. – I już gnał do drzwi.

Zbierała pościel, gnębiona wyrzutami sumienia. Czowała, że nic jej nie przejdzie przez gardło. Zabrała się do porządkowania mieszkania. Podczas nocnych dyżurów często podjadała – zawsze miała pod ręką talerzyk z kawałkiem tortu lub kanapki z bistro na rogu. Efekt: nadwaga. Ach, jakże nie znosiła tego swojego wyglądu: tych wałeczków tłuszczu na brzuchu i zbyt pulchnych ud. Postanowiła, że przejdzie na dietę. Kiedy jest pora na rozpoczęcie czegoś ważnego? Teraz. Od tej chwili nie będzie jadła. Wytrzyma głodówkę, aż nie powróci smukła linia ciała.

Chłopiec biegł ulicami, dziwiąc się ciemnościom. Przystanął przed piekarnią, ale była pusta – ani jednej bułki, a wewnątrz drzemała senna sprzedawczyni. Wpadł na lekcję geografii, która już się zaczęła; uczniowie siedzieli przy swoich stanowiskach komputerowych, a profesor programował interaktywną tablicę. Chłopcy czekali, aż nauczyciel rozpocznie lekcję, ale on, stojąc do nich plecami, nadal się nie odwracał. Trwali więc w ciszy, przeczuwając, że coś się stało. Uwielbiali tego nauczyciela za wspaniałe wycieczki po całym kraju. I za to, że odbywali je fizycznie, a nie w rzeczywistości wirtualnej.

Dzięki niemu mogli zobaczyć w warstwach, jak wypiętrzały się łańcuchy górskie; pokazywał im też, jak stuknąć lekko młotkiem w różowy porfir, by bryłka od razu się

rozpadła na równe sześcianiki. Pamiętali smak herbaty pachnącej liśćmi i wieczory przy ognisku, kiedy dymy snuły się o zachodzie słońca, a ktoś grał na gitarze. Czuli wtedy, że są razem i tworzą jedną rodzinę. Więc teraz czekali, aż się odwróci, i nikt nawet nie pomyślał, by chrząknąć.

Nauczyciel wciąż stał i patrzył przerażony w białą powierzchnię tablicy. Choć otworzył okno i zniknęło już logo – rozłożona książka, kałamarz i gęsie pióro – nie pojawił się obraz do ściągnięcia na temat tej lekcji. Leciały tylko intensywne kolory i wiele wymiarów, a pomiędzy nimi ich senne miasto. Potem pojawił się świt, ale w zupełnie innym wymiarze, niezwiązanym z czasem.

Ujrzał matkę chłopca, a po chwili jej myśli o nocnych dyżurach i konieczności dodatkowego zarobku, a także przyrzeczenie, że nie tknie jedzenia dla solidarności z synem, który wyszedł bez śniadania. Męczyła się, usiłując zwalczyć chęć sięgnięcia po jedzenie. Mówiła sobie, że będzie trenować wolę, ale było to trudne, szczególnie w porze posiłku.

Zobaczył kierowcę ciężarówki, Harona, który czuł własny żołądek. Jakże go nienawidził. Widać było wewnątrz żołądka, pokryte poszarpaną śluzówką, w której zagnieżdżył się zielony wrzód. Był nabrzmiały i sączyła się z niego krew. Kierowca cierpiał z powodu własnego ciała i przeklinał je nieustannie. Z niechęcią myślał o pokarmie: każdy kęs, nawet najbardziej przeżuty, będzie go kaleczył i torturował. Jakże pragnął przestać już cierpieć.

Pojawił się chłopiec biegnący do piekarni po bułki na śniadanie. Bułek zabrakło, więc chciał zapomnieć o głodzie. Ale był młody i wciąż głodny jak wilk. Jego ciało bezustannie domagało się pożywienia, musiał więc z nim walczyć, opanować je i pokonać. Gnał do szkoły, rwany ostrym bólem głodu.

I wtedy nauczyciel zobaczył siebie w głęboko otwartym oknie programu. Podniósł ramiona, by nie oglądali tych scen uczniowie. Oni jednakże, pochyleni nad swoimi komputerami, byli właściwie zadowoleni ze swobody buszowania po sieci. Jako dziecko zapadł na straszną chorobę, która miała go zamienić w kalekę. Przyniesiono mu jednak przyrządy gimnastyczne. Zrozumiał, jak wiele od niego zależy. Spróbował swoich sił i poprzysiągł sobie, że będzie chodzić, a jego ręce znowu nauczą się chwytać i zatrzymywać. Tak, pamięta tę chwilę wielkiego bólu i nadziei. Teraz znowu otwierały się coraz głębsze okna i widział siebie w sytuacjach, w jakich nikt go nie oglądał. Zaciśnięte w uporze zęby i zagryzione z bólu wargi, i smutne medytacje nad zanikającymi mięśniami nóg. Ćwiczył systematycznie mimo bólu i braku rezultatów. Musiał pokonać własne ciało, jego słabości i ograniczenia. Ciało to męka, to odczuwał zawsze. Po latach wysiłków zaczęło mu być jednak posłuszne: przyrastały mięśnie, zmniejszył się ból. Jako student był niestrudzony w pieszych wędrówkach i sportach. I do dziś codziennie ćwiczył całymi godzinami, choć pot zalewał mu czoło. Wciąż pokonywał swoją słabość i udowadniał sobie, że wola i duch są silniejsze niż ciało.

Wtedy się stało! Otworzyło się głębokie okno, wyskoczyło na powierzchnię i zasłoniło wszystkie pozostałe. Pokazano mu, co się dzieje z ludźmi siedzącymi na stopniach ciężarówek i dlaczego nie ma nikogo na skrzynkach ustawionych kołem w magazynie, gdzie jeszcze paruje kawa z termosu.

„Nie! Nie! – wołał bez słów. – Nie róbcie tego – wołał do bezlitosnych światłał przecinających niebo. – Niczego nie rozumiecie: nasze słowa i myśli odczytujecie opacznie”.

Twarz! Pojawiła się w głębi okna – i już była tuż przed nim. Nie należała do człowieka.

– Możemy przybrać kształt taki, jaki chce twój umysł – mówiono do niego. – Możemy się pojawić w postaci anioła lub szatana, twego przyjaciela lub dziewczyny. Słuchaj!

Zaczęto grozić, ostrzegać i stawiać warunki.

Nauczyciel słuchał w skupieniu, zastanawiając się, dlaczego on został wybrany. Odpowiedź otrzymał od razu.

– Wybraliśmy ciebie na tego, który został ostrzeżony; to sprawa naszej uczciwości. Uważamy bowiem, że należy dać wam szansę. Ty i tobie podobni tyle wycierpieli z powodu ciała, że sami poprosicie o to, co proponujemy. Dołączcie więc do nas: zyskacie wieczność i stan szczęśliwości.

– Jako kto? W jakiej postaci?

Milczenie.

„Przecież mi odpowiedzieli – uświadomił sobie nauczyciel. – Dowolny, jaki zechce przyjąć nasz umysł. Podła, nikczemna uczciwość – myślał nauczyciel. – Nie godzę się na żaden z waszych warunków. Nie poddam się. Nigdy dotychczas się nie poddałem”.

– Źle wybraliście – powiedział półgłosem i nacisnął punkt na ekranie.

Twarz oczywiście nie zniknęła, bo przecież nie należała do pakietu edukacyjnego tablicy interaktywnej. Oczy wciąż patrzyły spokojnie, pewne swej zdobyczy. Mimo to odwrócił się do niej plecami, stając przodem do uczniów pochylonych nad swoimi komputerami. Niemal słyszał, jak za plecami coś drwiąco się zaśmiało.

– Chłopcy – zaczął – zarządzam próbny alarm przeciwinwazyjny. Liczę do trzech: wiecie, co trzeba robić.

Zaczął odliczanie: raz! Chłopcy zerwali się z krzeseł i w karnym szyku biegli do drzwi wyjściowych. Kiedy wypowiedział: dwa, już biegli korytarzem, mijając szklane drzwi prowadzące do sal klasowych. Kiedy wypowiedział: trzy, był pewien, że czekają na niego przed bramą szkoły.

On wyszedł ostatni i zgasił światło. Twarz z ekranu jednak wciąż na niego patrzyła.

**M**atka właśnie gotowała obiad. Doprawiała sos tłustą śmietaną. Nabrała potrawy na łyżkę i dmuchała, przysuwając do ust. Powiedziała sobie jednak, że chęć spróbowania

to tylko usprawiedliwienie dla łakomstwa i obżarstwa. Doskonale przecież wiedziała, jak ten sos smakuje; pewna też była, że nie zapomniała o żadnej przyprawie. Odwróciła łyżkę i sos spłynął z powrotem do rondelka.

– Silny charakter zostanie nagrodzony – powiedziała do siebie półzartem.

Wtedy zadzwonił telefon. Wciąż trzymając łyżkę, podeszła do stolika, gdzie leżała jej komórka.

– Tak, synku – powiedziała, nie patrząc na ekran, przekonana, że to on telefonuje. Ale to nie jego głos usłyszała. Przekaz był dziwny, dochodził nie wiadomo skąd: dźwięki rozbrzmiały wprost w jej mózgu. – Kto to, co to, o co chodzi? – jąkała się, przerażona.

Po raz drugi wytłumaczono jej wszystko, dobitniej i dokładniej.

– Nie! – zawołała. – To bzdura! – Rzuciła aparat na stolik.

„Czego oni chcą? O czym mówią? Mam nie czuć ciepła ciała synka, kiedy się do mnie tuli? Nie patrzeć na niego, kiedy odrabia lekcje lub naprawia rower?”

„Pozbądźcie się doznań zmysłowych, tego całego balastu, który przynosi wam cierpienie” – powiedzieli.

– Ależ to szaleńcy! – wołała. – Kim jesteście? Źle zrozumieliście moje myśli na temat walki z nadwagą i podjadania, ja kocham swoje ciało.

I choć komórka już dawno leżała rzucona na stoliku, słowa wciąż brzmiały w jej mózgu.

„Syn! Trzeba go ratować!”

Biegła ulicami miasta. Były dziwnie puste, jakby miasto powoli się wyludniało. Przerzedzało się. Ubywało ludzi, jednego po drugim. Przez otwarte okna zaglądała do mieszkań: nikogo, ani jednej osoby. Wiatr wzdymał firanki, fruwały jak szarfy. Biegając wciąż, zaczęła krzyczeć.

– Ludzie, nie tykajcie jedzenia. Odsuńcie natychmiast talerze. Jedzenie zostało zarażone. Oni chcą...! – Tu zabrakło jej tchu i słów. Nie wiedziała, jak wyrazić zamiary obcych, by jej słowa zabrzmiały przekonująco, a nie śmiesznie. Nagle przypomniała sobie o synku. „Czy kupił bułki w piekarni? Czy zjadł dziwnie lekki, jakby już bezcielesny pokarm?”

Wpadła do szkoły, do gabinetu dyrektora. Siedział za biurkiem i czytając gazetę opartą o monitor, podnosił do ust kromkę chleba, drugą rękę grzejąc o szklankę z herbatą. Zdziwiony, spojrzał na kobietę i jego ręka z kanapką zatrzymała się na wysokości piersi. Podbiegła, wytrąciła mu śniadanie i błyskawicznym gestem zrzuciła szklankę ze stołu. Gorący płyn rozlał się po dywanie.

– Ależ co pani? – wykrztusił zdumiony, obserwując ją, jak pada na fotel. Zaniosiła się płaczem i przez łzy jąkała nieprawdopodobne wiadomości o porannych światłach, wymacujących żywe istoty w mieście, o transformacji, którą szykowali obcy, będącej niczym innym jak straszną zagładą. Mówiła o tym, że trzeba uciekać, uciekać. Poza

granicami miasta kończą się moce, sięgają bowiem tylko tam, dokąd dojdą światła.

Dyrektor był przyzwyczajony do rozhisteryzowanych matek, nadmiernie trzęsących się nad swoimi dziećmi. Ta kobieta jednak przekroczyła wszelkie granice. Jej fanatyczne krzyki o zagładzie zbijały go z tropu. Nie wiedział, co odrzec. Ten dzień był dla niego taki jak zwykle. Lekcje się zaczęły i przebiegały normalnym rytmem, tyle że interesantów i spraw było jakby mniej. Telefony nie dzwoniły jak szalone, nawet maile nie przysły. W szkole panowała cisza, sądził więc, że wszystko przebiega jak należy. Miał tak wiele zaległych prac, że cieszył się z chwili podarowanego mu niespodziewanie spokoju.

– Szkoła jest pusta! – zawołała.

Nie wierzył jej; pochwyciła go za rękę i usiłowała wyciągnąć z biurka. Opierał się mocno, choć czuł, że zachowuje się równie śmiesznie jak ona. Nie zamierzał jednak ulegać jakiejś niezrównoważonej osobie, dając się oprowadzać za rękę po klasach, gdzie przecież wszystko odbywało się jak zwykle. Wybiegła z gabinetu i zostawiła szeroko otwarte drzwi. Pędząc wzdłuż korytarza, otwierała po kolei drzwi do klas, chociaż było to niepotrzebne: drzwi wykonano ze szkła.

– Pusto! – Biegła dalej. – I tu nikogo nie ma! – wołała z płaczem.

Wtedy dopiero przerażony i zaskoczony dyrektor wytoczył się z biurka i przekonał się na własne oczy o tej straszliwej prawdzie.

– Jedna klasa wyszła z nauczycielem geografii na wycieczkę – powiedział.

– Która? – wykrzyknęła pełna strachu i nadziei, przypominając sobie, że dziś jej syn miał zacząć lekcje właśnie od geografii.

– Chodzi do niej pani syn.

Odetchnęła i łzy szczęścia potoczyły się po jej policzkach.

– Musimy wszystkich ostrzec. Ratować pozostałych.

– Ale przed czym? – zapytał. – Niczego nie rozumiem.

Opowiedziała mu wszystko dokładnie. Kosmiczna inteligencja, przybyła pod postacią światła, stwierdziła, że ludziom doskwiera ziemski byt. Najbardziej dokucza im oczywiście ciało: ulega zmęczeniu, chorobom i wymaga ciągłej regeneracji poprzez pożywienie. Sprawiała zatem, że pokarm zaczął powodować przemianę. To był najlepszy, najszybszy sposób, ponieważ ludzie muszą jeść. Wystarczyło rozpocząć od magazynów żywności. Ludzie utracili ciała, zamieniając się w pewien rodzaj energii, by połączyć się z czystą inteligencją, co miało przynieść im szczęście i radość obcowania z boskim bytem.

Przemianie nie ulegli jedynie ci, którzy niczego dziś nie spożyli. Oszczędzono łaskawie, choć nikczemnie tych, którym ciało sprawiało wiele cierpień poprzez chorobę czy swą niedoskonałość. Inteligencja, kierując się tylko logiką, nie wątpiła, że oni sami poproszą o likwidację swoich ciał i w ten sposób bardziej docenią nagrodę w postaci przemiany. Dała w ten sposób ludziom szansę wyboru. Stworzyła pozory

wolnej woli, danej człowiekowi przez Boga, w którego niejako się wcieliła. Ludzie będą więc mogli wybrać i zdecydować, co jest lepsze: trwanie w cielesnym kształcie, przynoszącym tyle cierpienia, czy pozbycie się go i uzyskanie szczęścia.

– Ale dlaczego ostrzegli i oszczędzili tych, którym ciało dokuczało najbardziej? – zapytał dyrektor.

– To proste. Ich decyzja będzie dla nich najbardziej wartościowa. Jeżeli mimo udręki, jaką sprawia im ciało, zdecydują się w nim pozostać, nadal znosząc cierpienie i ograniczenia, dowiodą tym samym jego niezbędności, swojej miłości do niego i dostarczą argumentu na to, że ludzie powinni zachować swą cielesność.

– Łobuzy! – krzyknął. – Losy miasta pozostawili w rękach kalek, starców i chorych.

– A może oni są od nas bardziej wartościowi, bo na co dzień muszą się zmagać z cierpieniem często przekraczającym ich siły?

– Ktoś sobie na nas eksperymentuje! – zezłościł się dyrektor. – Doświadcz nas, byśmy ukształtowali swój charakter i czegoś o sobie się dowiedzieli. – Mężczyzna kręcił się wokoło, jakby czegoś szukał. – Idziemy! – zdecydował. – Muszę ratować młodzież. To jest moim obowiązkiem.

– Jak ratować?

– Nauczyciel geografii wywiódł ich z miasta, to pewne, bo tylko tu im grozi niebezpieczeństwo. Poza miastem światła ich nie osiągną. Dlatego pójdą na wieś. Muszą przecież coś jeść. Ci mieli szczęście: jedli na śniadanie żywność z wczoraj. Takich na pewno znajdzie się więcej. Pojedziemy, popytamy.

– Mnie jeszcze coś niepokoi – rzekła kobieta. – Zastanawiam się... – urwała. – Nie wiem, muszę się przekonać. Być może istnieje nadzieja na odratowanie miasta.

Właśnie wtedy z domów, szpitali i przytułków zaczął się wylewać tłum starców, chorych i kalek. Dotąd zdawali się niewidzialni wśród zdrowych, silnych ludzi, do których należał świat. A teraz podążali pustymi ulicami, idąc, kuśtykając lub jadąc na wózkach. Na twarzy każdego z nich malowało się cierpienie, ale i postanowienie. Od nich zależał los miasta. Nikt z nich się nie podda. Nikt nie przeklnie swej choroby, nie zapragnie umrzeć, pokona cierpienie i ból. Bo wiedzą lepiej niż inni, że nie zdrowe ciało decyduje o człowieczeństwie. Oni cierpią codziennie, co ich naznacza, ale też obdarza siłą. Nauczyli się pokonywać i zwalczać.

Kochają życie, bo posiada dla nich szczególną wartość. Instynkt samozachowawczy jest wśród nich potężny. Więc idą, kuśtykają i drepczą. Przecież trzeba przywieźć żywność. Będą o nią prosić, żebrać, kupować ją i pracować na nią, by nie głodowali ci, którzy przeżyli, bo przypadkiem dziś nie tknęli lekkiego, porowatego jedzenia, które zniweczyłoby ich ciało. Oni zaś zostali ocaleni, by swym cierpieniem udowodnić wartość życia i ciała, w jakim trwamy, choćby słabego i chorego.

Kobieta podchodziła i całowała chore dzieci, szepcząc im coś do ucha. A one tylko uśmiechały się gorzko i milczały, bo nie pyta się udręczonego, czy za cenę swego

cierpienia uratuje innych. Nie pytała, czy pokażą tamtym, aroganckim i nieproszonym zbawcom, że się przeliczyli i mają oddać, co zabrali, bo ludzkie życie to nie ich sprawa. „Wrócą wszyscy, tylko przetrwajcie – szeptała do kalek – jesteście nadzieją dla wszystkich”.

Kiedy doszli do rogatek miasta, zobaczyli z daleka wielkie magazyny żywności. Minęła ich w pędzie ciężarówka prowadzona przez Harona. Zatrzymał samochód i zaczął z niej wyrzucać zatrutą żywność, wygarniętą ze sklepów. Pracował tak od rana. Był już zmęczony, ale wiedział, że nie ustanie.

– Odsuńcie się – powiedział. Wziął kanister i oblał wszystko benzyną. Buchnął wielki płomień. A oni szli dalej, patrząc w wielkie światła, które obmacywały miasto. Kobieta wiedziała, że wszyscy przemienieni unoszą się ponad nimi i płaczą za utraconym ciałem i życiem. Wcale nie chcieli być wieczni i szczęśliwi. Zadowolonym w swej niedoskonałości, wystarczał im ziemski los i cielesność z jej ograniczeniami.

Tymczasem nauczyciel geografii i chłopcy byli już daleko. Minęli wieś, zaopatrując się tam w żywność. Ogarniało ich zmęczenie.

– Dokąd idziemy? – pytali uczniowie.

– Tam – odpowiadał nauczyciel – ku światłom. Musimy się z nimi zmierzyć: staniemy przed nimi w całej swojej nędzy, wymęczeniu i wspaniałości. Muszą zrozumieć, prowadzi was bowiem kaleka, który się nie poddał i który nigdy się nie podda.

Zawsze udawał wspaniałego mężczyznę, sportowca, niestrudzonego piechura, wciąż sobie udowadniając własną wartość, codziennie siebie sprawdzając i pokonując.

Skarżyli się, że są zmęczeni. Wtedy zaczął im opowiadać o chłopcu, któremu groziło kalectwo. Zwierzył się ze swej wielkiej tajemnicy, zrzucił dźwigany przez całe życie ciężar. Opowiadał, jak dzień po dniu się męczył, jak nie uzyskiwał rezultatów, a wszyscy mówili: „rzuc to”. A on nie zrezygnował, bo chciał chodzić, bo chciał znów łapać i trzymać.

Ulżyło mu, kiedy się zwierzył. Już nie musiał być wspaniałym, niestrudżonym mężczyzną. Był kimś więcej: kaleką, który pokonał siebie.

Światła robiły się coraz większe i jaśniejsze. Jakże były wielkie i straszne. Ale ci, którzy szli, nie umieli się bać. Zaraz spojrzą im w oczy.

# Wypożyczalnia żon

– Wypożyczalnia ślubnych żon na tydzień – odezwał się głos recepcjonistki. – Słucham.

– Chcę żonę! Żonę!

– Co? To pan! Znowu? Nic dla takich jak pan nie mamy.

– No, no! Wolnego, panienko! Płacę i wymagam.

Recepcjonistkę zamurowało. Chciała rzucić ostrą ripostę, ale uświadomiła sobie finansową prawdę: „Mamy kryzys obyczajowy. Pada instytucja tradycyjnego małżeństwa. A to przecież klient, choć cham i dupek”.

– Dla pana wszystko – zaczęła słodko. – Czy nadal pożąda pan kobiety, która potrafi stworzyć rodzinne ciepło? Oto pańskie zamówienie, cztery żony temu: „Chciałbym mieć dom tradycyjny, w pełnym tego słowa znaczeniu”.

– Nagrywacie? A nie było ostrzeżenia: „W celu zapewnienia najwyższej jakości usług” i tak dalej. Ha, ha! Bo nie macie jakości. Chociaż tu jesteście ciut uczciwi.

– A pan? Co pan wyrabiał z naszymi pracownikami!

– Skąd wiecie?

– Sporządzają szczegółowe raporty po wykonaniu usługi.

– Jak szczegółowe?

Recepcjonistka milczała wymownie i nagannie.

– Ze wszystkimi świństwami? – dopytywał się o szczegóły.

– A jakże! Musimy znać potrzeby klientów.

– No to gadaj, czego mi potrzeba?

– Hester była w sam raz.

– Ta w okularach, uczesana w kok?

– Prototyp, proszę pana! I w cenie obchodzonych modeli.

– Zimne błyski zza szkieł i wzrok jaszczurki, gdy rozchlapałem zupę.

– Była schludna.

– Jak pielęgniarka w wykrochmalonym fartuchu. Czułem się jak pod lampą na stole operacyjnym.

– Przecież zrywała się z pościeli, gdy pan jeszcze chrapał. Otwierał pan oczka, gdy nosek połaskotała woń jajek na bekonie: stały na nocnym stoliczku na tacy. A na serwetce napis: „Zjedz mnie, kotku”.

– Rano nie mogę jeść. I nie znoszę wędzonki. Bekam po niej. I te nachalne aluzje na serwetce. Seks, seks, wszystko tym podszyte. Mężczyzna nie ma chwili wytchnienia.

– Tak była zaprogramowana.



– Chyba pani napisała ten program.

– Co pan sugeruje? – Starła się mówić spokojnie, jednak wszystko się w niej gotowało.

– Że jest pani niezaspokojona.

Recepcjonistka dyszała z wściekłości, usiłując przełknąć obelgę. Opanowała jednak sapanie, by nie sprowokować aluzji, że się podnieciła i uprawia z nim seks na odległość.

– Udaje się macho, co? – zripostowała, by zmieść go z nóg.

– Taki jestem, he, he. Nie muszę udawać.

– Taak? Słabe strony mamy w punktach.

– Chyba je bierzecie z kobiecych pisemek!

– Z badań socjologicznych...

– Ta wasza logia czy coś to tylko teoria – przerwał z pogardą. – Chcę prawdziwego życia.

– No, proszę ja waszmości! Przecież w program Hester wpisaliśmy autentyki.

– Panienska tak zwie ten romansowy serial?

– A co pan powie o scenie: „Pożegnanie o poranku”. Typówa! Wychodził pan do biura – zaczęła recepcjonistka marzycielsko. – Żona stała na progu, machając zapamiętałe. Szlafrok, kaptcie. Czekwała... A pan nawet nie odwrócił głowy!

– Bo chciała cmok w progu! Co to, małolat jestem, aby ślinić się przed domem?

– Ale zgodnie ze stereotypem gotowała, bo w kuchni na stole zostawiał pan codzienne menu: krewetki, tofu, polski bigos, rakija. Rajd po supermarketach! Uff, ma wszystko, i do garów ideał wysyła!

– To moja metoda wychowania.

– Wychowaj się pan sam!

– Chciałem ją zniechęcić do pitraszenia. Czy kobieta ma tylko tańczyć przy garach?

– Za to właśnie pan zapłacił! Za dom i żonę według tradycyjnych standardów, więc masz pan! Do kogo pretensja?

– U babci było jakoś inaczej.

– I krótkie spodenki.

– Uważaj, panienska!

– Mam się wyłączyć?

Milczenie.

– Opowiedzmy, jak wyglądał obiad. – Recepcjonistka triumfowała. – Już przy zupie zapytała, jak było w biurze. Pan odsunął gwałtownie talerz. Zupa chlusnęła jej na kolana. Tylko się uśmiechnęła, mówiąc: „Nie twoja wina, kochanie”. Miau! Przy drugim daniu zainteresowała się czymś innym. I co usłyszała: „Pieprzysz! Kotlety za ostre”. Dokończę, że przy deserze pytała o kolegów z pracy, co pan skwitował dowcipnie: „Każdy słodki”. A chciała stworzyć więź rodzinną. Skanalizować

problemy trudnego dnia...

– A co to: żona-przyjaciółka? Mieliśmy rozpierduchę w biurze. Walka o przeżycie. Miałem opowiadać o świństwach, podkładaniu nogi? To nie dla kobiety.

– No proszę, jeszcze wyjdzie na to, że pan ją oszczędzał!

– No pewnie. Jestem prawdziwym mężczyzną.

– Który nie wie, co to łyzy.

– Nie mazgaję się przy kobiecie!

– Więc robi świństwa.

– Jak każdy. O które panience konkretnie chodzi?

– Choćby o dowcip z kogłem-mogłem z dwóch jaj. Zrobiliście go publicznie dla nieszczęsnego impotent. Należało mu współczuć.

– A kto mnie żałował, gdy maglowała mnie pytaniami? Wychować mnie chciała!

– Czy z jej ust padło słowo potępienia? Czy pokazała odruch zniecierpliwienia?

– Niestety, nie. Miała wciąż na twarzy ten uśmieszek typu: „Znam się na mężczyznach, to głupie bachory, wybaczam”. Powinna w łeb mnie walnąć cukierniczką. Fałszywa, udawała, że mnie wielbi. Nie tak się zaspokaja męskie ego.

– Akceptowała pana ze wszystkimi wadami.

– Uprzejma jak podnózek!

– A kiedy po obiedzie walił się na tapczan, paląc papierosa i udając, że czyta gazetę, ona zdejmowała mu buty, unikając kopniaków w brodę, gdyż wierzgał niecierpliwie. Unosiła gazetę z twarzy, bo zdążył w międzyczasie zasnąć. Wyjmowała z palców tłącego się papierosa, zanim oparzył rękę. Spieszyła się, by strząsnąć trzycentymetrowy popiół.

– Służąca z pielęgniarzką. Niepełnosprawny jestem, czy co? Nie utrafiła w moje życzenia.

– Po obudzeniu się kazał jej czytać te fragmenty, gdzie wypalił papierosem dziury i komentował: „Podstawówki nie udało się ukończyć?”

– Utraciłem wszelką nadzieję. Nie dało się jej urazić! Żadnej godności. Pozwalała się maltretować. Ofiara jedna! Taką tylko bić.

– To seksowny anioł. Zamiast z tego korzystać, wychodził po drzemce w każde popołudnie. A jak się szykował, jak buciki czyścił. No właśnie: jak, ja się zapytuję? Opierając nóżkę o sedes. Właśnie świeżo wymyty. A przecież na czyszczenie butów jest stosowne miejsce na werandzie. Leży tam drewniany chłopiec do butów. Przynajmniej jeszcze po dziadku ułanie, który chodził w oficerkach.

– Ależ boli, że jakiś dupek pogardził czystym sedesem panienki!

Recepcjonistka zagryzła usta z wściekłości. Cios był celny, lecz się nie poddała. Walnęła na odlew.

– A skąd się wracało nad ranem i to w dobrym humorze? I za to ani słowa wyrzutu, lecz promienny uśmiech i radosne pytanie: „Wróciłeś, kochany?”. Burcząc,

rozwiązywał krawat. Coś mamrotał pod nosem. Żadnej pociechy.

– A co ja jestem: pocieszyciel strapionych? Jak nie ma charakteru, nikt jej nie pomoże.

– Przecież ona w domu siedziała samotnie, podczas gdy pan uprawiał ohydny hazard z podejrzanymi typami.

– Kumple z biura, maleńka partyjka...

– Sekspartyjka. Zabawiali się z wesołymi panienkami, służąc im jako konie do jazdy na oklep. Co więcej, galopowali w papierowej czapce na głowie, wrzeszcząc przy tym „ihaha”. W dodatku stawiali dęba na życzenie.

– To była kłownada kumpli z cyrku. Kiedyś tam pracowali i taki numer robili. Chcieli sobie przypomnieć lata młodości, kiedy ich wszyscy oklaskiwali. Litujemy się więc nad nimi i pozwalamy przy wyjątkowej okazji wykonać dawny popisowy numer. Tyle że koni brak. Ale bijemy brawo za całą publiczność.

– Jaki szlachetny! Z pobudek humanitarnych ratuje życie psychiczne starych artystów, którzy wyszli z obiegu! Czy wtedy pomyślał o żonie, co przeżywała, wiedząc, jak się zabawia?

– Zdradzał cię ktoś, panienko, to się na mnie odkuwasz. Ta robota to psychoterapia, co?

Recepcjonistka znowu zagryzła wargi. Zabolało. Tak samo jak wtedy i zawsze.

– Kiedy pokazywaliśmy Hester film z tej jazdy konnej, pucowała szyby na werandzie. Wycierała listki kwiatów, każdy pojedynczo! Z wierzchu i od spodu. I odkurzała kolekcję kotów stojących na kominku. Ohydne, tłuste i napuszone kociska, co się gapiły na nią z góry!

– To przecież fajans, a nie żywe stworzenia. Co one winne, że tak je w fabryce wydymali? I ty też tak się czujesz, panienko?

Chciała wrzasnąć, ale tylko zamknęła oczy i kontynuowała jak w programie.

– Przestrzegaliśmy, że poprzez pozamałżeńskie kontakty naraża pan jej zdrowie. Nasze pracownice zostały wprawdzie ubezpieczone i usługi medyczne są darmowe...

– Nic za darmo nie jest, to ja za nie płacę.

– Ale biedna Hester musiała codziennie przybiegać na badania lekarskie. Ze strachu miała zapocone okulary. W razie czego dostałaby odszkodowanie.

– Z mojej kieszeni.

– Ale co mogłaby zrobić ślubna żona? Nasza Wypożyczalnia to nie burdel, proszę pana. Ani też agencja do handlu żywym towarem.

– A niby co?

– Wypraszam sobie takie insynuacje. To jest szanowana instytucja pozarządowa, która została założona dla dobra mężczyzn i kobiet. Poprzez testowanie umożliwia dobór charakterów, poznanie przyzwyczajęń. My ratujemy tradycyjny porządek społeczny. Ile jest pełnych rodzin? Ile dzieci ma ojca i matkę?

– Nie obchodzi mnie społeczeństwo! Chciałem założyć rodzinę i być dobrym mężem, ale nie umiem zbajerować kobiety. Lata leciały, zrezygnowałem. W barze jakaś laska wetknęła mi do ręki wasz folder. Skorzystałem.

– Nawet pan sobie nie uświadamia skali doświadczenia. Prostej drogi do przemiany duchowej w dobrego małżonka. Zrozumiał, że tak nie postępuje dobry mąż?

– Nie przy takiej zimnej rybie.

– Wspomnę jeszcze o wspólnych wieczorach. Dwóch, zdaje się?

– I pół.

– He?

– Bo wyszedłem. Nie wytrzymałem.

– Czego, ja się pytam? Miłej atmosfery przy kominku, na którym wesoło płoną grube, smolne bierwiona, napełniając *sitting room* wonią jodły i blaskiem, a miła żona siedzi obok w głębokim fotelu. Na jej kolanach koszyk do robótek, może guzik przyszyć trzeba?

– Jak w serialu z telewizji rodzinnej. Zrobiła tę dekorację, a ja w roli eksponatu. Co tu gadać? Nie dorastałem do wyobrażeń. Prosty jestem i konkretny. Czułem się jak pajac w sztywnym kołnierzyku, wbijającym się w policzki. Czekałem tylko, że się pojawi jakiś koleś, wrzeszcząc: „Zdjęcie do kalendarza rodzinnego. Proszę o przyjemny wyraz twarzy!”.

– To był protest: nogi na stół, szklanka dżinu w łapie? Bardzo duża i bardzo pełna. I dowcipy opowiada, gdzie co przecinek słowo na „k” lub „ch”. Ona śmieje się w odpowiednim miejscu, zawsze chętna zrozumieć pana.

– Zawsze była chętna! A to ja chciałem mieć prawo wyboru.

– To aluzja do spędzonych wspólnie nocy, zapewne? Czekala, pachnąc. A ten wtacza się do łóżka: nieogolony, nieumyty, w wymiętej, brudnej piżamie. Włazi pod kołdrę, ściąga skarpetki tydzień niezmiennie, wyciera nimi śmierdzące nogi. Uwalił się, chrapie. A ona tylko łyka łyka, wzgardę czuje. Spać nie może, bo z niej kołdrę ściągnął, samolub...

– Chciałem ją zranić, dotknąć. Niech pocierpi, niech pokaże, co ją boli. Bo wciąż była uśmiechnięta.

– Toteż po przepisanej umowie tygodniu przysłaliśmy panu delikatną Ingrid, nasze skandynawskie białe srebro, złotowłose tchnienie romantyzmu. Świeżynka! Oryginalny model ekologiczny. Nie miała nawet roku. Przeleciała zaledwie czterdzieści tygodniowych kontraktów.

– Ile?! A starsze modele?

– Są praktycznie niezniszczalne. Regenerujemy, wprowadzamy korekty w zależności od mody, unowocześniamy.

– I facet wypożycza prababkę!

– Ale miał pan co dzień świeże kwiaty w kryształowych wazonach i subtelne

paluszki, gładzące pana męskie policzki. Przy śniadaniu towarzyszyła panu w wydekoltowanej, przejrzystej koszulce, popijając herbatę z filiżanki i spoglądając na pana wymownie spod swych wygiętych rzęs.

– Lalka była, i tyle. Kukła, nie żywa kobieta.

– W jej spojrzeniu mąż miał czytać wspomnienie nocy. Pan zajadał płatki, mlaskał. Oczy wreszcie znad talerza wzniósł: „Zarzuć – mówi – coś na schaby, bo przeziębisz pęcherz. Sikać będziesz aż po buty”. Tu piękno, tam chamstwo! Pan prozaizował poetyczny *genre*.

– Nie kumam.

– Co powiedział drugiego wieczoru, kiedy Ingrid, wyperfumowana, z falą złotych włosów spływających na plecy, podchodziła do łóżka, kołysząc się, by jednym ruchem zrzucić z ramion szlafroczek! Nie odkładając cuchnącego papierocha – znowu to naganne palenie w łóżku! – powiedział, że chyba jednak się przeziębila, bo śmierdzi szczynami jak kobyła.

– Tak było! Żadne perfumy tego nie zabijają.

– Nasza nieszczęsna pracownica wybiegła do salonu. Tam spędziła resztę nocy, skulona na fotelu, przykrywając się futrem. Drżała z zimna, łkając z poczucia krzywdy i niedoceny.

– Jak się obraża na troskliwą uwagę, to co ja mogę?

– Ale nie pomyślał, by przyjść do niej. Ból duszy ukoić i wśród pieszczot się pogodzić. Ach i na fotelu nie jest tak ciasno, ale – co ja mówię! – mruknął tylko, że w łóżku będzie więcej miejsca.

– Bo prawda! Jak zasnęła, rozwalala się na wznak. A kobita wysoka i chuda jak drąg, nogi zimne i kolana jak z kamienia. Nie raz dostałem pod żebro przez sen, aż mnie zatkało.

– Zatelefonowała do Agencji następnego ranka, błagając o radę. Ona bardzo pragnęła...

– Chyba dostać jako premię drugi tydzień ze mną. Bo o pracę nie jest łatwo.

– Nasz komputer doradził jej wprowadzić nieco pieprzniejszy nastrój, nawet pewne wyuzdanie, biorąc pod uwagę pańskie ekscesy z damulkami.

– Szybko się uczycie, lecz nie tego, co potrzeba.

– Toteż trzeciego wieczoru zrobiła sobie ostry makijaż, rozburzyła włosy, założyła czerwony stanik i czarne koronkowe pończochy z podwiązkami.

– I patrzyła mi w oczy! „Robię to dla ciebie” jak prostytutka w *peep-show*.

– A zapytał, czy ma dopłacić do umowy i ile bierze za numer. Tego Ingrid nie zniosła.

– Dała dyla, jak wyszedłem.

– Zamiast coś dorzucić za zaspokajanie skrytych pragnień erotycznych, zażądał od nas zwrotu opłaty za cztery dni, jako że pobieramy opłatę z góry. Ingrid uciekła we

środe wieczorem. Zagroził, że nas poda do sądu.

– Była umowa na tydzień, baba związała! Czy ja jestem instytucja charytatywna dla dziwek, które wyszły z obiegu? Chciałem żonę, nie pornosa.

– Licz się pan ze słowami!

– Liczyłem się, moja strata była.

– Toteż przysłaliśmy Doris, by załatwić sprawę polubownie, powetować straty.

– Wasze szczęście, bo byłem wściekły i jak nic bym was pozwał.

– Doris z ołówkiem w ręku prowadziła gospodarstwo. Nie zmarnował się ani jeden wysuszony kawałek sera, nie został niepotrzebnie kupiony nawet pęczek pietruszki. Gotowała dokładnie tyle, ile zjadał. Jaka to oszczędność na ciepłej wodzie do zmywania. Po obiedzie talerz i garnki były puste.

– I zimna kuchnia.

– Dawała doskonałe rady, dotyczące posunięć w zakładzie pracy. Dzięki nim otrzymał znaczną podwyżkę i gratyfikację. Z tygodniowej pensji poczyniła nawet oszczędności, a przecież nikt nie był głodny.

– Oszczędności?! Piłem tańszy gin i paliłem papierosy kupowane na targu u Ruskich.

– I co pan zrobił z zaoszczędzoną kwotą? Wywalił na niepotrzebne rzeczy, na kosztowny sprzęt wędkarski, spinning, błyskotki.

– Błystki na szczupaki.

– Rzucił pan te blaszki w kąt.

– Leżą w pudełku. I przydały się. Złowiłem takiego... No, takiego...

– Nędzne męskie przechwałki.

– A jak zostały ocenione przez Hekse! Przysłaliście ją w poniedziałek.

– To była dla pana ostatnia szansa.

– I Heksa przyszła. Ale nie rano, jak określała umowa, lecz po południu. Właśnie siedziałem z kolegami przy kartach. I musiałem ją przedstawić: „Moja żona, Heksa”. Nie powiem, że to paniusia z agencji na próbę, bo panienka bym o niej nie powiedział. Tłumili śmiech. A ona darła się od progu głosem sierżanta: „Chodź mi tu pomóc!”.

Sprowadziła się z tobołami, jakby zamierzała siedzieć z rok. Weszła pierwsza, a ja za nią drepczę z ciężkimi torbami. Ledwo je postawiłem w hallu, rzuciła krótko: „Rozpakuje się to później” i bez pytania rozsiadła się w moim fotelu. Wzięła moje karty w ręce i jak nie zacznie licytować. I to ostro. Wiedziałem, co ma w kartach – same blotki! Grała wysoko i w dodatku kazała mi położyć portfel na stole. A jak szachrowała! Bezczelnie i jawnie, a kiedy partnerzy delikatnie uczynili jej aluzję, jak się nie zerwie z miejsca, jak nie zacznie ich obrzucać mięchem. Jaki słownik miała! Jak małolaty z blokowiska. Żaden z moich kolegów nawet w męskim gronie nie dobrałby takiej wiązanki. Wszyscy siedzieli, stuliwszy uszy, a ona ni stąd, ni zowąd kazała im się wynosić. Kiedy się tylko podnieśli, ona łaps za ich wygrane! Powiedziała, że

przechowa kasę do następnego razu, bo gra była przecież sportowa, no nie, panowie? I z największym spokojem schowała zwitek banknotów za dekolt swego falującego wściekłością biustu. A miała czym oddychać! Nie czekając nawet, aż wyjdą, polazła do kuchni. Ledwo ich odprowadziłem do drzwi, ona wrzeszczy: „Zrób mi frytek!”.

A sama siedzi przy stole, liczy forszę z wygranej, każdy banknot ogląda pod światło, czy nie fałszywy, i odkłada na kupki z zadowoloną chytrą miną, już sobie wyobrażając, co za to kupi.

„Nie masz czego do picia?” – pyta mnie zniechęca.

Podałem gin, ten tani, co pozostał po oszczędnościach Doris. Otworzyła, zakręciła butelką, ale ledwo nabrała do ust, pfu! – wypluła do zlewu, dobrze, że nie na obrus, a butelkę cisnęła za okno. Potem mi sąsiedzi ją przynieśli i znowu był wstyd, że piję taniochę i jestem patologia.

„Idź, kup coś markowego”.

„Sklepy zamknięte” – usiłowałem się wymigać.

„Trzy przecznice stąd jest nocna knajpa. No, śmigaj!”

Kiedy przycłapałem po godzinie, przemoknięty do suchej nitki, ona siedziała na podłodze w kuchni, kompletnie zalana. Śpiewając pijackie piosenki, kończyła moją ostatnią butelkę whisky, którą przemyślnie ukryłem. Żadna poprzednia nie wykryła schowka, a ona od razu. Zna się na facetach i ich numerach. Takiej nie podejdziesz.

Już wchodząc, poczułem zapach spalenizny; to frytki się spaliły.

„Dlaczego nie dopilnowałaś?” – zapytałem ją z wyrzutem.

„To ty robisz frytki, nie ja – odparowała. – I żebyś jutro wyszorował ten garnek do czysta – dodała. – Ja cię przypilnuję”.

I zachciało się jej pizzy, potem grzanek z zielonym groszkiem i omletu z dżemem wiśniowym. Pitrasilem do pierwszej w nocy. Ileż ona potrafiła zjeść! Pożerała wszystko, co jej podawałem, wołając: „Jeszcze! Szybciej! Ruszże się!”, pomiędzy jedną a drugą zwrotką „Pije Kuba do Jakuba”, siedząc na podłodze wśród stert talerzy, widelców i serwetek. Bo i serwetki kazała sobie podawać.

Potem rozkazała: „Pomóż mi się podnieść”.

A kiedy z wysiłkiem dźwignąłem to cielsko, uwiesiła się na mnie i zataczając od ściany do ściany, powłokła do sypialni. Ledwo tam dotarła. Stała sztywno przy łóżku i uwaliwszy się na pościel ze słowami: „Przykryj mnie”, zaczęła chrapać.

W kuchni pozostał bałagan, brudne i przypalone garnki, talerze z resztkami, no i butelka. Pusta.

Skuliłem się na fotelu pod kocem, nie mogąc oka zmrużyć aż do piątej. Kiedy wychodziłem do pracy, jeszcze spała w skotłowanej pościeli. Sukienka się jej zadarła, odsłaniając nogi potężne niby słupy. Nie był to estetyczny widok.

W pracy wciąż myślałem o tym, że po powrocie zastanę skruszoną i cichą żonkę, mieszkanie wysprzątane na błysk, a smakowite zapachy będą dolatywać już z daleka.

Czerpałem z tych obrazów znaczną satysfakcję, syciłem się nimi.

Już od progu usłyszałem ogłuszającą muzykę, płynącą z systemu. Wykupiła cały pakiet. Za moje, oczywiście. Musiała podać adres i przedstawić się jako żona.

Moja Heksa stała na środku salonu, oparta o kij od szczotki, i oglądała ściągnięte ze strychu stare i zakurzone czasopisma. Co chwila, przydepnąwszy gazetę, kijem oddzierała kolejną stronicę i osuwała na bok. Były tam przepisy na kremy, płyny do zmywania makijażu, maseczki odżywcze i ściągające. Cała podłoga była zasłana kartkami, jakby cokolwiek mogło poprawić urodę tego straszzydła. Luźne stronice przykrywały biurko, bibliotekę, dosłownie wszystko. Jak ona tego dokonała?

A jak wyglądała? Miała na sobie niewiarygodnie stary i brudny szlafrok, niegdyś różowy, miejscami poplamiony i z wypalonymi dziurkami od papierosów. Sięgał jej do pięt, bardzo obszerny, fałdzisty i od karczku marszczony. Wyglądała w nim jak kolubryna. Głowę sobie obwiązała wypłowiałą chustką w róże, a olbrzymie rogi od kokardy sterczały jej ponad czołem. Była rozczochrana i nawet się chyba nie raczyła umyć.

W kuchni nie tknęła niczego. Co więcej, wystawiła na środek podłogi wiadro pełne śmieci. Na stole pozostały resztki jej sutego śniadania. Do wieczora sprzątałem, przyrządziwszy sobie cokolwiek z pudełka. A liczyłem na domowe, gotowane obiady...

Nagle zachciało się jej robić generalne porządki. Zepchnęła w kąt moje ubranie w szafie i rozwiesiła swoje suknie. Ileż ona ich miała – jedna okropniejsza od drugiej! – tylko nie wiem po co, przecież ich nie nosiła. I dobrze, jeszcze nie widziałem tak złego gustu.

W łazience postawiła słoje kremów i mazideł, a moje przybory do golenia rzuciła na parapet. W przedpokoju stanęły jej buty, a na poczesnym miejscu w salonie zaczęła rezydować koszyk z robótkami, choć nigdy nie dziergała.

Potem zabrała się do przestawiania mebli. Najpierw zgarnęła z kominka mój zbiór pseudoporcelanowych kotów i wrzuciła je do wiadra, wyzywając mnie od facetów, którzy mają poczucie estetyki... tu padły określenia, których nie powtórzę. Pozdejmowała ze ścian obrazki, moje pamiątkowe zdjęcia z czasów studenckich, z wypraw na łono przyrody. Pomieszała je byle jak, powiesiła byle gdzie. Po prostu poutykała je w pustych miejscach bez ładu i składu, a przedtem tworzyły przemyślaną całość, z której można było odczytać wzniosłe dzieje mojej młodości. Kiedy patrzyłem na obrazki, snułem, hm, pewne wspomnienia. Była to okazja do zastanowienia ze szklanką w ręku, w miękkim fotelu. A foteli też nie oszczędziła. Piękne, kryte najprawdziwszą, podrabianą skórą, kazała wystawić na werandę i postawić obok siebie. Siedzi się jak w kinie, nie można porozmawiać.

„Aby na nich siedzieć obok siebie, podziwiać zachód słońca lub światło księżyca i marzyć. Kontakt z wielką przyrodą czyni człowieka wzniosłym i wewnętrznie głębokim” – powiedziała. Na wszystko miała nieodparte argumenty. A jaki ton! Jakie



słownictwo! Do późnej nocy tłukła się ze szczotką po domu jak czarownica, jazgocząc, wrzeszcząc, rządząc się jak u siebie i wyśmiewając moje gusta i przyzwyczajenia.

Zapadł wreszcie wieczór. I ta potworna baba tak jak stała, zrzuciła szlafrok o wiele brudniejszy niż rano, zerwała z siebie koszulę nocną jednym ruchem przez głowę, zakręciła nią w powietrzu i posłała daleko. „Kochaj mnie!” – zażądała, wyciągając ku mnie łapy.

No i tak się wydarzyło, że nie była ze mnie zadowolona. Cały dzień pracowałem, miałem za sobą źle przespaną noc, byłem tylko na sztucznym jedzeniu, a w nią jakby demon wstąpił. W pewnej chwili wyczuła moją słabość. Jak mi nie wymierzy siarczystego policzka, aż mi świece w oczach stanęły. „No dalej, do roboty – pogadywała – tyle, ile z panienkami, gdy jeździły na tobie jak na ogierze”.

Dopiero o trzeciej nad ranem wypuściła mnie ze swoich morderczych splotów. Nie wspomnę tego gigantycznego brzucha ani monstualnego biustu, ale powiem: ona ma kosmate nogi! A oddycha ciężko jak parowóz.

Przysnąłem nieco, ale wstałem zmęczony i powlokłem się do biura. Ona spała. Była to środa.

W pracy zastanawiałem się, jaki numer mi tym razem wytnie. Czy będzie zdzierać tapety, czy ogarnie ją szal prania, a może przekopie ogródek?

Lecz kiedy powróciłem do domu, powitała mnie cisza. Heksy nie było. Nie sprząnięte, to oczywiste, obiad nieugotowany, standard. Ale najgorsza ta cisza. Aż w uszach dzwoni. Ale na stole w kuchni kartka – na szczęście. „Jeść nie musisz. (Dobre sobie, nie muszę). Później sobie powetujesz”. Skąd ona zna takie słówka?

Wreszcie pojawiła się we własnej osobie. „Byłam u fryzjera, patrz” – i okręca się w progę. Piękna nie jest, fakt. Włosy ma sztywne, proste jak druty, twarz kwadratową. A teraz miała na głowie z jednej strony gniazdo, a z drugiej jakieś wymyślne, poskręcane nie wiadomo co.

Z boku loczki, nad czołem jakieś fiu, fiu. I taka zachwycać się każe. Stałem jak wryty z wytrzeszczonymi oczami, a ona tylko wzruszyła ramionami: „Też coś! Ignorant!” – I dodała, zanim zdążyłem znaleźć odpowiedź: „Ubieraj się, idziemy z wizytą!”.

Okazała się mistrzynią organizacji i wywiadu. Dowiedziała się, jacy są nasi najbliżsi sąsiedzi, zatelefonowała, umówiła się i już idziemy. Mam tylko się pospieszyć. Rzuciła we mnie jakąś koszulą wyciągniętą na chybił trafił z szafy, prana pewnie jeszcze przez Hester, a perfumowaną przez Ingrid, i zniknęła w łazience.

Jak głupi stałem przed zamkniętymi drzwiami. Musiałem się przecież ogolić. Co ona tam robiła tyle czasu, nie mam pojęcia. Dostyc, że wyszła z miną triumfującą. Włożyła na siebie jakąś dziwną suknię, błękitną, zapinaną na brzuchu na wymyślną kłamrę w kształcie rybki. Pasowało. Rybka na jej obfitym brzuchu, ona jako strumyczek!

Potoczyła po mnie zadowolonym spojrzeniem i stała na progu jak gwiazda pozująca fotoreporterom. Ale ja nie byłem jednym z nich. Nie błysnął flesz ani iskra zachwytu w moich oczach. Heksa wyglądała monstrualnie. Ale wcale się nie przejęła moim otumanionym wzrokiem. „Jeszcze nie gotowy? No spiesz się! Ty marudna glisto!” Skąd ona zna takie słówka?!

A kiedy tylko wszedłem do łazienki i pokryłem twarz pianą, zaczęła walić w drzwi i ponaglać mnie, wrzeszcząc, że czeka od pół godziny, zupełnie gotowa do wyjścia. Jakoż stała z malutką torebką w swych łapach i tak się darła, że ręce mi się trzęsły, gdy zapinałem koszulę i wiązałem krawat.

Wreszcie stanąłem obok niej. „Sprawdź gaz” – przypomniła. Pobiegłem. „Zbiornik wody” – zaordynowała Heksa i spojrzała na mnie groźnie. „Okna?” – uniosła brew, kiedy zdyszany zbiegłem ze strychu. Kiwałem głową na każde z jej pytań. A na moją uwagę, że przecież mamy centralny komputer, odparowała, że lepiej wszystko sprawdzić zawczasu, żeby nie wracać w pół drogi. Poczułem, że właśnie taki ma plan: pogonić mnie z powrotem, kiedy się jej coś przypomni.

Ruszyła przed siebie.

Szedłem obok niej, drżąc z przejęcia, ale – o dziwo – Heksa wcale nie wzbudzała sensacji na ulicy. Nikt się za nią nie oglądał demonstracyjnie, nie wzbudzała wybuchów śmiechu; owszem, mężczyźni obrzucali ją spojrzeniami, które dobrze znałem, a ona kroczyła obok mnie z dumną miną, uwieszona u mego ramienia, po prostu magnifika, małżonka zadowolona ze swej zaszczytnej pozycji.

Zastanawiałem się, jaki skandal wybuchnie na przyjęciu. Czy komuś naurąga, czy zacznie krytykować potrawy, a może obleje sosem nowe obicie kanapy? Ach, na pewno nikt nie będzie na nas czekał i zastaniemy gospodarzy w szlafrokach.

Ale nic takiego się nie wydarzyło. Oczekiwano nas, a obiad podano znakomity, toteż powetowałem sobie za wszystkie czasy, tym bardziej że solidny, domowy i gorący posiłek zjadłem pod raz pierwszy od czterech dni. Heksa bez przerwy pytowała z panią domu, okropną babą, i zasłaniała ręką kieliszek, kiedy ta chciała jej dolać. „Nie piję, rozumiesz”. Ona nie pije! „Mało nie pije” – szepnąłem do męża gospodyni, ale jakoś dziwnie na mnie spojrzał. I kiedy, u licha, one zdążyły przejść ze sobą na ty?

Pan domu, cichy, zasuszony i blady, mówił zgaszonym głosem i pokazywał mi swoją kolekcję motyli. Wtedy jego wzrok na chwilę się zapalił, żarzyło się w nim wspomnienie jakichś pięknych chwil i wyznał: „One są jak motyle. Tak ją schwytałem, w siatkę”. I zapatrzył się w przeszłość, widząc pewnie łąkę w słońcu, kwiaty, motyle i dziewczynę w błękitnej sukni, trzymającą bukiet.

Spojrzałem przez stół. Obracały językami, zadowolone z siebie, w doskonałej komitywie. Miały jakieś nieważne, babskie sprawy, małe przeżycia, może nawet wspomnienia. Motyle? Jedna, mała i okrągła, przypominała gąsienicę, a druga – duża i kanciasta – kokon. Ale nic się z nich nie wykluje, o nie. Spojrzałem na gospodarza

domu. W jego oczach musiało być to samo, co w moich. Poczułem, że łączy nas prawdziwa, męska przyjaźń, jedyna w swoim rodzaju solidarność, której kobiety nie są w stanie pojąć.

W progu, przy wyjściu Heksa obcałowywała się z tą, jak jej tam, a ja wymieniłem mocny uścisk ręki z moim nowym przyjacielem, jakbyśmy przypieczętowali tajne porozumienie. Lecz on spoglądał lękliwie na żonę i udawał, że jest to zwykłe pożegnanie.

W domu, myślałem, pójdziemy po prostu spać, byłem nieco zmęczony, ale Heksa miała akurat sentymentalny nastrój. Patrząc na mnie szklanym wzrokiem, wyszeptwała: „Ty mnie nie rozumiesz” – i zaniosiła kompakty na werandę. Nie wiem, gdzie ona je wyszperała, może były na strychu, stare, tęskne romanse. Wtuliła się w fotel z prawdziwej podróbki i słuchała zawodzących melodii. Świecił księżyc, donice z kwiatami, stojące pod oszklonymi ścianami, rzucały tajemnicze cienie, ona oparła głowę na dłoni i podwinęła nogi. Nie mówiła nic.

Założyłem już piżamę i leżałem w łóżku, paląc papierosa, ale nie mogłem znieść tego milczenia i nawołujących melodii pełnych obietnic. Wstałem, zatrzymałem się w progu.

„Słuchaj, o co ci chodzi?” – spytałem.

„Mnie? O nic” – odpowiedziała po dłuższej chwili. „Ty tego nie zrozumiesz. Ja wiem, że w życiu jest inaczej niż w piosenkach, ale są takie chwile, kiedy w duszy kobiety coś się załamuje”. – Głos miała zdławiony i przysiągłbym, że dostrzegłem łzę na jej policzku. „Nic się nie stało, idź spać”. Skoro tak powiedziała, wzruszyłem ramionami i wróciłem do łóżka. Pewnie o coś tam jej chodziło, ale o co...? Wszystko przez ten księżyc i stare kompakty.

Późną nocą obudziłem się, bo zmarzłem – nie grzała mnie przecież Heksa niby piec. Tkwiła jeszcze w ciemności na werandzie i chyba tańczyła tak, jakby tuliła kogoś w ramionach. Przewróciłem się na drugi bok, ale i tak było mi źle, sam nie wiem czemu.

Nazajutrz był już czwartek. Kiedy wróciłem, uwijała się po kuchni, zagniatając ciasto. „Zamykaj drzwi! – krzyknęła. – Bo mi placek drożdżowy opadnie. Weź sobie obiad, ja nie mam czasu”.

Raczyła coś ugotować, ale nie mogła mi nałożyć na talerz i musiałem jeść sam. „Zaraz przyjdzie, pospiesz się” – i dalej gniotła ciasto z furją.

No i przyszła. Gospodyni z wczorajszej wizyty, nie wiem, jak jej tam. Na jej widok umknąłem z kuchni i usiadłem ze szklanką ginu w pokoju. Cała duża szklanka dla mnie. I spokój. Gin był wykwinny. Ale mi nie smakował.

A one się śmiały i zaróżowione od ognia i emocji przesuwwały gorące blachy z ciasteczkami, rozłukiwały bryłki cukru pudru, kroїły laski wanilii i tarły korę cynamonową do posypywania ciasteczek.

„Też mi emocje! – mówiłem do siebie, łażąc z kąta w kąt, z rękami wciśniętymi w

kieszenie. Biskopt! Przepis znalazłem potem przypięty szpilką do tapety. I żeby chociaż zaprosiły, żeby przyniosły czubatą tackę jeszcze gorących ciastek, obficie posypanych cukrem pudrem, i czekały niecierpliwie na moją opinię. „Noo, niezłe – wycedziłbym – ale brakuje...” A wtedy ona by zauważyła, że obsypałem sobie marynarkę i zaczęłyby mnie otrzepywać, mówiąc: „Ach, ty gapo, typowy mężczyzna”, i pocałowałyby mnie w policzek, wracając do kuchni. A ja siedziałbym sobie, co rusz sięgając po ciasteczko i oblizywałbym palce oblepione cukrem, wanilią i cynamonem.

Ale obok nie stała tacka z ciastkami. Zaś w kuchni było wesoło, aż do pokoju dobiegało smakowite chrupanie. Kruche muszą być te ciasteczka i pyszne, dosłownie rozplływające się w ustach. Ileż one jedzą!

Zadzwoiłem do kolekcjonera motyli i osłaniając ręką słuchawkę, nie wiem dlaczego, zaproponowałem, byśmy wyskoczyli do jakiegoś ustronnej knajpki. Znam taką jedną, jest tam nie tylko gin, ale i...

Przerwał mi takim samym szeptem: „Ale widzisz, moja żona kazała, bym nie wychodził, więc, tego...”

„Toś ty taki?! – wrzasnąłem i obejrzałem się na drzwi kuchni. – Taki z ciebie mężczyzna?! Baby się boisz?” – Drzwi od kuchni były na szczęście zamknięte.

„Przepraszam, ktoś dzwoni do drzwi. Chyba listonosz”. – I położył słuchawkę.

Nędzny tchórz! – zwymyślałem go w duchu. – Mydłek! – i nalałem sobie dużą szklankę ginu. Wypiłem ją szybko i wtedy spojrzałem pogardliwie na drzwi kuchni. Potem wcisnąłem na głowę kapelusz, a wychodząc, tak trzasnąłem drzwiami, że musiały usłyszeć.

Wróciłem nad ranem. Jak spędziłem noc, nie warto wspominać. Siedziałem wciśnięty w ciemny kąt baru, z kapeluszem nasuniętym na oczy. Kumpie mnie nie rozumieli. Dziwiłem się, że kiedyś mogłem znaleźć wspólny język z osobami niezdolnymi do wnikięcia w duszę drugiego człowieka. Gadali o kartach, piciu, mało nie uderzyłem jednego w zadowolony pysk, ale nie chciało mi się gasić papierosa. Dziewczynki się ze mnie podśmiewały. Dopiero teraz zobaczyłem, jak są nędzne. Farbowane włosy, wytynkowane gęby, tanie sukienki.

Nikt mnie nie rozumiał. Nikt. Zostałem wzgardzony, kompletnie zlekceważony, i to przez kogo? Przez taką, taką... I przypomniałem sobie wszystko: siarczasty policzek, wyzwiska i sentymentalne tańce przy świetle księżyca. Ona mnie nie chciała. Nie starała się o mnie ani nie usiłowała dbać o moje potrzeby. A ubiegały się o mnie wszystkie dziewczyny, no, dziewczynki. Miałem je na kiwnięcie palcem, a ona nie raczyła mnie przyzwać żadnym ze swoich palców z obgryzionymi paznokciami. Ja jej pokażę, co potrafi prawdziwy mężczyzna. Pewnie będzie spała, jutro jej pokażę.

Ale czekała na mnie. W kuchni posprzątane, aż lśniło, ani śladu ciasteczek, nawet zapach wanilii wywietrzał. Nie mogły przecież zjeść wszystkich. Panowała cisza. Kiedy zacząłem się rozbierać, cisnąwszy w kąt kapelusz i rzuciwszy głośno pierwszy

but, stanęła w drzwiach w swoim szlafroku.

„Ty obmierzły pijaku” – powiedziała zimno. Obmierzły. Ja obmierzły? „Poskładasz w kostkę te swoje cuchnące łachy”. – Stała, postukując pantoflem w ścianę i pilnowała, bym pozbierał garderobę. „A teraz wynoś się na werandę”.

Na werandzie była wybita szyba. Wiało. Spędziłem koszmarną noc na rozsuwających się fotelach, pod kocem, który wciąż się ześlizgiwał. Sztywny z przemarznięcia i wściekły, powlokłem się do biura. A tu jak na złość od rana słońce! Jak tu ziewać?

Kiedy po pracy zbliżałem się do domu, z naprzeciwka wybiegła Heksa obładowana pakunkami i już z daleka do mnie pomachała. Prowadziła na smyczy olbrzymiego, żółtego kundla. „Jedziemy na weekend, pakuj się. Podobno masz kosztowny sprzęt wędkarski”.

„A to?” – zapytałem ponuro.

„Wzięłam go z azylu. Biedne stworzenie, półrasowy, myśliwski”. Odwróciła się plecami, by wejść do domu, pierwsza jak zwykle. I przebrała się w to, co kupiła. Koszmarne, fioletowe spodnie, bardzo obcisłe, i bluzeczkę w poprzeczne, pomarańczowo-czarne pasy. „Kupiłam to za te wygrane pieniądze, posłużyły na dobrą rzecz. Czysta oszczędność”.

Nucąc wesoło, pakowała do samochodu tysiące rzeczy, pies biegał za nią po całym domu. „Zjemy po drodze w jakiejś ustronnej knajpce” – rzuciła w przelocie i wkrótce zasiadła na miejscu obok kierowcy, a pies wskoczył na tylne siedzenie. „Samochód masz sprawny, prawda?” – rzuciła lekko.

Pies oparł łapy obok moich pleców i dyszał mi przy uchu. Wciąż czułem przy policzku jego mokry jęzor.

Obiad w knajpce był marnutki, jedzenie ekologiczne z pudełka, ale Heksa wspaniałomyślnie zapłaciła, robiąc do mnie oko: „To za pieniądze zabrane kolegom przy kartach”. Jeszcze kazała zapakować dla psa.

Pod wieczór samochód nagle stanął, w dodatku zaczął wiać zimny wiatr. Grzebałem w żelastwie komputera, a Heksa z psem – nazwała go Puszek! – wybrała się na daleki spacer. Wróciła w nocy, umazana jagodami i ziewnąwszy, zwinęła się w koc. Pies położył się na przednim siedzeniu. Nawet nie zapytała, jak mi idzie. Łączyłem się przez satelity z programistą, a to trwało.

Nad ranem ruszyliśmy. Kiedy usiłowałem zrzucić psa na podłogę, capnął mnie za rękę i niespiesznie się odsunął. Cały czas czułem jego łeb na moim udzie.

Kiedy dotarliśmy do domku, nie warto było się kłaść. Wziąłem wędkę i usiadłem nad jeziorem. Słońce wschodziło, ja drzemałem, a ryby obgryzały mi robaki. Pies biegał wokół, płosząc większe sztuki, toteż przyniosłem zaledwie kilka rybich niemowląt. Heksa opalała się na leżaku z listkiem na nosie. Miała dwuczęściowy kostium, z którego wprost się wylewała. Zjadłem coś na zimno z folii, byliśmy przecież

na wypoczynku, nikt nie będzie gotować. Wreszcie walnąłem się spać.

Pod wieczór Heksa przywlokła się z jakimś wesołym towarzystwem. Palili ognisko, piekli kiełbaski, aż do mnie dolatywało skwierczenie tłuszczu. Śpiewali i przekrzykiwali się wesoło. Pies szczekał i ganiał wokół. Nakryłem głowę, ale sen mnie opuścił.

Rano poszedłem na ryby. Miałem przecież świetny sprzęt. Szczęście mi dopisało, złowiłem okazałego szczupaka, ale nie było jej, nie miałem się komu pochwalić, więc go ze złości wyrzuciłem w krzaki.

Przybyła koło południa, zadowolona i świeża, z psem biegającym wokoło jej nóg. Zaczęła mnie wyciągać na spacer. „Sport, ruszać się, okrągły tydzień siedzisz przy biurku, całe dnie bez ruchu. Do cna stracisz kondycję”. Zmusiła mnie do forsownego marszu, biegów, skoków i skłonów. Kiedy wróciliśmy pod wieczór, byłem wypompowany. Znowu ekologiczne jedzenie z folii. A ona nagle zaczęła krzyczeć: „Pająk! Jaki olbrzymi, mutant! Tu musiało być laboratorium! Uciekły!” I jeszcze mnie zbesztala, że nie dość szybko przybiegłem. Ledwo mogłem się podnieść. I nie było żadnego pająka, który umknął z doświadczonego laboratorium wojskowego.

Obraziła się. W drodze powrotnej siedziała nachmurzona (żeby w tedy wiedział, co knuje!). Nie odezwała się do mnie ani słowem. Nie mogłem znieść tego upiornego milczenia, a przecież przy innych potrafiła tryskać energią i wesołością. Kiwała tylko ręką przejeżdżającym samotnym kierowcom, a oni puszczała do niej oko, jakbym ja się nie liczył. Pies dyszał mi w kark.

Wieczorem dowlekliśmy się do domu. A w nią wstąpił demon. Zaczęła się pakować. Wyciągnęła z szafy suknie, z łazienki słoiki z kremami, upychała je w torbach i bez przerwy gadała. Wszystko mi wypomniała. Na koniec rzuciła na podłogę w salonie szczupaka, krzycząc: „Znalazłam w krzakach. Każ głowę wypreparować, bo ma tyle rozumu co ty! A resztę niech zjedzą twoje koty z porcelany!”.

Bo znowu stały na kominku. Nagadała, nawrzeszczała, nahałasowała torbami, szum przepełniał dom. I punktualnie o dwunastej wyszła, trzasnąwszy drzwiami. Bez pożegnania, bez słowa. Pies został.

Zrobiło się cicho i pusto. Cisza dzwoniła w uszach. Usiadłem na werandzie. Świecił księżyc. Kompaktów z romansami nie było. Przesiedziałem w ciszy do rana. Obszukałem cały dom; niczego nie zapomniała. Tylko skrawka z wycinkiem na krem wybielający „Łabędź” nie zabrała.

Nie ma Heksy. Nie poszedłem do biura. Pies nie chce zjeść, ja też. W kredensie znalazłem wór ciastek z wanilią...

– Składa pan zażalenie? Uprzedzam, mamy prawników.

– Chcę, żeby Heksa do mnie wróciła.

– Tego kontrakt nie przewiduje. To żona na tydzień, na próbę. Mówiliśmy o tym na

początku. Heksa jest pracownicą naszej agencji.

– Poszła do pracy? Heksa w ramionach jakiegoś obmierzłego typu, który nie potrafi nawet naprawić samochodu! Nie będzie szczęśliwa. Ona potrzebuje mężczyzny, który zrozumie jej pragnienia, intensywność, witalność i namiętność. To kobieta, która nie żyje dla innych, lecz pozwala chłonać swoją wspaniałość. Musi być obok niej koneser, czujący jej smak. Heksa nie może pracować. Musi być przy mnie.

– Kiedy pan to pojął?

– Proszę pani, jak każdy facet nie lubię opowiadać o swoich uczuciach, zwłaszcza jakiejś obcej osobie z Agencji, ale co tam! Heksa się nie narzucała, ja to przemyślałem, ona się przede mną odkryła, była naga, nawet bardziej, była brudna. Zrozumiałem ten sygnał, on znaczył: „Nie zawsze będę piękna”. I co najważniejsze, Heksa to prawda i swoboda wyboru. Żadnych nacisków, mnie i tylko mnie pozostawiła swobodę decyzji i wyboru, bez ponagłania, bo faceci tego nie lubią. Pokazała, że potrzebuje sentymentalnych chwil, ale następnego dnia nie truła, że nie spełniłem jej pragnień. „Jestem taka, chcesz, twój wybór, pokazuję wszystko”. Każdy się na to złapie. I powiem więcej: Heksa to wolność. Ona miała swoje życie wewnętrzne, nie potrzebowała mnie, abym wypełnił ten dzbanek, który nosi w sobie. Znajdowała sobie towarzystwo, radość, miała ciekawe życie. Mogłem w nim uczestniczyć lub nie, wybór zależał ode mnie. Przyznaję, głupio się naburmuszyłem. Wiem, moja strata.

– Hm.

– Dlaczego pani milczy? Rozumiem, uczucie. Będę z nią jeździł do lasu, chodził na przyjęcia, kupię nowe kompaktki z romansami i będę czekał na pełnię księżyca.

– Nie o to tu chodzi.

– A o co? O pieniądze? Dam Heksie ubezpieczenie, bardzo wysokie, zaznaczam. Zawrzemy kontrakt, aby czuła się pewna.

– Agencja będzie miała kłopoty, gdyby Heksa do pana wróciła. Oczywiście nie jest to możliwe i mówię tak tylko teoretycznie.

– Czy mam wam dawać odstępną za utratę pracownicy? Wolne żarty! Tego nauczyłem się od Heksy. Ona by się targowała i nie odpuściła swego. To wy powinniście mi zapłacić. Uważacie ją za wybrakowany model i daliście mi ją na odczepnego. Bo sprawiałem kłopoty i żadna dziewczyna mi nie pasowała. Agencja troszczyła się o swoją opinię i ponosiła straty – za tę samą cenę miałem kilka dziewczyn. Więc nie będę się domagał odszkodowania za wybrakowany model, ale ona ma do mnie wrócić.

– Heksy w tej chwili nie ma.

– Urlop? Kiedy się skończy?

– Nie w tym rzecz.

– Czyżbyście ją, bydlaki, skasowali? A może daliście do regeneracji czy poprawek kosmetycznych: lifting, liposukcja i odmładzanie? Nie zgadzam się! Chcę, żeby była z

felerami i z błędami. Jak myślicie, jak się czuje zwykły facet, gdy snuje się koło niego takie bóstwo w koszulce. I nie ma wad! Kim ja jestem przy takiej? A przy Heksie, o, można się cieszyć z własnych felerów. Oddajcie mi ją z błędami!

– Problem jest o wiele trudniejszy.

– Wykrztuś wreszcie, kobieto!

– Heksa nie jest modelem.

– Co to znaczy, co pani mówi?

– Jest człowiekiem. Jako człowiek ma wolną wolę.

– Hm.

– Pan milczy. Rozumiem, pan się wycofuje.

– Wycofuję?! Nigdy! Pani mnie nie rozumie, pani tego nie przeżyła nigdy w tej Agencji. Ja chcę się z nią ożenić. Oświadczę się jej, i to tradycyjnie: bukiet, pierścionek zaręczynowy. Będę miał zwyczajny dom! Prawdziwy, tradycyjny, z generalnymi porządkami i dopasowywaniem się charakterów.

– Ona porzuciła pracę i nie wiem, gdzie jest.

– Nie wolno wam zatrudniać ludzi. Pozwę was, jeśli jej nie przyślecie!

– Odchodząc, powiedziała o panu pewne słówko.

– Chwileczkę! Cicho! Pies szczeka! Chyba ktoś się dobija do drzwi. Jakaś awantura przed drzwiami. To może być tylko Heksa. Nikt nie wchodzi tak efektownie. Heksa? Heksa! Heksa, Heksa. Czeka, no, czekaj, już ja dam ci za to słówko!



# Zapytajcie umarłych

Przychodzili tu każdego ranka, by ocalać świat od nowa. Mimo że byli ubrani w luźne mundury polowe, jednak zachowywali się tak, jakby szli do biura. Zatrzymywali się nawet w bramie i podniesieniem ręki pozdrawiali kolegów, gdy rozdzielali się na grupy. Jedne szły ku windzie, wiozącej ich na górne piętra szklanego gmachu dowództwa; drugie zmierzały w stronę schodków, ukrytych w ziemi i prowadzących do betonowego schronu. Opuściwszy dłoń, odwracali się i w skupieniu szli całą grupą, już nie spoglądając na kolegów, jakby nagle o nich zapomnieli, myśląc już tylko o tym, co ich czeka.

– Mia – zawołała matka w odległym domku na przedmieściu. – Ubieraj się. Przecież dzisiaj jest twój wielki dzień.

Matka stała u podnóża schodów, opierając rękę na poręczy pomalowanej na biało. Jej trzyletnia córeczka wyszła właśnie z sypialni i zaspana zatrzymała się na górnym stopniu, jakby nie mogąc sobie przypomnieć, w którą stronę ma pójść: piętro wyżej czy w dół, gdzie stała matka. Ręka matki uniosła się i wskazała kierunek, po czym znowu opadła na białą poręcz.

– Tam – odgadła dziewczynka, pokazując w górę rączką.

I tak trzymając ją uniesioną, odwróciła się i poszła za wskazującym palcem, jakby on ją prowadził, ciągnięty przez niewidzialną istotę, porządkującą kierunki w ich białym, słodkim domku. Demon porządku i karności był symbolem pracy ojca, który, choć nieobecny, wciąż utrzymywał rodzinę w obrębie reguł.

– Ojciec znowu nie będzie na moim meczu – powiedział chłopiec, wychodząc z pomieszczenia w piwnicy. Był już ubrany w strój sportowy i dłonią podrzucał piłkę. Do góry i w dół. W jego głosie brzmiał żal i zawód. – Chciałem mu pokazać, czego się nauczyłem od ostatniego razu. Kazał mi wykonywać pewne ćwiczenie. Codziennie. Robiłem je, chociaż nie mogłem tego widzieć. Mam już wyniki, on ich jednak nie zobaczy.

– Ależ, John – zastopowała go matka – czyżbyś nie wiedział, jakie odpowiedzialne zadanie ma do spełnienia twój ojciec?

Odwróciła się ku niemu, zdejmując rękę z białej poręczy i mierzając nią w pierś syna. Tłumaczyła mu, jakby nie wiedział.

Tymczasem ojciec Johna i Melanii, na którą wołano Mia, schodził po schodach do bunkra. Pozwolił sobie na odczuwanie delikatnego stanu niezadowolenia, choć nie powinien. Oczywiście bardziej komfortowo byłoby w szklanym wieżowcu, mimo

czarnych szyb w oknach. Choć światło przez nie prawie nie przenikało i nie pozwalały dostrzec kształtów na zewnątrz: ani budynków, ani też ulic, jednak dzięki nim istniało wrażenie przestrzeni, która otaczała dom. Nie wiadomo, czy oficerowie odczuwali jakąś przyjemność z powodu tej lekkości i czy skoro tak ich wyniesiono, uważali się za bogów – choć przecież byli panami życia i śmierci. On też. W jego wydaniu śmierć miała ciężar betonu i chropawość, kryła się w mroku i zakurzonych korytarzach, gdzie u sufitu mdło świeciły żarówki w osłonach. Właśnie zanurzył się w długi korytarz, od którego po obu stronach odchodziły drzwi.

Staął na progu swojej kapsuły. I zobaczył niesamowity widok.

John wciąż podrzucał piłkę, gdy matka mówiła o zaszczytnej pracy ojca. On też ją doceniał, jednak brakowało mu ojca, który wciąż dyżurował; szczególnie teraz, gdy sytuacja na świecie przybrała niespodziewany obrót. Od dawna nie miał wolnego dnia. Kiedy wracał, od razu kładł się do łóżka, nie wypowiadając ani słowa. Na nikogo nie patrzył. Matka nawet nie wchodziła do sypialni, tylko zamykała drzwi od zewnątrz. Bezgłośnie kładła palec na ustach, ale dzieci i tak milczały, porażone, choć przecież nic się nie wydarzyło. Milczenie, nieobecny wzrok, krok automatu, gdy wspinał się na piętro, ciężko sunąc ręką po białej poręczy, i potem uderzał tą samą zmęczoną ręką w drzwi do sypialni. Przechodził przez próg, jego barczysta sylwetka ginęła w ciemności pokoju. Matka, podążając za nim jak duch, już stała na progu i przyciągała do siebie białe skrzydła drzwi ich sypialni; potem odwracała się z palcem na ustach, mimo że żadne z nich nie ośmieliłoby się choćby westchnąć.

Sierżant Harold, ojciec Johna i małej Melanii, stanął jak wryty tuż za progiem kapsuły. Wszystkie urządzenia otaczające ściany pulsowały monitorami. Widoczne na nich znaki i symbole były teraz nieruchome, czekały na rękę i decyzję człowieka. Ten jednakże siedział przy głównej konsoli, na brzegu fotela, niepewnie, jakby chciał się z niego zsunąć i wpaść w czarną dziurę przerażenia, która otworzyła się pod jego stopami. Patrzył na wchodzącego Harolda, kolegę z dziennej zmiany. A ten spoglądał na jego twarz mokrą od potu. Krople ściekały z czoła i toczyły się po policzkach, by skapnąć na dystynkcje sierżanta na pagonach i wsiąknąć w mundur. W jego rozszerzonych oczach widniała groza. Teraz jego usta się otworzyły, lecz nie wy dobył się z nich żaden dźwięk.

Sierżant Harold, zobaczywszy krople potu na twarzy kolegi z nocnej zmiany, nie postąpił ani kroku do przodu. Wprost przeciwnie: rozsunął stopy, stając w niewielkim rozkroku, by utrzymać równowagę, gdyby żołnierz, jego kolega, a teraz przeciwnik, nagle oderwał się od swego fotela – choć nadal zaciskał dłonie na poręczach – i skoczył mu do gardła. Wiedział, że musi się zachować zgodnie z regulaminem. Wbijano mu do głowy zasady postępowania w sytuacjach nieprzewidzianych: krok za krokiem

wykonuj kolejne punkty procedury. Jest doskonała i skuteczna. To jest rozkaz, a twoją powinnością jako żołnierza jest posłuszeństwo wobec rozkazów. Takie nauki wygłaszali dowódcy podczas odpraw. Powtarzali je regularnie, rozpoczynając każdą odprawę od ich przypomnienia.

„Po pierwsze – powtarzał w myśli Harold – zachowaj dystans od niebezpieczeństwa”. Zachował, nie rzucił się na pomoc koledze, choć ten najwyraźniej potrzebował życzliwej dłoni, by wyciągnęła go z dziury przerażenia, w którą coraz głębiej się zapadał. Wystarczyłoby położyć mu dłoń na ramieniu, poklepać życzliwie, mówiąc: „No, już dobrze, spokój”. Zachodziło jednak niebezpieczeństwo, że osoba w takim stanie psychiki rzuci się na tego, który podejdzie z zamiarem udzielenia pomocy. Szczipią się i zaczynają ze sobą zmagać.

Dowódcy przestrzegali przed taką sytuacją. „Co wtedy się wydarzy? – zadawali retoryczne pytanie. – Kto będzie w niebezpieczeństwie?”

„Ja” – myślał każdy z żołnierzy.

Dowódca znał tę odpowiedź, mimo że brzmiała jedynie w głowach podkomendnych zgromadzonych w sali odpraw.

„Ty będziesz zagrożony?” – pytał z drwiną.

Robił wtedy szeroki ruch ręką: pokazywał systemy. Otaczały każdego z żołnierzy, kiedy tylko wchodził do kapsuły. Każdy z siedzących w sali odpraw podążał wzrokiem za ruchem ręki dowódcy i bladł z przerażenia. Uruchomienie choćby jednego z nich bez kontroli oznaczało zezwolenie, by system działał samodzielnie. Rządziłaby nim sztuczna inteligencja, a ona postępuje według własnych reguł. Nie można nakazać jej zmiany postępowania, nie można zatrzymać jej działania.

„Co by się stało?” – dowódca kierował pytanie do żołnierzy.

Doszłoby do destrukcji obszaru, który mieli pod kontrolą. Zdawali sobie sprawę, że jest to określenie oględne i ogólne. Skutki byłyby wymierne, materialne i nieodwracalne. A gdyby podczas szamotaniny uruchomiono więcej niż jeden system? Takiego pytania dowódca nawet nie zadawał, gdyż i tak każdy z żołnierzy sam to zrobił. Ile obszarów uległoby destrukcji? Może nawet cały glob zostałby zagrożony? Systemy o wysokiej inteligencji były idealne do walki z przeciwnikiem. Żołnierze wiedzieli jednak, że nie wolno ich pozostawić bez kontroli, bo stawały się dzikie i żarłoczne: ich bezwzględna samowola niszczyła wszystko, co tylko znajdowało się w programie. Dlatego to wspaniałe narzędzie musiało być kontrolowane ręką, inteligencją i wolą człowieka.

„Punkt drugi: sprawdzić stan bezpieczeństwa systemów” – powtórzył w głowie Harold. Musi upewnić się, czy zostały zabezpieczone; czy nie działają po cichu, w ukryciu, milcząc, ale pod nieruchomymi sygnałami na ekranie wykonują swoją destrukcyjną pracę. Wciąż mając w polu widzenia kolegę z nocnej zmiany, po kolei przebadał wzrokiem wszystkie monitory. W porządku, uspokoił się i odetchnął. Wciąż

jednak stał w rozkroku, zapewniającym stabilność i dobre wybicie się do skoku, gdyby musiał zaatakować. Przechylił lekko głowę na prawą stronę i wypowiedział szeptem komunikat. Czip przymocowany do kołnierza przekazał informację we właściwe miejsce. Gdzieś włączył się czerwony alert.

Harold wyprostował się i wciąż czujny, pozwolił sobie na współczucie. Jego kolega miał rodzinę tak samo jak on sam, żonę, dzieci, chyba dwóch synów i córeczkę. Jak sobie poradzą? Oczywiście wojsko ich nie zostawi bez pomocy: kredyty zostaną spłacone, a pogrzeb odbędzie się na koszt armii. Trumna zostanie przykryta sztandarem, trąbka odegra ostatni hejnał i odtąd wdowa będzie przychodzić i rzucać bukiety, nie wiedząc, że pod kilkoma metrami ciężkiej ziemi i pod lakierowanymi deskami trumny nie ma ciała.

Ono bowiem siedzi w salce z zakratowanymi oknami i jest już tylko ciałem, choć ręce wczepiają się w pręty, a ono wciska w nie twarz, by wyrzeć na drugą stronę. Jego wzrok jest tylko czasami ludzki i rozumny. Wejdzie pielęgniarka i mówiąc coś banalnego: „Jak się dzisiaj czujemy, znacznie lepiej, prawda?”, da mu witaminy.

„Będziesz się po nich czuł naprawdę dobrze” – zapewni.

Kiedy połknie żółte i czarne tabletki, jego źrenice zmętnieją. Odsunie twarz od prętów, palce rozluźnią uścisk, ramiona opadną, całe ciało zwiotczeje i osunie się na łóżko. Nie będzie niczego pamiętał i nawet sny od niego odejdą. Bo gdyby pozostały przy nim, siedząc wokół poduszki na łapach, wczepione pazurami w jej brzeg, gapiąc się błyszczącymi ślepiami w jego powieki, pod którymi drgają gałki oczu, szukając ucieczki od grozy, którą widzą, oszalałby naprawdę.

Tak być musi. Wojsko ma ściśle tajemnice, które nigdy nie mogą zostać wyjawione, w żadnych okolicznościach i pod żadnym pozorem. Życie i wolność żołnierza są ceną sekretów armii.

Harold usłyszał, że drzwi się rozsuwają. Postąpił jeden krok w prawo. Weszło kilku pielęgniarzy ubranych na biało od stóp do głów. Na oczach gogle, na ustach maski. Idą mechanicznie, bardzo sprawnie, jeden podchodzi pierwszy i dotyka palcem twarzy siedzącego żołnierza. Może to wcale nie jest palec, lecz coś ostrego, kłującego, niepozostawiającego śladu, nawet najmniejszej czerwonej kropki na policzku, który choć wciąż mokry z przerażenia, robi się biały. Oczy w ostatnim przebłysku zrozumienia wywalają z siebie czarną strugę przerażenia i mętnieją. Ciało wiotczeje, lecz nosze są już rozłożone, żołnierz osuwa się na nie, ręka zwisa poza drążki, więc jedna z biało ubranych osób ujmuje tę rękę i układa wzdłuż ciała, nie czyniąc tego w odruchu litości, lecz by nie uwięzła w drzwiach windy.

Wyszli. Harold wciąż jeszcze stoi po prawej stronie drzwi. Uspokaja się i postępuje kilka kroków do przodu. Zasiada przed konsolą. Opiera nadgarstki rąk o jej brzeg i dyskretnie spogląda, czy dłonie mu nie drżą. Musi być całkowicie gotowy do działania: jest maszyną, jest żołnierzem Sił Globalnego Pokoju. Dzierży na swoich

barkach czy raczej w pewnych już rękach bezpieczeństwo Ziemi. Och, nie całej oczywiście, ale wielkość obszaru, jaki kontroluje, nie jest istotna.

Ważna jest potencjalna groźba, jaka może wystrzelić z małego i cichego skrawka terytorium i wtedy – fuch! – gna jak pożar po suchym stepie, nie dając się opanować. Zagroza całości. Musi więc wyciąć chorą komórkę, by nie rozrosła się na cały organ, na przykład Europę.

Zdjął blokadę, którą jego kolega jednak założył. To rzuciło nowe światło na jego zachowanie. Skoro zaszyfrował system i nikt go nie mógł uruchomić, poza jego zmiennikiem, sierżantem Haroldem, to znaczyło, że mózg żołnierza z nocnej zmiany pracował prawidłowo, i to do samego końca. A nawet dłużej. Skończył dyżur, zamknął systemy i usiadł, czekając na przyjście kolegi z dziennej zmiany, czyli Harolda. I wtedy nagle dopadł go strach. Coś zobaczył, coś sobie przypomniał. I to właśnie spowodowało, że jego twarz zaczęła się pocić tak obficie. To musiało być coś naprawdę przerażającego, skoro zahartowany żołnierz, który codziennie przebywał na linii frontu, otworzył szeroko oczy. Co się wydarzyło na poprzedniej zmianie?

Kolega musiał być również świadomy wszystkiego, co się działo, kiedy Harold wzywał pomoc psychiatryczną. Dlaczego nie zatrzymał go, nie zaprotestował?

„Dlaczego to zrobiłem? – zapytał Harold, czując wyrzuty sumienia. – Czemu nie sprawdziłem, w jakim jest stanie? Wystarczyło stać spokojnie, nic nie robić, dać mu się wypłakać, poczekać, aż dojdzie do siebie”.

Ledwo to pomyślał, od razu zaprotestował.

„Nie mogłem zrobić absolutnie nic innego. Postąpiłem, jak należało”.

Przepisy, procedury i zbyt wielkie ryzyko. Nie po to przechodził szkolenie, nie po to wbijano mu do głowy, jak ma postępować w sytuacji zagrożenia, by znalazłszy się po raz pierwszy oko w oko z szaleńcem, stać i czekać, aż minie mu atak.

Był pewny swoich racji i słuszności postępowania, a jednak pozostał w nim osad, który truł. Jako żołnierz musiał tak postąpić, nie miał więc sobie nic do zarzucenia, ale jako człowiek i kolega nie mógł się pogodzić z tym, co zrobił. I nie pomagało mu ogólne stwierdzenie o konieczności wyborów, jakich dokonuje się w życiu.

I nagle zobaczył przed oczami szyfr, cztery cyfry: 50 – 20. Powtórzył je w myśli. Wiedział, co oznaczają. Zobaczył mapę: Europa, a to go zdziwiło. Od setek lat kontynent był stabilny. Co więc mogło się wydarzyć? Nagłe rozbitcie państwa o solidnych granicach czy szaleństwo dyktatora? Nie, to niemożliwe. W Europie istniały wyłącznie systemy obieralne. Nie widział żadnych innych przyczyn, które skłoniłyby międzynarodowe siły do interwencji zbrojnej.

Dyktatora nie było, bo przecież tyran nie pojawia się z dnia na dzień. Najpierw musi zebrać grono zwolenników, zorganizować partię i co najważniejsze: zapełnić konto bankowe. A nawet po spełnieniu tych warunków zagarnięcie władzy przez dyktatora nieczęsto się udaje. Nie uzyskuje bowiem poparcia wojska; zresztą siły

wojskowe każdego z europejskich krajów były obecnie symboliczne. Utrzymywano armie krajowe głównie z powodów reprezentacyjnych i społecznych. Oficerowie doskonale wyglądali, gdy wbiegali po białych, marmurowych schodach, a światło odbijało się w ich lśniących, czarnych butach. Wszyscy zgromadzeni na oficjalnych uroczystościach patrzyli, jak dobiegają do trybuny, na której stoi prezydent, i unoszą rękę do daszka, składając meldunek o gotowości sił zbrojnych do defilady. I ponieważ chłopcy lubili hierarchie, dawało im się w ten sposób możliwość awansowania nawet aż do stopnia generalskiego, za czym szły – wyższy żołd, wyznaczenie ordynansa do czyszczenia oficerek i przydział nowego munduru z okazalszymi galonami.

Wiedząc to wszystko, Harold wykluczył pucz w jakiejkolwiek armii czy udzielenie przez nią poparcia szalonemu dyktatorowi, który chciał zagarnąć władzę. To gazety produkowały typ nienormalnego dyktatora. W gruncie rzeczy każdy sięgający po władzę myślał precyzyjnie i kalkulował logicznie.

Wykluczwszy w jednej chwili te wszystkie powody zbrojnej interwencji na tym skrawku Ziemi, przypomniał sobie przerażone oczy kolegi, pytając, do czego został zmuszony. Jako żołnierz nie powinien zadawać takich pytań. Jego powinnością było wykonywać rozkazy i nie myśleć. Nie zdołał jednak powstrzymać swojej wyobraźni. Zobaczył terytorium, które zawierało się w liczbach: dwudziesty stopień długości geograficznej wschodniej i pięćdziesiąty stopień szerokości geograficznej północnej. Nie potrzebował patrzeć na mapę, by ujrzeć to miejsce. Włączył jednak mapę plastyczną, bo i tak należało uruchomić systemy. Dotykał po kolei wyłączników, pach, pach, pach, przestawiając je w górne położenie. Mapa plastyczna otworzyła się i kształty leciały ku niemu. Zobaczył brzeg niewielkiego morza wewnętrznego, piasek na plaży i tuż obok ruchliwe miasto z siatką ulic. Sunęły po nich punkty światła, mknąc szybko i sklejjąc się w ruchliwe węże – to był materiał biologiczny, tak zwani ludzie. Zobaczył również kwadraty oznaczające place, rynki i targowiska, szczelnie wypełnione punktami. Materia biologiczna, materiał żywy był – tak właśnie jak tu – czerwony. Teraz przyszła chwila, by odczytać, jakie zadanie wyznaczono mu na dzisiejszy dyżur. Zerwał pieczęć szyfru i odczytał. I w mgnieniu oka jego twarz pokryła się kroplami potu.

Chłopiec wszedł do swojego pokoju, wciąż podrzucając piłkę. Zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. Naprzeciwko na ścianie wisiała obręcz z siatką. Chłopiec uniósł rękę, mierząc wzrokiem odległość i szerokość otworu. Zrobił to dokładnie tak, jak mu kazał ojciec: „Ułamek sekundy na skupienie, nie za długo, pamiętaj. Nie myśl, już zaprogramowałeś swój umysł, pozwól mu działać samodzielnie. Niech myślą twoje mięśnie”.

Nie rozumiał, co to znaczy, że mięśnie myślą. Postanowił jednak wykonywać precyzyjnie instrukcje udzielone mu przez ojca. Ćwiczył więc codziennie. Raz mu się

udawało wrzucić piłkę do kosza, innym razem chybiał. Ojciec powiedział, że ma trafić za każdym razem, czyniąc to swobodnie i mechanicznie. Musi się nauczyć umieszczać piłkę w koszu nieskończoną ilość razy. „Pamięć komórek, program, tak mówi ojciec” – powtarzał chłopiec.

I teraz, wciąż czując żal z powodu nieobecności ojca na meczu, który miał się odbyć tego dnia, rzucił piłkę, nie powtarzając sobie instrukcji. Dotąd szeptał ją zawsze, gdyż ogromnie mu zależało, by należycie wykonywać polecenia ojca, chciał zasłużyć na krótkie: „Dobrze, synu”. Bez roztkliwiania się i przesadnych wrzasków: „Ale jesteś super!”, jak to czyniły matki. Pragnął surowej męskiej pochwały, która miała dla niego największą wartość.

Rzut! Piłka w koszu. Podbiegł, pochwycił ją, powrócił do drzwi, pozycja: rzut! Trafione. I znowu chwyt, powrót, pozycja, rzut. Już wiedział. Mógłby tak rzucać w nieskończoność. Więc biegał i rzucał, nie myśląc i nie pamiętając, jak płynie czas. Nie cieszył się, nie wychwalał w myślach. Nie padły słowa: jestem super. Był mężczyzną. Grał tak długo, póki jego ramiona nie pokryły się potem ze zmęczenia.

Położył piłkę pod siatką, wytarł się ręcznikiem i wciągnął bluzę przez głowę. Usiadł przy biurku i uruchomił komputer. Musiał komuś o tym powiedzieć. Miał wielu przyjaciół w Sieci, ale ten jeden był szczególny. Mieszkał w innej strefie czasowej. John kiedyś sobie postanowił, że spojrzy na mapę, by policzyć południki i dodać godziny.

Kiedy twarz kolegi pokazała się na monitorze, siedział plecami do okna, za którym się już ściemniało. W taki sposób John dowiedział się, jaka jest odległość w strefach czasowych. Nie musiał już liczyć południków na mapie.

– W Europie wieczór – powiedział zadowolony z tego, że odgadł i udało mu się umiejscowić kolegę w czasie. – A ja mam dzisiaj wolne od szkoły. Gramy mecz. To mecz mojego życia, bo będę walczył na boisku o stypendium do koledżu. Wiem, że wygram.

– I ja miałem dzisiaj wolne od szkoły – powiedział kolega, jego imiennik, Jasiek. – Ojciec nie wrócił.

– Mojego też nie ma. – John nie rozumiał, co tamten chce mu powiedzieć. – Ma dzisiaj dyżur. Strzeże spokoju na świecie.

– Nie wiem, czy mój wróci. – Oczy Jaśka były zgaszone.

– Wyjechał? A ja się cieszę, że mojego nie wzięli na misję. Bo wtedy również nie byłoby pewne, czy w ogóle powróci.

– Ojciec jest na majdanie. Razem z innymi. Oni też nie wrócą.

John nie rozumiał i chciał się dowiedzieć, co wszyscy ojcowie robią na majdanie i dlaczego mogą nie wrócić. Jednak właśnie wtedy w oknie za plecami Jaśka zabłysło białe światło: punkt pojawił się na niebie dość wysoko i wciąż się rozświetlał. John rozumiał, dlaczego tak się przemienia. Ojciec ze spraw wojskowych objaśniał mu to,

co było wolne od tajemnicy i dostępne dla wszystkich. Biały punkt obniżał się i wciąż świecił. Spadł, trafił – to John wiedział. Pocisk był tak precyzyjny jak jego rzut piłką. Odblask pocisku pojawił się na ekranie monitora i siedzący chłopiec zeszywniał. Czekał. Na co?

Oczy Johna śledziły spadający pocisk. Zgasł, gdy doleciał do ziemi. Czy wyrwał w niej dziurę, która pochłoneła ludzi, czy raczej rozprysł się na ostre kawałki, siekąc stojących wokoło, którzy upadali i już się nie podnosili? W umyśle chłopca wciąż powtarzały się pytania, czyja ręka naciska guzik startowy pocisku, kto wysłała inteligentne drony, które krążą po niebie z okiem skierowanym w dół i wypatrują skupisk ludzi; a kiedy ich wzrok spocznie na czyjejś głowie, ta odpada, ścięta. John siedział nieruchomo, tak samo jak jego kolega.

– Nikt nie wróci – powiedział Jasiek.

– Skąd wiesz? – zapytał John.

Kolega jednak nie odpowiedział, siedząc wciąż sztywny z przerażenia. I wtedy targnął nim potężny płacz. Plecami wstrząsnął spazm, z oczu leciały łzy jedna za drugą. Kapnęły na wyłącznik, ekran monitora zmętniał, nim rozświetlił go kolejny pocisk, wypatrujący w tłumie bezbronnej głowy.

– Mia! – zawołała matka w słodkim domku na przedmieściu. – Co ty robisz tyle czasu w łazience?

Dziewczynka wreszcie stanęła u szczytu schodów. Była owinięta w ręcznik kąpielowy. Na jej ramionach widniały krople wody. Wysunęła nóżkę w kapciu w kształcie pieska i zaczęła schodzić ku matce.

– Musiałam wziąć duuży prysznic – wyjaśniła dziewczynka. – Wiesz, jaki dzisiaj dzień?

Schodziła, niedbale szurając nóżkami. Matka, patrząc z niepokojem, czy się nie ześlizgnie, milczała. Dziewczynka się zatrzymała. Stała, spoglądając z góry na matkę. Ta jednak, wpatrzona w nóżki z piaskami, nie zauważyła jej zaczerwienionej z gniewu twarzy.

– No schodź – ponagliła dziewczynkę. – Czemu stoisz?

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie!

– Jakie znowu pytanie? – zdziwiła się matka.

– Ty mnie wcale nie słuchasz! – besztala ją dziewczynka. – Tata zawsze wie, co do niego mówię. Odpowiada na moje pytania.

– Rusz się wreszcie, bo się spóźnisz – ponagliła ją matka, nie zwracając uwagi na fochy małej.

– Gdyby tata był w domu, wiedziałby, jak się do mnie odnosić.

Mia domagała się pocieszenia i przeprosin. Oczekiwała emocjonalnego zadośćuczynienia za doznaną krzywdę. Matka jednak nie zamierzała ustąpić.



– Gdyby tata tu był, podszedłby do mnie i wziął na ręce.

Dziewczynka dopominała się pieśczoł i chciała wygrać z matką ten psychiczny pojedynek.

– Jak się przestaniesz dąsać, przyjdź do garderoby. I spójrz na zegar. Bo się spóźnisz.

Matka odwróciła się i ruszyła do pokoju. Po chwili dobiegło stamtąd skrzypienie drzwi od szafy.

Dziewczynka usiadła na schodach i podparła ręką brodę. Zastanawiała się, co zrobić.

– Czy mogę zatelefonować do taty?

Brak odpowiedzi.

– To przynieś mi telefon – rozkazała, choć matka się nie odezwała.

Wreszcie dziewczynka zaczęła się zsuwać ze schodów, stukając pośladkami o każdy stopień. Odgłos wywabił matkę z pokoju. Zatrzymała się jednak w progu, sprawdzwszy, że córka nic złego sobie nie zrobiła. Dziewczynka zaczęła płakać z bezsilności.

– Potłukłam się, wszystko mnie boli – skarżyła się.

– Jak będziesz płakać, twoja buzia zrobi się brzydka – powiedziała matka. – I wtedy na pewno nie wygrasz konkursu piękności.

Po tym stwierdzeniu dziewczynka bardziej się rozplakała. Łzy płynęły jej po policzkach.

– Uspokój się! – krzyknęła matka.

W odpowiedzi dziewczynka zaczęła głośno wrzeszczeć. Wyobraziła sobie, że naprawdę nie wygra konkursu piękności, do którego tak długo się przygotowywała. Marzyła, by zostać Miss Trzylatek. Była pewna, że ma ten tytuł w garści. Uwagę matki o przegranej odebrała jak niepodważalną prawdę. Dlatego wrzeszczała i desperowała, siedząc na schodach.

Matka zadzwoniła do męża:

– Uspokój ją, znowu dostała ataku, bo ciebie nie ma.

I zanim mężczyzna zdołał odpowiedzieć, wetknęła dziewczynce do ręki telefon.

Harold uruchomił już wszystkie systemy. Miał przed oczami całą Ziemię wraz z orbitami, na których gromadnie krążyła masa satelitów. Ten widok zawsze wzbudzał w nim uczucie euforii. Bez przesady – istny zawrót głowy. Wrażenie niewypowiedziane. Kiedy siedział spokojnie, przygotowując się, trzymając rozprostowane dłonie tuż ponad narysowanymi na konsoli prostokątami wyłączników, czuł się jak władca przestrzeni, pan wymiarów i dawca tlenu. Mógł wszystko. Wiedział jednak dokładnie, co mu wolno i jakiej granicy nigdy nie przekroczy. Nie wyrąbie jednym uderzeniem połowy kontynentu, nie dokona wessania zbitych grud satelitów, robiąc dziurę w masie,

która krążyła na wyznaczonych orbitach. Co by się stało?

Gdyby wyparował kawał Afryki, ocean chlusnąłby na miasta: stalowe wieżowce runęłyby w głębie, porywając ze sobą szklane windy, wciąż sunące po jego powierzchni, ale teraz poziomo. Uwięzieni ludzie nie zdążyliby wezwać pomocy, która przecież i tak nigdy by nie nadeszła. Z wielką falą tsunami płynęłyby wypłukane cmentarze, niosąc białe nagrobki; woda porwałaby klatki ze zwierzętami i kołując się mieszała wszystko razem, by jednym uderzeniem zielonego ogona wbić to na dno oceanu i zamulić.

A gdyby zamarły satelity, sunące po orbitach, usnęłyby ziemskie systemy komunikacyjne i szerniały niewidzialne linie biegnące pomiędzy komputerami. Fotony by stanęły i ludzie wołaliby: „Halo, nie słyszę cię”. Ziemia by umilkła i stała się cicha jak na początku stworzenia, gdy nie było ust ani słów.

Harold jednak wiedział, że tego nie zrobi. Chyba żeby oszalał. Ale dlaczego miałoby mu się pomieszać w głowie? Przecież przychodził tu codziennie i wykonywał te same ćwiczenia. Powiedziano żołnierzom, że muszą długo ćwiczyć na symulatorach wszelkie operacje wojenne. Będzie to trwało tak długo, aż jego mózg przestanie myśleć, zastanawiać się nad czynnością, jaką ma wykonać: czy powinien odpalić pociski, które polecą na północ, by rozłupać wieczny lód, a następnie wypuścić ptaki, które płonącymi piórami podpalą lasy na południowej półkuli. Nie będzie się również zastanawiał nad znaczeniem prostokątów: czy to jest plac wypełniony protestującymi buntownikami, szkoła kształcąca terrorystów czy szpital, gdzie opatrywano im rany.

„Będą myśleć twoje ręce, zdaj się na ich wyuczone nawyki; zaufaj mózgowi w twoich mięśniach”. Wykonując więc polecenie dowódcy, ćwiczyli każdego dnia. Postępowali zgodnie z procedurami i nie odstępowali od nich nigdy, by osiągnąć całkowity automatyzm. „Ty i twój komputer to jedno, na pewno tak się stanie, poczujesz to, a wtedy wrażenie mocy, wolności i wielkości wyniesie cię na szczyt. Będziesz o tym wiedział”. Ćwicząc więc starannie, czekał, aż się sprzęgnie w jedno z systemami, wiedząc, że wtedy właśnie zostanie wysłany gdzieś na misję.

W dalekim nieważnym kraju, który można nakryć chustką do nosa, wystrzeli na powierzchnię gejzer skrytych sił, by rozwalić starannie budowany przez ludzkość pokój światowy. Mały kraj, jakieś parę kilometrów gór i wybrzeże morskie, kilka ulic, nazywanych arogancko stolicą, a w niej uzurpator ze złotymi medalami, które sobie sam nadał, staje się dziki. Jego nieobliczalność może być groźna. Zawsze tak jest. Trzeba więc trafić w biały pałac i wypalić pokoje, zanim przyszedł tyran się obudzi w swym łóżu z baldachimem. Bo tacy doprowadzają swoje kraje do klęski głodu, ściągają litość świata i kontenery pieniędzy, których nie złączą rozdawać ubogim na rynku, lecz zamkną w swoich sejfach.

Harold dobrze pamiętał odprawę. Dowódca mówił, jak łatwo można zdestabilizować system ziemskiego ładu. Napominał, aby byli gotowi i bezbłądnie, gdy

przyjdzie im bronić spokoju ojczyzny, a więc domku na przedmieściu.

Dzisiaj jednak pojawiły się dwie nowe zmienne: na prostokątach pozaznaczano czerwone kropki, czyli materiał żywy. Zadanie Harolda polegało na wybiórczym, lecz precyzyjnym eliminowaniu poszczególnych osobników. Czynił to naprawdę bardzo dokładnie i trafiał w tego, którego zaznaczył krzyżykiem system, decydujący za niego: ty umieraj, a ty żyj. Jeszcze chwilę.

Drugą zmienną było szokujące zachowanie jego kolegi z nocnej zmiany. Nie mógł odgadnąć przyczyny załamania nerwowego. Był pewien, że kolega musiał przejść identyczne ćwiczenie jak on. Z pewnością jemu również dodano czerwone kropki zgromadzone na prostokątach placów. Jeżeli symulacja eliminacji materiału żywego tak bardzo rozstroiła go nerwowo, to Harold uznał, że zachował się właściwie, wzywając brygadę psychiatryczną. Kolega był nieobliczalny, taki nie może dotykać systemów.

Czerwone kropki to tylko punkciki. Ich liczne zebranie w jednym miejscu jest wyłącznie symulacją, sytuacją fantastyczną, wymyśloną przez system. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie wycinał ludzi zgromadzonych na placu podczas pokojowej manifestacji, która jest przecież zgodna z prawem – wszyscy tak mówią, gazety i senatorowie. Taka symulacja nie mogła przecież zdenerwować do tego stopnia jego kolegi. Powinien spokojnie wycinać wyznaczone obiekty żywe, gdyż podczas prawdziwej misji mógłby stanąć naprzeciwko oddziału żołnierzy wroga. A ponieważ nie są rzeźnikami, nie ma potrzeby, by wycinać w pień szereg za szeregiem; wystarczy wyeliminować kilku wybiórczo, co stanowi świetny manewr psychologiczny: kiedy pada towarzysz po twojej lewej ręce, a po sekundzie kolega z przodu, i ledwo zdążyłeś ochłonąć, wali się na twoje plecy żołnierz z tyłu, ogarnia cię szalone uczucie paniki, strach nie do opanowania przez normalnego człowieka. Rzucasz swoją broń i gnasz przed siebie, gdzie cię oczy poniosą, słysząc tylko głuche uderzenia o ziemię: to padają twoi towarzysze z oddziału. Włosy ci stają na głowie i myślisz tylko, czy następny będziesz ty. Uciekasz więc zygzakiem, przeskakując kolejne zwłoki, choć to nie ma sensu. Harold wiedział, że taka zagrywka psychologiczna jest skuteczna i nigdy nie zostanie uznana za ludobójstwo. To ćwiczenie więc nie mogło wywołać aż tak wielkiego zamieszania w umyśle kolegi z nocnej zmiany. No chyba że otrzymał wiadomość z domu. Wolno im było komunikować się z rodzinami, nawet zalecano takie rozmowy. Chodziło o to, żeby żołnierze czuli się komfortowo. Niech myślą, że wyszli z domu tylko na czas jakiś, przez kilka godzin zaledwie uczestniczą w szkoleniu. Świat jest stabilny, życie toczy się normalnie. Po zakończeniu zmiany wrócą do swej bezpiecznej rzeczywistości, która nie jest zagrożona. To tylko symulacje, sytuacje wymyślane przez system. A ich rodziny właśnie wykonują swe codzienne rytuały: łazienka, kuchnia, śniadanie.

Myśląc o tym z zadowoleniem, zobaczył tuż obok swojego palca wskazującego portrecik żony, wyświetlony na szklanej płycie konsoli. Jej twarz była zagniewana.

Ciekawe, jakież to nieszczęście znowu ich spotkało? Jakiż to konflikt wymaga rozwiązania przez ich mężczyznę? Kotek wylał mleczko, wsuwka zaplątała się we włosy i zadrasnęła uszko?

Dotknął palcem obrazka i komunikacja została uruchomiona.

– Tak, skarbie? – zapytał.

– Nie przejmujesz się, widzę, moimi problemami?

– Chwileczkę.

Zobaczył właśnie, że system przygotował mu nową zagadkę: na prostokątnym placu pojawiło się bardzo wiele czerwonych punktów. Przesunął palcem obraz i zobaczył cienkie linijki ulic, dochodzące do placu. Każda z nich była ciasno upakowana czerwonymi punkcikami, które przepychając się i falując jak kasza w garnku, spływały do dużego prostokąta. A ten był już przecież poważnie przeładowany. Zwiększył więc losową szybkość eliminowania punktów na placu; szybko je przerzedził i wyciął kilka centymetrów punkcików na linijce ulicy, co znacznie spowolniło napływ na plac, dając mu w ten sposób czas na rozmowę z rodziną.

Dotknął palcem szyby, ale zamiast twarzy żony ujrzał buzię swojej ukochanej córeczki.

– Mamusia poszła obejrzeć telewizję – wyjaśniła Mia. – Usłyszała wiadomości o jakichś strasznych zamieszkach. Dobrze, że poszła, bo mnie denerwuje.

– Chwileczkę – odpowiedział Harold.

Punkty zawróciły z głównych arterii i rozprzestrzeniły się na kilka ulic, lecz okężnymi drogami wciąż starały się dostać z powrotem na główny majdan.

– Uparte pchły – mruknął Harold.

Przerzedził szeregi punktów, które znajdowały się najbliżej placu, by ten nie zapełnił się znowu tak szybko.

Dotknął palcem szklanej powierzchni konsoli i twarz córeczki ponownie ożyła.

– Krzyczy na mnie – poskarżyła się córeczka.

– Ty na nią również – skonstatował ojciec. – Przyznaj się: to ty zaczęłaś.

– Tak, ale to ona jest winna, bo nie odpowiedziała na moje pytanie. Chciałam jej tylko przypomnieć, jaki to ważny jest dzisiaj dla mnie dzień. – Dziewczynka zaczynała pochlipywać. – Wystarczyło, żeby powiedziała, że też się cieszy.

– Przecież to mama cię namówiła do udziału w konkursie piękności – przypomniał jej ojciec.

Buzia dziewczynki wykrzywiła się z żalu. Ojciec miał rację, a ona krzywdząco oceniła matkę.

– I to mama uszyła twoją piękną sukienkę na występ.

W oczach dziewczynki błysnęły łzy.

– W jakiej sytuacji mama rzekomo nie odpowiedziała na twoje pytanie?

– Stałam na schodach. W rękniku i w kapciach z pieskami.

– Mama obawiała się, że możesz spaść ze stopni. Była skupiona na ważnej sprawie, jaką jest twoje bezpieczeństwo, a ty zawracałaś jej głowę dziecinnymi drobiazgami i pytaniami o rzeczy oczywiste. Wiesz, że mama jest poważna i można na nią liczyć.

– Ty wszystko umiesz wytłumaczyć – pochlipywała dziewczynka. – Przy tobie wszystko jest spokojne i mądre.

– Takie jest zadanie ojca.

– A ile muszę mieć lat, żebyś się ze mną ożenił?

– Nigdy się z tobą nie ożenię.

– A jak dorosnę?

– Wtedy również nie.

– Mówiłeś, że mnie kochasz i jestem najważniejszą kobietą w twoim życiu.

– Tak, to prawda. Jesteś moją córką, na zawsze.

– Nie chcesz się ze mną ożenić, bo jest mama – odgadła dziewczynka.

– Również dlatego.

– A gdyby mamy nie było, gdyby umarła?

– Czyżbyś życzyła jej śmierci?

– Tak, i często chcę ją po prostu zabić, bo taka jestem na nią zła.

– Wtedy przestałbym cię kochać – zauważył ojciec. – Porzuć takie myśli.

– Mama mnie woła – powiedziała dziewczynka. – Chce mnie uczesać, zrobi mi piękną fryzurę.

– Idź i wygraj ten konkurs. Chcę tego.

Dotknął palcem wyłącznika pod szklaną płytą, nie zawracając sobie dłużej głowy pragnieniami córki. Ikonka z jej portrecikiem znikła, a mężczyzna natychmiast przeszedł do swoich zadań, zapominając o córce i jej małych problemach. Wyrzucił całą chmurę świetlnych punktów i posłał je na plac, by tam zawisły i wymacywały pojedyncze ofiary, tnąc je mieczem ze światła. To dało mu chwilę na opróżnienie umysłu ze wszystkich spraw. Chciał wykonywać symulacje jak najlepiej. Pragnął skupić się na precyzji ruchów, która podczas prawdziwej wojny mogła ocalić życie jemu, jego rodzinie i wielu dzieciom oraz ojcom w białych domach na przedmieściach miast.

Chłopiec stanął na progu dużego pokoju, który był garderobą i zarazem miejscem, gdzie najczęściej przebywali, zajmując się różnymi domowymi sprawami.

Matka oglądała wydarzenia, które wyświetlały się na dużym ekranie, zajmującym całą ścianę. W tłumie leżeli na ziemi martwi i pokaleczeni ludzie. Wielu z nich miało odcięte ramiona lub nogi. Zrobiło to ostre światło, które spadło z chmur. Krzyczeli z bólu. Inni krzyczeli ze strachu, pokazując rękami niebo, gdzie wisiała chmura białych punktów i drżała, jakby wierciły się w niej niecierpliwe szerszenie.

– Kiedy dorosnę – powiedział syn – przystąpię do tych z placu.

– Będziesz w opozycji do swego ojca – odparła cicho matka.

- Właśnie dlatego – powiedział twardo chłopiec.
- Być może będziesz musiał go zabić. Albo on ciebie.
- Właśnie dlatego – powtórzył chłopiec, nie zmieniając tonu.

Odwrocił się i poszedł na mecz. I może właśnie dlatego, że ojciec nie zasiadł na trybunach jak ojcowie jego kolegów, chłopcu wcale nie zależało na wygranej. Nie myślał o tym, że musi być dobry, najlepszy, bo patrzą na niego oczy ojca, krytykując i widząc każdy błąd. Nagle poczuł się bardzo dobrze, jakby zrzucił z ramion duży ciężar. Poczucie wolności. To wspaniałe uczucie. Oznaczało, że może żyć dla siebie, tylko od niego zależy treść jego życia. Nie musi już walczyć o uczucia. Nie musi się starać, by zasłużyć na pochwałę, a jego działania nie potrzebują niczyjej aprobaty, prócz jego własnej.

I przez to również poczuł się bliski tym z placu. Chcieli wybierać kształt życia, jaki im odpowiadał, i sami oceniać własne błędy, karać zdrajców, eliminować głupców i tyranów. Domagali się tego, by mogli kroczyć własną drogą, wybraną tylko przez nich. Nie chcieli dostosowywać się do cudzych zasad, dotrzymywać kroku innym, przyjmować obcych praw i czuć się gorszym narodem.

Postanowił, że będzie grał w piłkę tak, jak mu się zechce. Wcale nie będzie stosował nauk ojca. Nie zależy mu wcale na zdobywaniu punktów. Nie zamierzał iść do szkoły sportowej dzięki otrzymanemu stypendium. Nie chciał być przecież sportowcem. Chciał być politykiem, chciał naprawiać świat. Ale po wyćwiczeniu i zakodowaniu odruchów w mięśniach oraz w głębokiej podświadomości – tam, gdzie się rodziła miłość do ojca i bunt przeciwko niemu, powstało już trwałe połączenie. Grał tak, jakby oczy ojca widziały każdy jego rzut, a jego usta szeptały proste słowa: „Dobrze, synu”.

I już nigdy nie będzie umiał inaczej.

Harold nagle nacisnął wyłącznik, hamując wszelkie swoje działania. Szybko również włączył maskowanie, usłyszał bowiem, że ktoś wchodzi do jego kwatery. Było ich trzech. Wiadomo dlaczego tylu, chociaż nie słyszano, by którykolwiek z żołnierzy stawiał opór. Harold wstał: był przygotowany. Starał się nie szukać w swoim umyśle przyczyn, ale jakoś łączyły się w oczywisty sposób z wydarzeniem z początku jego dyżuru.

„Za co jestem aresztowany?”

Miał to pytanie na końcu języka, nie zdążyło jednak z niego spłynąć. Krok do przodu wystąpił dowódca patrolu.

„Teraz” – pomyślał Harold.

Był przerażony. Czuł, że blednie. Liczył na to, że jego twarz się nie poci i z czoła nie spływają mu krople. Poszybował w myślach do swojego domu. Jakże ich wszystkich kochał. Jakim był szczęściarzem! Miał naprawdę ponętą żonę, która go

rozumiała i wspierała w trudnych chwilach. Nie zamęczała go nigdy problemami domowymi, wiedząc, że jego praca jest wyczerpująca.

Jego córeczka, mała piękność, właśnie przechodziła okres różowy, który się odznaczał wielką namiętnością do ojca i upatrywaniem rywalki w matce. Był małej potrzebny, by mogła prawidłowo przejść przez granicę dzieciństwa. Musi wrócić do domu.

Z syna był dumny. Męski jak on i tak samo pilnował porządku. Zasłużył na jego pochwałę. Na pewno też zostanie żołnierzem. Pośle go do szkoły wojskowej, po to musztrował go w domu. Oficerem zostanie szybciej niż ojciec.

Nie mogą go zabrać do aresztu, musi wrócić do domu, bo rodzina jest treścią jego życia. Strzeże jej spokoju i bezpieczeństwa wszystkich rodzin w białych domkach. Wychodząc z sali, eskortowany przez trzech strażników, myślał jedynie o tym, aby powrócić do domu.

Minęli jednak areszt, nie zatrzymując się. Harold z ulgą spojrział na zakratowane okienko. Poszli w stronę białego budynku.

„Szpital, psychiatryk! Dlaczego?” – myślał Harold.

Żadne inne rozwiązanie nie przyszło mu do głowy oprócz tego, że każą mu porozmawiać z kolegą, który został rano gdzieś zabrany. Nie miał również pojęcia, jak powinien zeznawać: na jego korzyść czy przeciwko niemu. Każdy z wyborów był zły; nie chciał kolegi pogrążyć, ale broniąc go, mógł narazić siebie na niebezpieczeństwo.

„Czy najlepiej będzie, gdy powiem prawdę?”

Niekoniecznie. Cóż zresztą jest prawdą w tym wypadku i jakiej prawdy oczekują zwierzchnicy? Tak bijąc się z myślami, pozwalał, by prowadzono go białymi korytarzami, które wzbudzały w nim przerażenie. Wciąż niepewny swego, dał się zamknąć w pokoju. Stała w nim jedynie biała kozetka do robienia niewielkich zabiegów, metalowy stolik z dwiema półkami, gdzie odkładano narzędzia chirurgiczne oraz szklana szafa o matowych drzwiach, w której trzymano pudełka z lekarstwami.

Usiadł na brzegu kozetki. Jego umysł szalał, zadając pytania i wyświetlając obrazy pełne wyrafinowanych tortur, dokonywanych przy pomocy precyzyjnych narzędzi chirurgicznych. Wyobrażał sobie igły wbijane w żyły i cienkie ostrza drążące jego mózg. Bał się. Postanowił, że powie wszystko, o co go zapytają. Nie chciał znosić tortur, podczas których i tak wyjawiałby każdą tajemnicę. Nie wiedział, o jakie sekrety może zostać zapytany.

Czekanie się przedłużało. Połączył się więc z komputerem w ich domu i przekierował na komórkę żony. Była właśnie z córką w przedszkolu i na jego życzenie przesyłała mu relację z wydarzenia. Zobaczył więc salę pełną szaf z zabawkami. Na środku stały rzędy krzeseł zajętych teraz przez rodziców. Pod ścianą ustawiono niewielką estradę, na którą prowadziły trzy stopnie. Za zasłoną czekały kandydatki na miss. Dyrektorka powiedziała kilka zdań o walorach takiego konkursu. Podkreśliła, że

dziewczynki uczą się dbałości o wygląd, ładnego prezentowania się i poruszania, a także poznają własną wartość.

Granatowa zasłona zafalowała i wyszła pierwsza kandydatka. Wstąpiwszy po schodkach na estradę, wykonała kilka tanecznych kroków i ukłonów, po czym pośród braw zeszała, by zniknąć w drzwiach naprzeciwko. Harold połączył się z komórką córki. Kiedy tylko dziewczynka zobaczyła jego twarz na ekranie, uśmiechnęła się promiennie.

Energicznym krokiem wyminęła kandydatki stojące w szeregu i stanęła przed nimi jako pierwsza. I nie czekając na zaproszenie ani sygnał, wybiegła na sam środek sceny. Pięknie się prezentowała: matka ubrała ją w różowe kolory. Delikatna sukienka z lekkiej gazy przypominała płatki białych róż. Dziewczynka ukłoniła się i podeszła do przodu, kiedy oklaski umilkły.

– Chcę wygrać, dlatego że mój tata na mnie patrzy. Nie ma go na sali, ale choć ma odpowiedzialną pracę, przerwał ją, aby mnie oglądać na monitorze. Strzeże pokoju na świecie, jestem córką żołnierza i dlatego umiem wygrywać.

Zerwała się gwałtowna burza oklasków.

Harold odczuł wielką dumę i odzyskał proporcje. W tej właśnie chwili drzwi się otworzyły i weszły dwie osoby. Dziewczynka to jeszcze widziała.

– Tato, co oni ci robią?! – krzyknęła.

Zbiegła ze sceny, by podsunąć swą komórkę pod oczy matki. W tej właśnie chwili ekran zblakł.

Mecz już się skończył i cała drużyna stanęła w rzędzie wraz z nauczycielem, który trzymał piłkę. Podeszło kilku mężczyzn, wśród nich dyrektor szkoły i prezes związku sportowego. Trzecim był łowca talentów: wyszukiwał zdolnych chłopców, oferując im stypendia i kusząc zrobieniem wielkiej kariery. Po kolei przypinali zawodnikom plakietki do koszulek. Kiedy stanęli przed Johnem, dyrektor powiedział

– Twój ojciec jest z ciebie dumny! – Podał mu rękę.

Chłopiec nie zamierzał się skarżyć ani zwierzać. Cóż by się stało, gdyby wyjawiał: „Mojego ojca nie było na trybunach, nie miał czasu”. Pewnie by mu współczuli. Nie chciał cudzej litości. Nie był przecież zaniedbanym dzieckiem, oczekującym wsparcia pedagoga szkolnego. Nie powie również: „I ja chciałbym być z mojego ojca dumny”, skoro wciąż miał w pamięci chmurę jasnych punktów wiszących nad majdanem. Te myśli błyskawicznie przemknęły mu przez głowę, nim odpowiedział:

– Tak jest!

Bo tak odpowiada żołnierz. I mocno ścisnął rękę dyrektora.

Prezes pochylił się ku niemu i wręczył czek na wysoką sumę.

– Czy mogę dysponować tymi pieniędzmi? – zapytał.

– Tak, mimo że nie jesteś pełnoletni.



Wiedział, co z nimi zrobi. Prześle je przyjacielowi. Przydadzą się na leczenie ojca lub uratują sytuację rodziny, o ile ojciec nie wróci.

Łowca talentów uśmiechnął się do niego poufale.

– Masz miejsce w Akademii Sportowej. Zrobimy z ciebie gwiazdę.

– Z pewnością – zgodził się chłopiec.

– Prześlę ci rekomendację i powołanie – powiedział łowca. – Bez mojego podpisu cię nie przyjmą.

– Proszę zapytać mojego ojca o zezwolenie – odparł chłopiec. – On jest oficerem i wydaje rozkazy w naszym domu, ja jestem niepełnoletni.

Łowca spojrzał ze zdziwieniem, ale jednocześnie z uznaniem.

– Bohater i syn bohatera – powiedział dyrektor. – Jesteśmy dumni z twojej obecności w naszej szkole, podobnie jak świat jest dumny z twego ojca.

Do chłopca wrócił wtedy obraz ludzi krzyczących w tłumie, usiłujących się podnieść mimo braku nóg. Ujrzał również ojca, który z zimnym spokojem wysyła białe pociski wprost nad ich głowy.

– Zapytajcie umarłych – szepnął, ale delegacja już odchodziła i nikt tego nie usłyszał.

Harold się podniósł, gdyż do pokoju wszedł jego dowódca. Tuż za nim kroczył lekarz w białym ubraniu. Trzy kroki z tyłu trzymała się pielęgniarka, która postawiła na szklanym stoliku metalowe pudełko, przykryte białym ręcznikiem, i stanęła obok z nieobecną miną.

– Zwróciłem na ciebie uwagę – zaczął dowódca. Harold stał nieruchomo i nie patrzył mu w oczy. – Zachowałeś się jak należy, zgodnie z moimi instrukcjami. Widzę, że potrafisz przestrzegać procedur. Nie odznaczę cię jednak, choć rozważałem taką możliwość.

Harold odetchnął, zastanawiając się jednocześnie nad rodzajem nagrody, jaka go czeka.

– Nasz system dronów jest doskonały – ciągnął dowódca. – Jednak nic nie jest idealne, a wręcz przeciwnie – może być lepsze. Jak wiesz, system znajduje się w fazie testów: dokonujecie prób z dronami. Poświęcamy czas po to, aby wykryć ewentualne usterki. Postanowiliśmy tak długo testować system, póki nie pojawi się błąd.

Harold zaczął domyślać się prawdy. Milczał, nie patrząc w oczy dowódcy.

– Twój kolega z nocnej zmiany pierwszy ujawnił błąd w systemie. Niedoskonałość polegała na tym, że system podawał żołnierzowi zafałszowane dane: drony rzekomo niszczą żywe zasoby. My wiemy co innego: system dronów został wyposażony w tego rodzaju inteligencję, która wykrywa materię żywą i właśnie wtedy, i tylko wtedy, drony zatrzymują się w ataku. Nie ma takiej siły, która mogłaby je zmusić do zabicia człowieka. Wybraliśmy więc ciebie, abyś nie dopuścił do przekazania fałszywej

informacji do żołnierza. Być może, chociaż szczerze w to wątpię, w systemie znajduje się jeszcze jakiś niewielki robaczek, który zmieni informację i żołnierz zobaczy atak na żywe zasoby.

– W jaki sposób mógłbym go wykryć? – Harold zadał pytanie opanowanym głosem.

– Musiałbym się znaleźć wewnątrz systemu.

– Dokładnie – potaknął dowódca.

– Droga informacji jest następująca: system – twój mózg – impuls do ręki – akcja ręki – impuls do systemu. Gdzieś po drodze następuje przekłamanie.

– Trzeba skrócić drogę, odciąć ogniwa informacji – rzekł Harold.

Nie domyślał się jednak, co go czeka.

– Informacja ma przebiegać od systemu do mózgu i z powrotem do systemu.

– Do mojego mózgu?

– Dokładnie – potwierdził dowódca.

– Czy to znaczy, że będę porozumiewał się bezpośrednio z systemem i – tu Harold przerwał dla nabrania powietrza – zarządzał nim?

– Dokładnie – powtórzył dowódca.

– To wielka odpowiedzialność – powiedział w zamyśleniu Harold, po czym bystro spojrzął na dowódcę.

Ten jednak oglądał swoje paznokcie.

– Jak to zrobicie? – zapytał żołnierz, jednocześnie przenosząc wzrok na lekarza w fartuchu.

– To kosmetyczny zabieg – powiedział lekarz.

Przywołał gestem pielęgniarkę i jednocześnie zdjął z metalowej kasetki biały ręcznik. Było w niej tylko jedno narzędzie: przypominało pistolet.

Po zabiegu Harold postanowił nie wracać od razu do domu. Nie mógł się również skontaktować z rodziną, gdyż dowódca kazał mu oddać służbową komórkę. Stwierdził, że nie będzie mu już potrzebna, a wprost przeciwnie – może powodować zakłócenia. Nie powiedział, jakiego rodzaju. Wyciągnął tylko rękę, kiedy żołnierz, trzymając wacik przy płatku ucha, stał w otwartych drzwiach.

Kochający ojciec rodziny nie spieszył się z powrotem do domu, chociaż niedawno pragnął się tam znaleźć. Uważał to za sprawę życia i śmierci i największe szczęście. Teraz z niechęcią myślał o domowym rytuale: ucałowaniu żony na progu, podniesieniu córeczki do piersi i poklepaniu syna po ramieniu. Czuł, że te czynności są bez znaczenia, a co więcej – ograniczają go swoją nieistotnością.

Nie wiedział, że utracił treść tych czynności, która je uzasadniała i czyniła koniecznymi. Nie pomyślał o żonie. Stała się dla niego kobietą, która stawiała na stole naczynia do kolacji, a otwierając usta – mówiła. Ukochana córeczka zamieniła się w okrągły kształt w różowych kolorach, a syn był schematyczny i zimny. Nie wiedział bowiem, że to on ustalił takie zasady.

Szedł więc ulicą, trzymając ręce nonszalancko w kieszeniach. Nie miał żadnych dystynkcji, więc wyglądał na kogoś ubranego w stylu militarnym. Wydawało mu się, że widzi miasto po raz pierwszy. Ludzi odbierał jako niesympatycznych. Nie zauważył wśród mijających go ani jednej osoby, która wzbudziłaby jego życzliwość.

– Hej, ty! – wrzasnął na chłopaka, który wchodził do sklepu. Tamten odwrócił się szybko, trzymając rękę w wypchanej kieszeni. – Co chcesz zrobić?!

– Zjeżdżaj stąd! – zawołał chłopak, patrząc na swoich kumpli, którzy właśnie uruchamiali motor. Podbiegł i wskoczył na siodełko. Motor natychmiast ruszył.

– Dlaczego tak marudziłeś? – wrzasnął Harold na policjanta, który się koło niego zatrzymał.

– To nie mój rejon – powiedział policjant zdziwiony. – Nagle zawróciłem i tu przyszedłem. Jakiś impuls, czy co? – Wszedł do sklepu, by spisać zeznanie właściciela.

Harold odwrócił głowę i patrzył w stronę, gdzie odjechali rabusie. Poczł nagle, że siedzi w swojej sali i trzyma ręce ponad konsolą. System się uruchamiał. Słyszał w umyśle pędzące atomy, które łączyły się w strugi i ciągi. Przez jego głowę przepływały przejrzyste strumienie, mające swoje źródło w systemie i wzmocnione przez jego twarde, bezwzględny i schematyczny umysł. Wybuch dobiegł do jego uszu, wiedział, że motor, na którym uciekali rabusie, nagle skręcił i uderzył w betonowy słup.

W tej chwili przejrzyste strumienie powróciły z powrotem do jego mózgu, cofnęły się, by płynąć uporządkowaną i niegroźną strugą wewnątrz systemu.

Postanowił, że musi pójść do domu swojego kolegi z nocnej zmiany.

– On nie wróci – powiedział do jego żony.

Z całą bezwzględnością opisał jej wydarzenie.

Siedziała z nieruchomą twarzą.

– Czy zrobiłeś to, aby siebie ratować? Bo w takiej sytuacji mogłabym zrozumieć twoje motywacje.

– Nie, teraz myślę, że nie byłem w niebezpieczeństwie. On się bardzo przejął, gdyż uświadomił sobie coś, o czym nigdy nie pomyślał.

– A ty to wiesz?

– Teraz tak.

– I jaka jest twoja opinia? – zapytała cicho.

– Uważam, że tak trzeba – powiedział z wielką pewnością siebie. – On tego nie mógł znieść. Miał skrupuły. A to zabronione, jest przecież żołnierzem.

Kobieta przez chwilę milczała, przyglądając się Haroldowi uważnie.

– Jest przede wszystkim istotą ludzką. – Rzuciła na niego straszne spojrzenie. – A ty nie jesteś.

– Nie zależy mi na tym.

– Pozbyłeś się człowieczeństwa i nie uznajesz tego za stratę?

- Jestem żołnierzem.
- Chyba raczej maszyną do zabijania.
- Nie dbam o to.
- Mój mąż nie mógł tego znieść.
- I dlatego siedzi za kratkami. Nigdy stamtąd nie wyjdzie.

Kobieta podniosła się z krzesła i podeszła do drzwi, otwierając je szeroko.

- A ty wyjdź z mojego domu.

Przekroczył próg, nie patrząc na nią. Nie uczynił żadnego z gestów pokazujących, że jest urażony lub, przeciwnie, że nie dba o nic.

Wszedł do parku i usiadł na ławce. Nieopodal czuliła się jakaś parka. Oparł ręce na kolanach i patrzył przed siebie. Nie widział jednak drzew ani perspektywy alejki, ani nawet dziewczyny, która wysunęła się z objęć chłopaka.

- Chodźmy stąd, on jest jakiś dziwny.

Teraz już nie musiał wyobrażać sobie, że siedzi przed konsolą – czy raczej system tak doskonale się z nim połączył, że następowało to samoistnie.

- Siedzi zupełnie nieruchomo – szepnęła dziewczyna.
- Jak posąg. Nie ma powodu się bać.
- Czy widzisz, jak powietrze wokół niego rzednie?
- Słyszałem o takim zjawisku – mądrył się chłopak. – On pobiera atomy z

powietrza.

- Po co? – szepnęła dziewczyna z przerażeniem.
- Przetwarza na energię.

Harold nie czuł zapachu parku i nie słyszał szeptów chłopaka i dziewczyny. Zobaczył chmurę światełek, którą zawiesił ponad majdanem. Wciąż tam na niego czekała. Ludzie już się rozeszli. Wśród leżących uwijali się sanitariusze. Przenosili rannych do karet, które wciąż musiały nadjeżdżać.

Kiedy już każde ze świateł zostało przez niego dotknięte, uznał, że jest przygotowany. Teraz kiedykolwiek będzie potrzebna interwencja, wystarczy zapragnąć. Wtedy jego inteligencja połączy się z inteligencją dronów. Będzie nimi kierował, pośle, dokądkolwiek zapragnie. I nikt nie będzie pytał umarłych.

# Zła siostra

Wtoczyła się do gabinetu psychiatry i padła na krzesło. Była gruba.

„Potwór, kaszalot” – pomyślała doktor Subover.

Nie rzekła jednak sobie ani słowa nagany za tę pogardę. Nienawidziła swoich pacjentów. Nie mogła zrozumieć ich wad. Nie pojmowała ohydnych nawyków. Nie miała zrozumienia dla idiotycznych natręctw. I dzięki temu pozostała normalna.

Zarabiała pieniądze i dlatego wysłuchiwała bredni, które się lęły w cudzych umysłach. Tłukła dużą kasę – jej komputer zapisywał pacjentów zewsząd. W miarę eksploracji kosmosu i krzyżowania się ras, a także gatunków przestrzeni, rodziły się osobniki coraz bardziej nieprzystosowane. Umysł nie nadążał objaśniać zmiennego życia. Gigainformacje powodowały przeładowanie zmysłów i blokadę neuronów.

Toteż sieć służby zdrowia pokryła wszystkie satelity i księżyce Ziemi. Programy medyczne były powszechne, komputery leczyły na każdą odległość. Informatyka gwarantowała każdemu dostęp do lekarza, nawet na zapleśniałym satelicie z XXII wieku, który zdychał bez dotacji. Nikomu nie było wolno wlec za sobą lęków i koszmarów, gdy wyjeżdżał na zarobkowe saksy. Surowe przepisy zatrzymywały ich na bramce i kazały wracać na koszt własny.

Gabinet doktor Subover był otwarty fizycznie. Mogła sobie na to pozwolić, nie musiała odwalać godzinówek na zdalnych poradach. Była smukła i elegancka, nie miała problemów z przystosowaniem się do życia. Zresztą brakowało jej na to czasu – prawie nie wracała do swojego pustego, czystego domu.

Spojrzała na grubą, zastanawiając się: „Uśmiech czy powaga?”

– Jakiś problem z dietą? – zapytała obojętnie.

Gruba dyszała, serce nie dawało rady napompować krwią takiego cielska.

– Nic nie przynosi efektów?

Gruba próbowała skinać głową.

– Po pewnym czasie znowu powracamy do dawnych nawyków. Tyjemy, bo siedzimy, a kompanie przewozowe nie chcą nas zabierać. Płacimy podwójnie za transport miejski. No i mamy kompleks: „on nie może mnie kochać”. Tylko chude wygrywają w wyścigu po męża.

– Skąd pani wie? – zapytała naiwnie kobieta. – Przecież jestem tu pierwszy raz.

– Niech mi pani opowie o swoim problemie.

Zaczęła opowiadać o życiu, które było boskie, lecz je marnowała. Mieszkała wygodnie na posesji za parkanem wraz z rodziną. Mąż prowadził biznes, syn był zgrabny i w porządku, stara matka zdrowa i się nie wtrącała. Co ją gniołło? Wszystko

było dobrze.

– Mam obsesję. – Oczy kobiety napełniły się łzami.

– Na jakim tle?

– Jedzenia. Mówię sobie: „Mello, nie zrobisz sobie krzywdy, gdy przestaniesz jeść”. Tak powtarzam w kółko. „Przestań, Mello, na pewno nie umrzesz”.

– Oczywiście, to natręctwo.

– Tak, wiem. Wydaje mi się, że jeśli choć na chwilę przestanę jeść, skonam z głodu.

Wyciągnęła z kieszeni ukrytej wśród fałd obszernej sukni torebkę solonych orzeszków. Oderwała szybko brzeg i chciała wsypać do ust całą zawartość opakowania. Doktor wyrwała torebkę i rzuciła w kąt, do kosza. Mella jednak wciąż żuła, choć nie miała niczego w ustach. Ręką znowu sięgnęła do kieszeni i wyjęła czekoladę. Chciała ściągnąć z niej sreberko, ale doktor była szybsza. Wyszarpnęła tabliczkę i cisnęła do kosza.

– Dużo tego jeszcze masz?

Kobieta pokiwała głową.

– Dawaj!

Mella była przerażona; nikt tak do niej nie mówił. Ręka wpełzła do kieszeni.

– Paczka chipsów! – krzyknęła doktor. – Won!

Ręka grubaski wbiła się między fałdy.

– Suszone banany, chrupki! Oddaj! – zawołała doktor ze złością.

O dno kosza waliły paczki, a pacjentka wciąż wyciągała nowe – była cała nimi obwieszona niby narkomanka paczkami marychy albo terrorystka-samobójczyni ładunkami wybuchowymi. W jej przypadku jedzenie dawało identyczny skutek.

– Idąc tu, wciąż sobie mówiłam, że mnie pani obroni przed śmiercią głodową, ale mimo to pakowałam jedzenie do kieszeni.

– Wszystko? – spytała surowo doktor.

Mella tylko siąknęła nosem.

Subover postawiła kosz na środku, waląc dnem o podłogę.

– Popatrz! Pełny.

Wzięła czarny worek, wsypała do niego paczki i torebki, batoniki, żelki, snaki. Zawiązała worek. Była już naprawdę wściekła. Podbiegła do zsypu, podniosła białą pokrywę i odwróciwszy się ku Melli, wsunęła ramię w czarną dziurę. Przez chwilę patrzyła z triumfem na kobietę. Dłoń się otworzyła, wór wpadł w dół, druga ręka zatrzasnęła pokrywę i doktor wróciła do pacjentki.

– Skończone. Teraz mów!

– Zapotrzebowanie na słodyczne jest najgorsze. Szkodzą mi, mimo to wciąż rozwijam batoniki.

„To natręctwo, te papierki” – pomyślała lekarka.

– Dręczą mnie koszarne wyrzuty sumienia. Lękam się, że mój syn umrze z głodu,

gdyż zjadłam jego cukierki.

– Czy i syn się tego boi?

– Ma piętnaście lat i jest dobrze zbudowanym chłopcem, może nazbyt szczupłym jak na swój wzrost. To chyba dlatego, że trenuje. Słodczy nie jada.

– Co trenuje?

– Ratowanie ludzi z pojazdów błędzących w kosmosie bez sterowności i paliwa. To wymaga kondycji.

– Jak jest nocą? Robi sobie pani przerwę?

– Wtedy jest najgorzej. Kiedy gaśnie światło, czuję, że umarłam.

– Czy wciąż pani je?

– Już nie żyję przecież.

– Cóż na to rodzina, czy pomaga?

– Mam dobrego męża. Opiekuje się mną, choć to walka ponad siły. Nic nie mówi, ale wiem.

– Uzasadnia jakoś swoje poświęcenie?

– „Przeznaczenie”, zawsze to powtarza.

– Czy często wyjeżdża?

– Żeby uciec od tego koszmaru? – domyśliła się Mella. – Mógłby, lecz on wciąż jest ze mną. Gdy wyjeżdża, co czyni rzadko, łączy się przez satelitę, rozmawiamy twarzą w twarz, mimo to ciągle podejrzewam go...

– O zdradę?

– Że nie wróci. Wciąż to mówię, to bez sensu.

– Podejmował takie próby?

– Nigdy. Powiem więcej: on nie lubi przestrzeni, unika dalekich dróg. „Wracam!” – woła. On to lubi: być ze mną.

– Zatem tu problemu nie ma.

– Powiem jeszcze: nie lubię swej matki.

– Stąd poczucie winy, i by nie pożarło, wciąż je trzeba gryźć – zdiagnozowała doktor.

– Może. – Kobieta westchnęła. – Nie czuję się dobra. Wszystko, co robię, jest niewłaściwe.

– Matka to wytyka? Krytykuje, zrzędzi?

Mella pokręciła głową, przecząc.

– Matka to konkurentka, zabierze mi... – Mella się zatchnęła. – Zabrała mi wszystko, ale to się nie zdarzyło.

– To się nie wydarzyło?

– Nigdy. Tylko przekonanie takie wciąż mnie dręczy. Kiedy rozmawiamy, to prawdziwa tortura: myśleć coś innego, myśleć wprost przeciwnie. I w dodatku...

– No, co? Proszę...

– Izoluję ją od mojego męża. Podejrzewam go, nawet gdy się spierają, kiedy widzę, że on za nią nie przepada. Ale wydaje mi się, jakby ponad moją głową mieli jakieś połączenie, chory kontakt.

– Czy pani się już leczyła?

– Wyczerpałam wszystko, co nam dziś daje medycyna. Pani jest ostatnią nadzieją.

– Blokowanie beta neuronów?

– Nieskuteczne!

– Inserterki komórkowe parachemiczne?

Mella tylko westchnęła, udręczona poprzednim leczeniem.

– Czy były poważne zakręty, wypadki? Jak przebiegało życie?

– Zwyczajnie, wręcz słodko. Mieszkam tu, na satelicie Primum, od urodzenia.

Szkoła *distant learning*, wiadomo, *no problem*. Dzieciństwo szczęśliwe, choinka pod sufit, narzeczeństwo jak w serialu „K – jak kocham”, dobrobyt na średnio.

– A teraz niech się pani skupi: kiedy pojawiły się objawy?

– Gdy syn się urodził.

– Trauma była, depresja?

– Wykluczone. I jestem tego pewna.

– Więc – Subover wstała zza biurka – w pani życiu nic takiego nie było. Nie w nim zatem tkwi przyczyna.

– Więc nie jestem chora – rzekła gorzko Mella.

– Ja tego nie twierdzę. Istnieje przyczyna, ale nie w tym życiu.

– Co takiego? Brednie! – Mella wstałaby od razu i wybiegła bez recepty, gdyby nie jej tusza.

– Przyczyna leży w przeszłym życiu – powtórzyła doktor.

– Ja nie wierzę w takie rzeczy. Nauka zaprzecza, Kościół się nie zgadza. Jestem przecież jedyna, integralna.

– Pewnie – zgodziła się doktor. – To zaprzecza pojęciu o niepowtarzalności istoty ludzkiej, a to jest właśnie podstawa naszej filozofii. Wolna wola, oczywiście, może się pani nie zgodzić – mówiła Subover, patrząc pacjentce w oczy. Jej ręka niby od niechcienia ujęła jedwabną nitkę, na której kołysał się wisior z różowego ametystu. Zapewniając ciągle, że Mella ma prawo weta, poruszała wisiorcem w kształcie czółna. Był mały i migotał, kiedy trącała delikatnie nitkę, wprawiając go w ruch wirowy.

– Zgadzam się – odrzekła pacjentka.

Palec lekarki znieruchomiał i różowy ametyst przestał się obracać, nie rzucał już błysków, które łowiły oczy grubaski. Lampa na suficie przygasła, śląc przymglone światło. Fotel rozłożył się, zamieniając w kołyskę tak wygodną, że nic nie uciskało olbrzymiego cielska: nic nie czuło, żadnych wrażeń dotykowych. Zabrzmiała muzyka, wyłączały się kolejne zmysły. Powieki opadły na oczy.



Palce lekarki przesuwają ikony na ekranie. Pokazały się na nim wykresy fal mózgowych; wydłużały się, stan hipnozy się pogłębił. Wtedy zaczęła mówić cicho i łagodnie. Monotonne słowa napływały do umysłu pacjentki, przekraczały progi, kasowały czas.

– Powracamy do twego dzieciństwa, jesteś bardzo mała. Dopiero się urodziłaś. Idziemy w czas głębiej. Słyszysz bicie serca matki, czujesz się bezpieczna, wiesz, że się urodzisz, lecz wciąż się cofamy. Przekraczamy jeden rok. Co czujesz?

– Jestem.

– Gdzie?

– Nie wiem.

– Czy jesteś człowiekiem?

– Nie wiem.

– Gdzie jest Ziemia?

– Nie wiem.

– Czy jesteś?

– Jestem.

– Cofamy się jeszcze dalej w przeszłość, cofamy, aż natrafisz na wydarzenie, pierwsze, które pamiętasz.

– Już tam jestem.

– Co widzisz?

– Siedzę na pagórku.

Na ekranie lekarka oglądała obrazy, które Mella widziała w swoim mózgu. Był tam niewielki pagórek porośnięty trawą. Dziewczyna miała białą sukienkę w kwiaty. Gryzła jakieś źdźbło, najwyraźniej czekała. Nieopodal ciągnął się pas startowy olbrzymiego lotniska.

Był ciepły letni dzień. Na niebie wisiały chmury. Przecinały je tory wielkich transkoscymów, które ciągle odrywały się od pasa. Trzy sztuczne księżycy obracały się nad Ziemią.

– Czy na kogoś czekasz?

– Tak mi się zdaje.

– Często przychodzi?

– Dwa, trzy razy w tygodniu, raczej regularnie.

– Kim jest?

– Nie mogę sobie przypomnieć.

– Kiedy miną trzy sekundy powiesz jego imię: teraz, trzy.

– Ma na imię Argel. Kochamy się.

– Zamierzacie się pobrać?

– Nie powinnam tego czynić. – Mella rozplakała się we śnie.

Lekarka pstryknęła palcami, głębiej pchnęła ją w hipnozę. Łzy zaschły na twarzy.

- Kim jesteś?
- Nazywam się Zorga.
- Ile masz lat?
- Siedemnaście.
- Który mamy rok?
- Nie wiem. Była wojna, gdy się urodziłam i zmieniono kalendarz.

Lekarka szybko przesunęła ikonkę, by przeczytać informację: „W roku 2134 po licznych sporach i lokalnych zamieszkach zawarto pokój międzyplanetarny. Dla wygody i jedności wprowadzono ujednolicony sposób datowania”.

– Gdzie mieszkasz?

– Ojciec zaryzykował i kupił posiadłość na Księżycu numer siedem, już na granicy z tamtymi. Było taniej, bo ludzie bali się tam osiedlać.

– Kim są tamci?

– Nikt ich nie lubi.

– Dlaczego?

– Nazywają ich przybyszami.

– Skąd?

– Nie wiem. Nie są tacy jak ludzie. Nic pewnego o nich nie wiadomo.

– Jak wyglądają?

– Są bardzo piękni. – Mella aż westchnęła.

– Jak Argel? – zapytała lekarka.

Mella oddychała ciężko, na granicy płaczu.

– Kto ci zabronił wyjść za niego za męża?

– Nikt o tym otwarciu nie mówi. Atmosfera jest wredna. Ziemskie kobiety nie powinny się z nimi krzyżować.

– Zakaz narzuciłaś sobie sama?

– Tak.

– Wyrzuty sumienia cię dręczą, bo go kochasz i chcesz złamać zakaz?

– Tak. – Łzy trysnęły z oczy Melli.

– Porzuć poczucie winy. Nasze ciało nie zna moralności. Nie można go winić, że łamie zakazy, których wcale nie zna.

Mella odetchnęła i przestała płakać.

– Obyczaje tamtej społeczności wkrótce się zmieniły. Prawa, które wydano, zrównały ich z mieszkańcami Układu.

– I przybyszów również?

– Ich też.

Mella jednak znów westchnęła.

– Co jeszcze cię dręczy?

– Dostałam wysypki. Boję się, że Argel nie zechce mnie za żonę.

- Co wywołało wysypkę?
- Nie wiem. Po śniadaniu od razu poczułam się źle.
- Kto je przyrządził?
- Moja siostra. Zawsze dodaje ostrych przypraw, które mi szkodzą. Tego dnia

posypała jedzenie czymś gorzkim.

- Czy ona wie o Argelu?
- Tak! Tak! – Kobieta się rozszlochała.
- Co o tym mówi?
- Potępia mnie i dręczy. Ale ja myślę, że...
- Powiedz!
- To nie może być prawda! Ona jest moją siostrą!
- Przypomnij sobie poranne śniadanie.

Na ekranie pojawia się zautomatyzowana kuchnia, pełna srebrzyście lśniących urządzeń. Mella siedzi przy stole, ręką podpira głowę. Długie, czarne włosy otaczają jej twarz. Jest niezwykle urodziwa. Jej siostra, Asyda, odwrócona plecami, wyjmuje talerz z potrawą z promiennika. W palcach trzyma papieraek, który w tajemnicy rozwija. Mella marzy o spotkaniu z mężczyzną i nie patrzy na swoją wysoką i chudą siostrę.

Asyda siada po przeciwnej stronie stołu i pilnuje, by Mella zjadła wszystko. Czyni jej wyrzuty, że zadaje się z przybyszami. Jest zazdrosna, bo ona nie ma nikogo.

- Mimo to poszłaś się z nim spotkać.
- Nie mogłam się powstrzymać. Było to dla mnie najważniejsze. Ale ta wysypka na twarzy... Dlatego siedziałam na pagórku, nie mogąc się zdecydować.

– Ale on nie miał wątpliwości – zauważyła lekarka.

Na ekranie wyświetlił się obraz, który Mella zobaczyła w swoim umyśle. Na tle błękitnego nieba pojawiła się biała jednoosobowa prywatna rakietka i tuż nad pasami startowymi zaczęła powoli wytracać szybkość. Była płaska i przypominała talerz. Po chwili ustał szum napędu. Otworzono właz i w windzie ukazał się wysoki mężczyzna w hełmie. Na widok dziewczyny zdjął go, rozsypały się jasne włosy. Jego piękną twarz rozjaśnił szczery uśmiech. Wkrótce był przy niej.

- Co powiedział na twoją wysypkę?
- Stwierdził, że to skaza pokarmowa, powinnam więc zmienić dietę. Zaprosił mnie na satelitę. Zabawa z okazji... Nie pamiętam.
- Kiedy miną trzy sekundy, przypomnisz sobie: trzy.
- Oni zostali zhumanizowani. Tak, właśnie ta rocznica. – Z trudem wymawiała słowa.

– Przejdźmy do tego ważnego wydarzenia. Co widzisz?

Na ekranie pojawił się niewielki pokój. Na wszystkich meblach porozkładano sukienki. Mella siedziała przed lustrem, czesząc włosy. Jej chuda siostra przymierzała jedną suknię po drugiej, lecz żadna jej nie upiększyła.

– Muszę pojechać z tobą – rzekła siostra. – Nie prowadzisz się zbyt dobrze. Trzeba cię pilnować. Przyznaj się, co robicie na spotkaniach? Tego nie wolno – stwierdziła, nie czekając na odpowiedź siostry.

Leżąc w miękkiej kolebce, oddzielona setkami lat od tamtego wydarzenia, Mella rozszlochała się gwałtownie. Doktor musiała więc zastosować sugestie hipnotyczne, mówiąc, że przeżycia dawno minęły. Wyjaśniła jej również prawdziwą przyczynę zachowania siostry. Kierowała nią zazdrość. Nie miała powodzenia u mężczyzn, a Zorgę kochał Argel, którego uroda nie dawała zawistnicy spokoju.

– Nawet wtedy, gdy żyłaś jako Zorga, podświadomie zdawałaś sobie sprawę z zazdrości siostry i jej niskich pobudek. Nie ma więc powodu, by oceniać źle swoją ówczesną moralność. Kochaliście się z Argelem i mieliście do tego wszelkie prawo.

Pod wpływem tych słów oddech pacjentki wyrównał się i pogłębił, a jej wzburzony umysł powoli się uspokajał.

– Przejdź teraz do następnego wydarzenia, które stało się znaczące w życiu Zorgi. Gdzie jesteś?

– Stoję pod drzewem. Wygląda inaczej niż ziemskie. Ma równy pień, pokryty cienką, zamszową skórą. Dotykam go plecami, opierając się. To miłe. Jego liście, białe i srebrne, wiszą nad moją głową. Wydzielają odświeżająca woń, która na mnie działa. Wokoło panuje ożywiona atmosfera, wszyscy są podekscytowani, nawet ludzie zazwyczaj chłodni. Trwa zabawa.

Na ekranie pokazał się piękny pejzaż. W tle na łagodnych wzgórzach, porośniętych białymi drzewami o równych liściach, stały domy, zbudowane w większości z mlecznego szkła i kamienia. Z przodu na licznych, ukwieconych tarasach znajdowały się parkiety do tańca. Wokoło wisiały gondole, gdzie przy stolikach śmiali się goście, przypatrując się tańczącym. Panował nastrój radości i święta. Światło zawieszono wysoko na niebie, co sprawiało, że wszyscy poruszali się jak w tajemniczym, księżycowym blasku.

– Czekasz na kogoś?

– Ale on nie przychodzi.

– Co z twoją wysypką? – Lekarka odwróciła jej uwagę.

– Zniknęła po trzech dniach.

– Co wpłynęło na polepszenie zdrowia?

– Nie wiem.

– Czy nadal siostra przyrządza twoje posiłki?

– Jadłam żywność konserwowaną.

– Wróćmy do ważnego wydarzenia. Podświadomość zna tajemnice. Co widzisz?

Przez ekran przeszła wysoka kobieta o zaciśniętych ustach, niosąc w obu rękach dwa kieliszki. Wypatruje kogoś w tłumie. Z daleka widać jasne włosy Argela, który idzie do ogrodu, gdzie czeka na niego Zorga. Wargi złej siostry zaciskają się jeszcze

mocniej. Wie, że musi się spieszyć, by jej nikczemny plan został przeprowadzony z powodzeniem.

Ale kiedy staje na wprost mężczyzny, nie może wymówić słowa z nadmiernych emocji, więc tylko wyciąga ku niemu rękę z kieliszkiem.

– Chcesz się napić ze mną, siostrzyczko? – pyta wesoło. – Zdrowie Zorgi, mojej przyszłej żony.

Siostra, imieniem Asyda, nie może przełknąć ani kropli, więc tylko trzyma kieliszek przy ustach i stara się szybko opanować. Uroda mężczyzny zupełnie ją paraliżuje. Wreszcie zaczyna mówić cichym głosem. W miarę jej wyjaśnień twarz Argela zmienia się strasznie. Rzuca spojrzenie w stronę ogrodu, gdzie czeka Zorga, która nie wie o intrydze.

– Nie twierdę, że ona to robiła – mówi Asyda. – Moja siostra cię kocha, ale trudno wyjaśnić, jak to się stało.

Argel w milczeniu wkłada kieliszek w rękę Asydy. Odwraca się do niej plecami, by pójść na spotkanie z Zorgą.

Mella zaczyna drzeć i nie może opanować płaczu. Doktor więc ponownie włącza sugestiony. Płyną uspokajające słowa. Wydarzenia minęły, dawno temu, jakby dotyczyły obcej osoby.

– Twarz Argela była zmieniona, kiedy do mnie podszedł. Zapytał o prawdziwą przyczynę mojej choroby. Nie mogłam mu powiedzieć, że moja siostra... To byłoby niełojalne.

– Jakich mu udzieliłaś wyjaśnień dotyczących twojej egzemy?

– Jemu nie o wysypkę chodziło. Wtedy jednak sądziłam tak samo. „Nie wiem”, odpowiedziałam. Dodałam jeszcze, że nikt nie jest temu winien, co przypieczętowało wszystko.

– Jaką chorobę miał na myśli?

– Przywlekli ją różni hultaje: przemysłowcy, złoczyńcy i poszukiwacze przygód. Miały ją dziewczyny, które zadawały się z byle kim. Była to nieuleczalna choroba i polegała na tym, że niewielkie organizmy przyklejały się do różnych miejsc na skórze. Kiedy się rozmnażały, w początkowym stadium wyglądało to jak zwykła skaza pokarmowa. Ale w miarę namnażania się, odżywiały się naskórkiem, potem wnikały głębiej i rysy twarzy ulegały zniekształceniu. Traciło się zdolność mówienia, potem chodzenia, wreszcie człowiek tracił kontrolę nad wszystkimi czynnościami fizjologicznymi. Ból był nie do wytrzymania, właśnie wtedy zezwolono na eutanazję.

Mella leżała wyczerpana. Doktor włączyła środki wzmacniające, które absorbowała skóra pacjentki. Nie podała jej trankwilizatorów, bo mogłyby zahamować funkcje podświadomych warstw umysłu. Była zdecydowana dokończyć seans. Trauma tej kobiety musiała zostać pokonana raz na zawsze. Kiedy zadziałały sugestiony i konstytucja fizyczna Melli uległa podreperowaniu, doktor poleciła jej przejść do

następnego wydarzenia.

– Jakiś czas potem ogłoszono wyprawę, która miała wyruszyć na podbój kosmosu. Odkrywano wciąż nowe planety. Potrzebni byli ludzie, którzy chcieliby na nich zamieszkać. Ogłoszono nabór ochotników i Argel się zapisał. Od wydarzenia na zabawie już więcej do mnie nie przyszedł. Egzema zniknęła i gdybym z nim porozmawiała, wyjaśniła wszystko, wierzę, że by do mnie powrócił.

– Co cię powstrzymało?

– Moja siostra, Asyda. Mówiła mi okropne rzeczy, że zasłużyłam na wzgardę, że jestem brudna i zhańbiona. Bo zadawałam się z przybyszami i jeden z nich mnie porzucił. A potem Asyda zniknęła.

– Co się z nią stało?

– W jakiś czas po zamknięciu listy ochotników uciekła z domu. Widziano ją na statku, który miał wyruszyć na tę wyprawę. Niektórzy twierdzili, że trzymała się blisko Argela. Nie chciałam w to wierzyć.

– Czy miałaś o nich jakieś wiadomości?

– Ludzie byli bardzo ruchliwi i ciągle podróżowali. Wiadomości przywożono systematycznie. Specjalnie więc nie musiałam wypytywać. W kosmosie nic się nie ukryje, ludzie żyją wszędzie. Podobno włączyli się od planety do planety, nigdzie nie mogąc znaleźć miejsca. Ich związek był bardzo burzliwy. Po pewnym czasie wiadomości przestały przychodzić.

– Co działo się z tobą?

– Mieszkałam w domu moich rodziców i nic mnie nie interesowało. Minęło piętnaście lat i ktoś z portu przybył z wieścią, że przyleciał jakiś chłopiec, który pytał o mnie.

Ekran wyświetlił widok rozległego portu kosmicznego. Stojące pionowo rakiety lśniły w świetle reflektorów. Wielkie, płaskie transportowce czekały na załadunek. Wszędzie uwijały się roboty i spieszyli się piloci w skafandrach.

W obszernej, pustej poczekalni na brzeżku krzesła siedzi Zorga, ściskając w rękach torebkę. Czarne włosy zaczesane do tyłu dodają jej lat. Dwie kobiety w mundurach wprowadzają wysokiego chłopca o jasnych włosach i zdumiewającej urodzie.

– Argel! – woła Zorga.

– Jestem Argellon.

Był synem Argela i Asydy, ale ojciec nigdy nie poślubił jego matki. Często ją opuszczał. Uciekał na odległe planety, ale ona szukała go i zawsze odnajdywała. Nawet w wielkim kosmosie nie mógł się przed nią ukryć. Kłócili się ciągle. Dzieciństwo Argellona upłynęło wśród swarów i nieustających podróży. Nigdzie nie miał domu. Matka się nim nie interesowała, myśląc jedynie o swej namiętności. Im dłużej przebywał ze mną, tym lepiej poznawałam jego smutną historię.

– Dlaczego przybył do ciebie?

– Coś złego stało się z Asydą. Dowiedziałam się dopiero po kilku latach. Zaraziła się chorobą kosmicznych włóczęgów.

– Los się zrewanżował – zauważyła doktor pochłonięta opowiadaniem pacjentki. Czyżby i ona miała swoją Asydę?

– To okrutna sprawiedliwość. Nie chciałam, żeby to spotkało moją siostrę.

– Nie miałaś na to wpływu. Nie czuj się wciąż winna. To ona wybrała swój los – rzekła doktor, wzdychając głęboko.

– Ale to, co się stało, bardzo mnie dotknęło. Argellon opowiadał, jak cierpiała, leżąc ze zniekształconą twarzą, bez ust, z rozplaszczonym nosem i oczami rozciągniętymi aż na skronie. Wypadły jej wszystkie włosy. Opuchnięte ciało, zawierające zbyt wiele wody, wyglądało jak odrażająca kupa mięsa. Cuchnęła. Argellon nie mógł tego znieść i włóczył się po mieście. Kiedyś przyjechał ojciec i od razu ją zastrzelił.

Wzrok lekarki powędrował ponad głową pacjentki ku jej własnym pragnieniom, lecz od razu się opanowała. Była profesjonalistką, zarabiała pieniądze na nieszczęściu innych, by kupić sobie szczęście, ale... chyba wciąż miała ich za mało.

– Czy to on kazał chłopakowi wrócić do ciebie?

– Asyda miała takie życzenie. Argellon mi kiedyś powiedział, że przed śmiercią błagała go, by pojechał do mnie. – Mella znowu zaczęła popłakiwać. – Asyda chciała, by prosił mnie o wybaczenie w jej imieniu. Ona żałowała.

– A jak Argel zareagował, usłyszawszy propozycję syna?

– Zdziwił się, że ja żyję. Potem nastąpił wybuch złości. Argellon nigdy go w takim stanie nie widział. Jego ojciec oszalał. Złe, straszne przekleństwa posypały się na martwe ciało Asydy. Potem kazał je zabrać miejskim śmieciarzom.

Mella pokiwała ze smutkiem głową, żałując tej, która zniszczyła życie czworga ludzi.

– Dlatego Argellon przyleciał do ciebie? Bo matka umarła?

– Powód był inny, ale chłopiec powiedział mi o nim później, dopiero kiedy skończył osiemnaście lat. Wyznał, że jego ojciec czeka na mnie, bo sam nie ma odwagi wrócić i jeżeli ja się zgodzę przyjechać, to znaczy, że... – urwała.

Jasne było, po co ojciec go wysłał. Zapadła chwila milczenia.

– Przejdź do następnych wydarzeń – powiedziała lekarka.

– Jest ciemno. Niczego nie widzę.

– Gdzie się znajdujesz?

– Dotykam czyjejś ręki. To Argellon, jesteśmy razem. Ale nic nie mówimy.

Czekamy.

– Na co?

– Ktoś musi nas uratować! Niech nas usłyszą! Ale przestrzeń milczy. Wokoło jest tak pusto, olbrzymie, nieskończone odległości. Zgubiliśmy się. Jakaś awaria. Nie ma

światła, więc trzymamy się za ręce.

– Jak długo dryfowaliście w przestrzeni?

– Zabrakło nam żywności. Byłam głodna. Tak bardzo. Straszny ból żołądka. Nie mogłam wytrzymać.

Na twarzy Melli pojawił się wyraz cierpienia. Ekran pokazuje tylko ciemną kabinę statku.

– Argellon się nie porusza. Mam nadzieję, że żyje. On nie może umrzeć, jest za młody. Jego ojciec powinien się dowiedzieć, że ja... Taki straszny głód. Nie mam siły się poruszać. Zostały tylko słodczyce, cukierki. Wzięłam kilka.

Widać było, jak skręca ją ból. Do cierpienia fizycznego dołącza inne.

– Jeżeli on umrze, to przeze mnie, dlatego że zjadłam cukierki, które mogły mu uratować życie.

– To nie twoja wina. Nie potrafimy pokonać biologii.

Kobieta była w stanie szoku. Należało czekać. Kiedy tylko uspokoiła się trochę, psychiatra zasugerowała jej pójście do przodu w czasie.

– Nie żyję – westchnęła Mella.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. Nic mnie nie martwi.

– Nawet los Argellona?

– Nie mam wpływu na jego przeznaczenie. Zresztą, on nie umarł, bo nie ma go tu obok mnie.

– Gdzie przebywa?

– W rakiecie. Ona nadaje sygnały. Ludzie odpowiadają, że znajdują się już blisko. Chłopak się nie odzywa, ale tamci wiedzą, że on żyje. Potem weszli na pokład. Jeden z nich potyka się o ciało. Leży na podłodze w białej sukience w kwiaty. To kobieta o czarnych włosach. To moje ciało, ale nie odczuwam niczego. Argellon leży na noszach, do jego żył wpływają środki odżywcze.

– Gdzie jesteś?

– Jestem.

– Gdzie jest Ziemia?

– Nic o niej nie wiem.

– Czy znasz ludzi?

– Nigdy o nich nie słyszałam.

– Co to jest dobro i zło?

– Nie wiem.

– Gdzie jesteś?

– Jestem.

– Idź do przodu. Gdzie jesteś teraz?

– Ciemno. Jestem w ciasnym tunelu, coś mnie popycha do przodu. Och, jakie



światło. Jaskrawe. Jest zimno. Urodziłam się, ten świat mi się nie podoba. Moje życie będzie trudne. Nie chcę tu być.

Doktor zaczyna odliczać, mówiąc, że w miarę upływu czasu, będzie traciła poczucie winy. Wszystkie jej kompleksy ustąpią. Utraci odpowiedzialność za życie Zorgi. Liczy, lecą lata, powstrzymuje łzy. Wierzy.

Mella powoli wraca do rzeczywistości. Doktor sugeruje, że będzie pamiętać to, co przeżyła jako tamta kobieta, ale nie przyniesie jej to cierpienia.

Mella otwiera oczy. Gasną ekrany. Jest spokojna, wygląda tak, jakby powróciła z daleka.

- Czy w tym życiu spotkałaś jakieś osoby z poprzedniego?
- Tak. Argellon jest teraz moim synem.
- Argel?
- To mój mąż.
- Asyda?
- To moja matka.

# Młyny niebios

Dwaj strażnicy miejscy pochylali się nad nią. Siedziała na betonie, skulona, oparta plecami o murek. Skóra i kości, owinięte w szmaty. Buty na bosych, chudych nogach, chusta omotana wokół głowy, twarz starowinki. Kobieta spała, głowa opadała rytmicznie na wąską klatkę piersiową, ukrytą w wacianej kurtce. Strażnicy ją zaskoczyli, pogrążoną w głębokim śnie. A ona śniła swój piękny sen. Widziała, że unosi się w powietrzu. Była pewna, że wystarczy mocno się spać i polecą płaskim lotem ślizgowym ponad ulicą. Śniła o tym bardzo często, a sen był wtedy wyjątkowo głęboki. Właściwie miała wątpliwości, czy to w ogóle był sen.

Wszystko wyglądało zbyt realistycznie i dokładnie. Sceny przebiegały na zasadzie przyczyny i skutku, wydarzenia działały się ze szczegółami, co więcej – i to traktowała jak ostateczny dowód – widziała tylko jeden kierunek: ulicę przed sobą, a we śnie oglądasz siebie ze wszystkich stron jednocześnie, jesteś w sobie i poza sobą.

Czasami musiała jednak spać, a senność dopadała ją w najmniej odpowiednich miejscach.

– Bierzemy ją? – zapytał młodszy, postawny i narwany.

– Nie mamy podstaw – uspokoił go starszy.

– Włóczęgostwo, roznoszenie chorób. – Młodszy strażnik palił się do akcji.

– Popatrz tylko, jest czysta, wcale nie śmierdzi. To stara kobieta, może się zgubiła, może ją dzieci wyгнаły.

– Pewnie sobie pochłala – młodszy upierał się przy swojej wersji rzeczywistości.

Zanim starszy zdążył go zatrzymać, pochylił się niżej i potrząsnął śpiącą za ramię.

Nie otwierając oczu, stara kobieta wyciągnęła w górę ręce, przeciągając się z zadowoleniem. Otworzyła oczy i dopiero wtedy ich spostrzegła.

– No co, babciu, popiliśmy sobie – rzekł młodszy strażnik.

– Nie jestem twoją babcią i nie pijam z byle kim. Czego chcesz?

– Identyfikator!

Kobieta nie reagowała, siedziała, opuściwszy głowę i zaplótłszy ramiona.

– Nie słyszysz? – zwrócił się do niej bezosobowo, jakby była nikim, bo przecież według niego była.

– Daj spokój – uspokajał go starszy. – Nie stwarza żadnego zagrożenia.

– Nie lubię włóczęgów i nie będę tolerował nieposłuszeństwa.

Mówiąc to, młodszy odwrócił głowę od siedzącej kobiety i spoglądał na swego kolegę, gdyż to jego chciał przekonać o swojej racji. Kiedy obydwaj ponownie spojrzeli na miejsce, gdzie siedziała, nikogo tam nie było.

– Co jest? – wściekał się młodszy. – Kiedy zwiąła? – Rozglądał się, ale nie widział małej sylwetki.

– Dziwne – rzekł starszy. – Tu nie ma żadnego skrzyżowania w bok, musiała pójść prosto ulicą. Jest dość widno, palą się latarnie. Przecież nie chodzi szybko, to starsza osoba.

Młodszy już zgłaszał zdarzenie do radiowozu, starszy nie zdążył go zatrzymać. W końcu sprawa nie wymagała aż takiej interwencji. Radiowóz się odezwał, był na patrolu niedaleko, ale nie zauważył nikogo na pustych ulicach. Ta informacja jeszcze bardziej rozżłościła narwanego strażnika, który czuł się wydrwiony; i to przez kogo, przez jakąś staruchę śpiącą obok śmietnika. Młodzi mężczyźni nie dawali mu rady, a tymczasem taka stara i chuda baba zwiąła mu spod ręki.

Podjechał radiowóz; strażnik podszedł skwapliwie do okienka kierowcy i złożył meldunek. Kolega ze zmotoryzowanego patrolu wysłuchał go w skupieniu, choć patrzył przed siebie i nonszalancko wystawiał łokieć przez otwarte okno. Powiedział, że będzie szukał starej. Drugi strażnik stał nieopodal, nie interesował się pościgiem, nie wtrącał się do rozmowy, gdyż według niego sprawa nie była warta aż takich zabiegów. Nie był w stanie zracjonalizować sposobu zniknięcia kobiety i tylko to go zajmowało.

Właśnie kończył służbę, podniósł rękę do daszka, co oznaczało pożegnanie i nie przeszkadzając kolegom w rozmowie, ruszył w kierunku dworca podmiejskiego, by złapać pociąg na peryferia.

Już z daleka świeciła olbrzymia litera M, a ponieważ miał trochę czasu do odjazdu pociągu, toteż postanowił wstąpić na chwilę do restauracji i wypić coś gorącego. Przyglądał się tablicy z nazwami potraw i nie zauważył, że do kontuaru podchodzi stara kobieta okutana w chustkę. Nagle znalazła się o kilka osób przed nim. Kiedy podeszła do obsługującej dziewczyny, ta nałożyła jej porcję frytek i dodała kilka porcji keczupu, a stara kobieta wzięła tacę, odwróciła się i nie płacąc, podeszła do stolika. Zajęła się dekorowaniem swoich frytek keczupem. Delikatnie i elegancko odrywała folię z torebeczek i w skupieniu wyciskała zawartość na ziemniaki.

Nagle coś sobie przypomniała, zapragnęła czegoś jeszcze, więc wstała i podeszła do lady. Właśnie na tacy młodego mężczyzny dziewczyna w fartuszkach postawiła porcję sernika i galaretkę. Staruszka wzięła obie rzeczy, ale ani okradziony klient, ani nikt z obsługi nie powstrzymali jej – po prostu dziewczyna dołożyła na tacę to, co tamta zabrała.

Stara kobieta usiadła przy swoim stoliku i już miała się zabrać do jedzenia, lecz znowu rozejrzała się, jakby miała ochotę na coś jeszcze. Dwa stoliki dalej siedział robotnik, który położył na stoliku świeżo kupioną gazetę. Właśnie wyciągał rękę, by ją rozłożyć do czytania, lecz staruszka była szybsza – wyciągnęła mu ją wprost spod dłoni i usiadłszy przy stoliku, z zadowoleniem zagłębiła się w lekturze, podjadając sernik.

„Dlaczego nikt nie zwraca na nią uwagi?” – zastanawiał się strażnik.

Nie wiedział, co ma zrobić. Jeżeli powie obsłudze, że stara kobieta wzięła deser,

nie płacąc, wówczas na pewno każą jej uiścić należność, a on prawdopodobnie będzie musiał wystąpić w niewdzięcznej roli świadka i stróża prawa, co w tak groszowej sprawie wydało mu się mało godne.

Wy tłumaczenie mogło się okazać całkiem inne. Być może zjedanie kolacji w tym barze to codzienny obyczaj staruszki, a obsługa pozwala jej na samowolne podbieranie przysmaków, bo pewnych osób lepiej nie drażnić. Firma nie ponosi strat, gdyż pewnie otrzymuje zapłatę z kasy miejskiej. Pozostawała jeszcze sprawa pożyczania gazety. I tu również istniało racjonalne wyjaśnienie; po prostu robotnik mógł być znajomym tej kobiety i pozwalał jej na takie drobne żarciki czy poufałość.

Mimo prostych i logicznych odpowiedzi sytuacja wyglądała nienormalnie. Pomieszczenie jak zwykle było jasno oświetlone – ostre światło skłaniało do szybszej konsumpcji – nie dało się przeoczyć dziwnej kobiety i jej jeszcze dziwniejszego zachowania. Co więcej, siedziała sama. Strażnik rozejrzał się i stwierdził, że nie było ani jednego pustego stolika, a przy każdym siedziały co najmniej dwie osoby. Spojrzał na młodzieńca przy swoim stoliku, ale ten, spuściwszy oczy, zajmował się wyłącznie jedzeniem, jakby oddzielony od tej rzeczywistości czy zagłębiany w odmiennej.

Stara kobieta delectowała się swoim posiłkiem i z zainteresowaniem czytała gazetę, a kiedy skończyła, złożyła ją i odłożyła na miejsce obok tacy robotnika. Jego dłoń wciąż wisiała ponad stolikiem, jakby zastygła w geście sięgania. W tej właśnie chwili dokonało się: ręka złapała gazetę, palce ją rozprostowały i właściciel zaczął czytać.

Co się stało? Wycięty kawałek czasu? Tak można by od biedy wytłumaczyć sprawę z gazetą, ale to przecież żadne wyjaśnienie. A podbieranie jedzenia spod ręki innych klientów – jak uzasadnić? Dwie osoby nie widziały, nie pamiętały swoich ruchów, nie postrzegały sekwencyjności zdarzeń.

Tymczasem stara kobieta skończyła posiłek i wstała od stolika. Ruszyła w kierunku wyjścia i zniknęła za drzwiami. Strażnik odprowadził ją wzrokiem. Kiedy jej sylwetka rozplynęła się w oddali, wstał i podszedł do dziewczyny za ladą. Nie, oczywiście nie widziała żadnej starej kobiety w chustce i nie podawała jej frytek ani przypraw. Strażnik pomyślał, że właściwie nie znalazł wyjaśnienia. Dziewczyna mogła przecież kłamać, pomagała starej kobiecie, litując się nad nią, a teraz nie chciała, by któraś z jej koleżanek czy właściciel dowiedzieli się, że rozdaje za darmo porcje. Mężczyzny, któremu podebrała sernik, już nie było, robotnik również wyszedł.

Strażnik pomyślał, że niepotrzebnie na siłę szuka wyjaśnień i dopatruje się czegoś dziwnego tam, gdzie wszystko odbywało się normalnie, toteż opuścił bar, starając się nie myśleć o całej sprawie. Ale coś go jednak niepokoiło, gdy szedł na peron. Istniała tu jakaś tajemnica. Postanowił nikomu o tym nie wspominać. Nie powie o tym w domu i na pewno nie pochwali się swoim przeżyciem koledze z patrolu. Ale następnego dnia również weźmie nocną zmianę i po skończonej służbie pójdzie do baru.

Przekazy, jak zawsze, nadchodziły do jej umysłu według własnego rytmu, czyli wtedy, kiedy miały zajść ważne wydarzenia na świecie, a więc przed wielkimi wstrząsami, gdy ludziom się wydawało, że czas zapada się w sobie i mają jedynie terażniejszość, z której nikt nie wyjdzie żywy. Wiedziała o czekającym ją wielkim zadaniu, ale z trudem dostosowywała się do gigantycznego nadajnika i ściągała pliki swoim własnym umysłem. I nie chodziło o jego możliwości, bo były znaczne. Została do tej misji wyznaczona, ale ograniczały ją parametry posiadanego ciała, a także wymagania otaczającej ją fizyczności.

Pełniła na tej planecie rolę strażnika losu; pobierała więc wiadomości od swoich mocodawców, a potem musiała znaleźć odpowiedniego wykonawcę swojej woli i reguł przeznaczenia. Umysł działał bez zastrzeżeń i mogła wykonywać swoje zadanie jeszcze wiele lat, jednakże ciało, jakim dysponowała, zużywało się zbyt szybko jak na jej potrzeby.

Żyła w konkretnym społeczeństwie. Istniały w nim obyczaje, które musiała brać pod uwagę. Nie obawiała się oczywiście kompromitacji, ale przeszkód. Nie mogła nagle zatrzymać się na środku ulicy i unieść głowę ku niebu, i tak trwać, ściągając informacje. Tym razem miała szczęście, nie zamkną jej do szpitala, nie poślą do przytułku ani też nie zostanie uwięziona w zakładzie dla psychicznie chorych. Ale kiedy nadchodziła pora przekazu, stała jak porażona. Zdążyła jeszcze pomyśleć, że sama wybrała taki sposób istnienia na tej planecie i kiedy wypełni misję, wreszcie będzie mogła powrócić. To przyniosło jej pocieszenie.

Widziała rozległą, piaszczystą równinę, grube kryształki, brązowe i rdzawe, jakich nigdy nie fałduje wiatr; zresztą wiatry nie wiały w tej upalnej krainie. Duże schody opasujące budowlę, nazwaną później piramidą. Właściwie stało tu wiele piramid otoczonych schodami – dopiero teraz pokazano jej kolejne fragmenty kompleksu świątynnego na pustyni. Obraz się obrócił i zobaczyła w oddali miasto zbudowane z białego kamienia; bramy, budowle o płaskich dachach, a na nich tarasy. Nie mogła dostrzec zbyt wielu szczegółów z tej odległości, zresztą zabudowania świątyni zasłaniały domy tworzące miasto, ale ona już dawno przestała się dziwić obrazom, które się pokazywały i odwracały w różne strony, by mogła je zobaczyć dokładnie i zapamiętać szczegóły.

Nagle poczuła, że bolą ją stopy. Pochyliła głowę. Grube kryształy piasku pustyni dostały się do jej luźnych butów bez sznurowadeł. Wysunęła nogę i obejrzała podeszwę: kryształy odcisnęły czerwone ślady na skórze, pogłębione poprzez uszkodzenia termiczne. Piasek nagrzał się od słońca, które stało wysoko na niebie, wręcz białym od oślepiającego blasku.

– Iluminacja – zamruczała stara kobieta. – Olśnienie. Trzeba jednak uważać, by słońce nie oślepiło, nie wyzarło tęczęwek, nie wypięło koloru. Komu zagraża? Temu, kto w nie patrzy, jeśli nie ma zabezpieczenia. – Rozejrzała się wokół albo też obraz

się obrócił. Słońce było tak jasne, że zamazywało kolory i deformowało kształty, prostokąty domów zamieniało na budowle o wklęsłych ścianach, bramy traciły prześwity, gdyż stała w nich zaporą z falującego żarem powietrza. – Rozumiem – mruzczała do siebie stara kobieta. – Należy zwrócić uwagę na formę rzeczywistości, jaka jest, i odróżnić ją od tej, jaka się jawi. Teraz trzeba się tylko dowiedzieć komu? Kto patrzy, czyje oczy?

Otarła stopy z piasku i wsunęła je z powrotem w buty. Wrażenia fizyczne też przestały ją zdumiewać, gdyż zazwyczaj towarzyszyły obrazom, a tak musiało być, aby nie pomylić przekazu z wizjami lub ze snami.

W oddali pokazał się orszak, na czele którego szedł postawny mężczyzna, pięknie zbudowany i ubrany w złote tkaniny. Kroczył pewnie, mając nogi obute w złote, obcisłe buty do kolan. Na pewno do środka nie dostawał się piasek i nie ranił drogocennych stóp władcy. Właśnie zaczął wstępować na piramidę, idąc dostojnie po stopniach.

– Wiem już, wiem – mruzczała stara kobieta. – Od jak dawna się tym zajmuję? Mieście tylko, proszę, wzgląd na mój wiek, tu jest gorąco i chce mi się pić. Wcielenie jest trudnym obowiązkiem, którego mimo wszystko podjęłam się i wypełniam go uczciwie.

W tej chwili spoza piramidy wysunął się człowieczek ściskający nóż. Stawiał ostrożnie i cicho swe podstępne kroki. Jego oczy wpatrywały się w króla. Jeszcze chwila i skoczy, by zatopić nóż w złotej tkaninie na piersi.

– Nie mogę na to pozwolić! – warknęła stara kobieta. – Na pewno do tego nie dopuszczę w rzeczywistości, której mam strzec.

Król dumnie wstępował na schody, wpatrując się w ścięty czubek piramidy. Tam, na najwyższym tarasie, ma stanąć i popatrzeć w słońce. Pewnie zdejmie złotą tkaninę z piersi i obwiąże nią głowę, by blask nie wypalił mu oczu.

– Dosyć już, jest naprawdę gorąco, wszystko zrozumiałam. Na pewno przekażę. Jak tylko niebo się obróci.

Ona sama nie chciała patrzeć na to, co się stanie, i zaczęła odchodzić od zabudowań świątyń, od sceny zamachu i od miasta. Wiedziała już, co robić. Mimo że obrócona plecami, nadal wszystko oglądała, jakby działało się na jej oczach. Zamachowiec podbiegł i wbił nóż w pierś króla, który chwycił się za serce i przycisnął ranę palcami, by krew nie wypływała zbyt szybko. Mimo bólu szedł do góry krok za krokiem. Nie zdjął złotej tkaniny, by jej użyć jako bandaża i może w ten sposób uratować swoje życie. Coś innego miało dla niego większą wartość. Musiał dojść i doznać olśnienia.

Stara kobieta doceniała siłę ciała, moc nóg w złotych butach i potęgę woli, która pchała króla do celu. Na trzy stopnie przed tarasem upadł i oparł się na łokciu wolnej ręki. Odpoczywał chwilę, a potem zaczął wspinać się na kolanach. Te trzy stopnie były ceną. Jednak dotarł. Upadł na twarz, ale po chwili uniósł głowę i opierając się na łokciach, z przedramionami położonymi na ceglanej podłodze tarasu, przez co

przypominał zwierzę, lwa, ostatnim wysiłkiem spojrział w słońce, ale już świat wirował i zobaczył tylko ciemność. Tak został, zakrzepł, zamieniając się w statwę odlaną ze szklatego kamienia.

– Rozumiem czas – szepnęła stara. – Wydarzenia są naciągnięte na jego oś niby koraliki. Jeden nanizano na oś dawno temu, teraz natkniemy się na drugi. Jego treść ma być taka sama. Ale ja tu jestem.

Strażnik wszedł do swego mieszkania. Było cicho i ciemno, tylko z drugiego pokoju dobiegał lekki szmer oddechu. Wydawało mu się, że to przestrzeń oddycha. Przez okno wpadało światło księżyca, spojrzął; właśnie tarcza zbliżała się do pełni, która nastąpi za trzy dni. Niezwykłe wydarzenia tego wieczoru skłoniły go do rozmyślań, zresztą coś go przyciągało do okna. Pierwotna siła, działająca na wszystkich od początku świata, Księżyc patrzący na ziemski glob i ludzkie sprawy zawsze tak samo, obojętnie i z dystansu. Było w nim coś tajemniczego i upiornego, ta twarz, te oczy, to spojrzenie, mimo ekspedycji i wyrysowanych map łańcuchów górskich i pradawnych kraterów, utworzonych przez uderzenia szalonych komet, wbijających w jego głębę swój ślepy obłąd.

Stał twarzą do Księżyca, odwrócony plecami do swego domu, słysząc, jak oddychają puste pokoje. Stawały się przez to żywe i straszne, a on był obcym bytem, oddzielnym od wszystkiego. I tak stojąc twarzą w twarz z zimnym globem, poczuł smutek i samotność, obcość, bo nie można się zaprzyjaźnić z chłodną bryłą ani też poczuć więzi z pustką.

Przeniósł wzrok na dalsze rejony nieba, jakby szukając w nim czegoś ludzkiego, w co mógłby wlać swoją psychikę. Jasne punkty jarzyły się na granatowym niebie i nagle zobaczył, jak jest ich dużo.

Oglądał gwiazdozbiory, których nigdy przedtem nie widział, nie przeczuwał nawet, że istnieją. Umiał nazwać tylko te popularne, znane ze szkoły, o kształcie łatwym do odgadnięcia. Domyślił, że wszystko podlega ciągłej zmianie; ruch był wszechobecny, choć z powodu odległości niezauważalny. Ciągłe obroty, wielki młyn, który miał czas, a spod jego kamieni wysypywały się ziarna sekund. Było ich tak wiele, że tworzyły wieczność, wielką gęstwinę drobin. Jeżeli jednak pewne gwiazdozbiory posuną się kawałek dalej, czego on oczywiście nie dostrzeże, a inne zaczną się kręcić w stronę przeciwną, wtedy może się przydarzyć coś dziwnego z sypiącym się czasem.

Pomyślał sobie, że tylko tyle potrafi pojąć swym prostym rozumem. Młyny niebios wciąż się obracają, mieląc czas i pewnie przestrzeń, i być może są tacy, którzy potrafią się poruszać w szczelinie poza czasem. Dlaczego miałyby nie istnieć takie byty? Bo jego oczy nie umiały ich zaobserwować, a umysł znaleźć uzasadnienia w teorii?

Wydawało mu się, że minęło już sporo czasu i zniknęły tamte nieznane gwiazdozbiory. Młyny niebios obróciły się i brama czasu, która przez chwilę była

otwarta i widoczna, zatrzasnęła się. Nieskończona przestrzeń została zamknięta, ograniczona przez jego postrzeganie – a przecież wcześniej sądził, że mógłby w nią wejść, przynajmniej myślał, i wsaczyć w nią swoją świadomość, oczywiście gdyby to potrafił. Ale być może istniał ktoś poza czasem, kto swobodnie poruszał się w rozsuniętych drzwiach przestrzeni.

Czuła, że będzie to bardzo trudne zadanie, istniały bowiem poważne przeszkody. Wokół globu leżała warstwa myślokształtów, czekających na realizację. Warstwa wyglądała jak iskrzący się pas odłamków meteorytów – okruszki metalu, pył, zbity, skompaktowany i nieprzenikliwy. Ludzie wymyślali różne rzeczy, ich wyobrażenia ulegały zapisaniu na cząstkach materii myślowej. Był to zapis głęboki, trwałe i praktycznie niezniszczalny. Każde zmartwienie, każda chęć wbicia noża w czyjeś plecy, każdy złodziejski pomysł – utrwały się na zawsze. Nieważne, czy zamiar wykonano – odstępianie od popełnienia zbrodni nie wymazywało jej zapisu.

Inni ludzie z nich korzystali. Nagle przychodziły im do głowy jakieś dziwne myśli. Ich umysły zaczynały niby to samoistnie produkować różne intencje, snuć projekty, a w rzeczywistości docierały do tej nisko wiszącej sfery i odczytywały zapis.

Ostatnio uległa ona znacznemu powiększeniu; tak się działo, gdy ludzkość musiała dokonać zwrotu w swoim postępowaniu; oczywiście o ile udało się jej przetrwać. Cywilizacja ginęła, nagle wybuchały bomby, przewracały się pociągi, samoloty ślepy i zderzały się w przejrzystym powietrzu, a dzieci umierały zaraz po urodzeniu, gdyż nie chciały żyć. Wszystko z powodu sfery, wiszącej nisko ponad Ziemią, która bardzo jej przeszkadzała. Musiała się przez nią przebić, co wymagało większego zużycia energii; widywała obrazy zbrodni i wiedząc, że nie może im zapobiec, cierpiała.

Patrol polował nocą na ulicach miasta. W samochodzie siedział kierowca i młody strażnik. Samochód sunął cicho po śliskich jezdniach, przemykając koło dyskotek i barów, nocnych klubów i pubów. Omijał teatry, sale koncertowe i drogie restauracje. Przystawał w zaułkach i obok starych kamienic, skręcał, wjeżdżając w ciemne podwórka i bramy. O tej porze nocy nie było tam nikogo, nawet bandyci musieli przespać parę godzin przed świtem. Światło gwiazd odbijało się w szybach okien, które je powielają i zagęszczają, a samochód przebijał się przez nie jak przez litą materię.

Kierowca nie interesował się motywami strażnika. Nie pytał, dlaczego z taką zawziętością śledzi jakąś starą, nieszkodliwą kobietę, która nie popełniła żadnego wykroczenia. Mężczyzna jednakże sam zaczął mówić na ten temat. Nienawidził wszystkiego, co stare i brzydkie, pokraczne lub kalekie. Gardził nędzarami, których uważał za winnych swojej niedoli, oskarżając ich o brak przedsiębiorczości i wytrwałości. Według niego byli leniwi lub psychicznie pęknięci, a więc chorzy, ale nie



zasługiwali na żadną pomoc lekarską czy opiekę społeczną.

– Tacy się nie nauczą – mówił cicho, z pasją – szkoda dla nich szkół. Nigdy się nie wyleczą, nie warto tracić na nich pieniędzy, branych z naszych podatków. Gdybyśmy nie musieli utrzymywać tej armii nędzarzy, nasze pensje byłyby o wiele wyższe. Każdy z nich to złodziej – unosił się, choć mówił coraz ciszej – i już z tego powodu, że w ogóle żyje, zasługuje tylko na to, żeby go spałować i zamknąć!

Kierowca nie słuchał. Miał niepełnosprawne dziecko i babcię, którzy byli dla niego wszystkim. Gdyby nie oni, zostałby sam na świecie, samotny i przez nikogo niekochany, a te dwie kalekie istoty miały w sobie tyle miłości, że dzięki nim przestrzeń wokół niego aż pulsowała ciepłem. Wiedział również, że świat jest pełen szaleńców; a jeśli chodzi o tego tu, siedzącego obok, najwyraźniej sam miał ze sobą poważny problem, skoro prezentował takie poglądy.

– Przyhamuj koło sklepu – rozkazał młody strażnik.

Wysiadł i po chwili wrócił z kartonem energetyzujących napojów. Nim ruszyli, wypił dwie puszki, lecz wciąż nie czuł się dość silny, by stawić czoła swemu strachowi przed światem.

– Zawieź mnie do nocnej siłowni – polecił.

Musiał zwiększyć masę mięśniową, musiał być mocny, walcząc z dużo słabszymi od siebie. Z nimi wygra. Na pewno. A wtedy jego kompleks niższości na chwilę przestanie go dręczyć.

Sen odszedł; umysł strażnika nie potrafił się wyciszyć. Włączył telewizor i mimo ściszonej fonii usłyszał coś na tyle ciekawego, że przysunął się, przybliżając ucho do głośnika. Nadawali program o zjawiskach paranormalnych. W studio tonącym w przyćmionym, fioletowym świetle, na tle oparów kadzidełek pani etnograf kultury mówiła o czarownicach:

– Są traktowane stereotypowo. Utarły się pewne pojęcia, powtarzane przy każdej okazji, a więc utrwalone w świadomości społecznej. Zazwyczaj podaje się te informacje w kontekście prowokującym do śmiechu. Humorystyczne tło takich wypowiedzi nie zawsze jest celowym zabiegiem, ale utrwalonym wzorem myślenia. Mówiąc o czarownicach, zazwyczaj przytaczano opisy ich praktyk, uznawanych przez światły ogół za przykłady zabobonu i ciemnoty. Jeden z lepiej znanych przepisów stosowanych przez wioskowe czarownice zalecał: weź skórę ropuchy i gotuj w saganku przez dni trzy, aż się odwar wyklaruje. Dopiero nowoczesna medycyna potwierdziła, że skóra ropuszki zawiera truciznę, która podawana w odpowiednich dawkach jest skutecznym lekarstwem na wiele schorzeń. Receptury czarownic nie były wynikiem intuicji, ale wiedzy, opartej na eksperymentowaniu i obserwacji, zdobywanej przez tysiąclecia, a następnie zanegowanej ze względu na brak logicznych związków pomiędzy jej poszczególnymi elementami.

Dowodem jest inny przepis, rzekomo bezsensowny, zalecający zrywanie ziół o pełni księżyca. Kiedy ludzie nie dostrzegali wpływu księżyca na podnoszenie się poziomu wód na ziemi, to zalecenie wydawało im się pozbawione związku przyczynowo-skutkowego, a co za tym idzie uzasadnienia.

W tym momencie włączył się redaktor prowadzący program, zadając pytanie o kulturowe znaczenie postaci starych kobiet.

– Czy jest to jakiś symbol? – zapytał.

– Ostatnie wieki, odznaczające się kultem młodości i tężyzny, kiedy rozważamy zagadnienie na poziomie fizyczności, oraz cechujące się bezwzględnością rozumowania, jeśli poruszamy się w sferze myślenia – od czasów Oświecenia – ugruntowały pogardę i niechęć, delikatnie mówiąc, do symboliki starej kobiety. Jeszcze na początku Średniowiecza była ona uważana za osobę posiadającą mądrość, szczególnie dotyczącą wyjawiania przeznaczenia człowieka. Stara kobieta uchodziła za symbol losu, szczególnie tego nieodwołalnego, który musi się wypełnić. Przypomnijmy, że trzy parki w mitologii rzymskiej, czyli Kloto, Lachezis i Atropos, przedstawiano jako stare kobiety. Pierwsza przędła nić żywota, druga ją odmierzała, trzecia odcinała. Były więc symbolem nieuchronności, dowodem bezsilności i poddaństwa człowieka, co zawsze wzbudza negatywne uczucia. Jeżeli dodamy do tego strach przed śmiercią, powody nienawiści stają się oczywiste.

– Czym więc jest symbol starej kobiety w naszej kulturze? – redaktor prowadzący domagał się uściślenia i postawienia kropki nad i.

– To strażnik losu, wyjawiający tajemnicę ludzkiego życia – zakończyła antropolog.

Strażnik nie chciał już więcej słuchać. Nie dowiedział się, kim są ci, którzy znają los, może jego los; wyłączył telewizor. Odchylił głowę na oparcie kanapy i pograżył się w myślach. Czuł się wplątany w jakąś trudną i starą sprawę. Był pewien, że nic nie działo się przypadkiem ani też nadaremnie. Zrozumiał, że jego los został mu w pewien sposób podpowiedziany, choć nie całkowicie. Dotarł do niego tylko sygnał, jeden dźwięk dłuższego pasażu, posłyszał słowo wypowiedziane w ciemności, a jego zadanie polega na tym, by odgadnąć całe zdanie i odnaleźć melodię piosenki. Jeszcze tak wielu rzeczy nie wiedział, mimo to poczuł się pokrzepiony i mądrzejszy. Zezwolono mu zobaczyć coś ważnego. Zrozumiał, że istnieje tło, które tworzą wieki i minione wydarzenia, a on jest w nie wsnuty jak w tkaninę gęstego i grubego dywanu. Jako człowiek nie żyje tylko tu i teraz, wyłącznie po to by zarabiać pieniądze i wydawać je w taniej jadłodajni Wielkiego M. Jednak sens swojemu istnieniu musi nadać sam.

Noc była właśnie najgłębsza. Sama wpadała we własną ciemność i zanurzała się w sobie. O tej godzinie chorzy wzdychali na samotnych szpitalnych łózkach, otwierały się rany, a krew przesączała przez bandaże. Walkirie wychodziły z ciemności i szły

równym krokiem, by stanąć w drzwiach, a potem ująć chorego za rękę i przeprowadzić go na drugą stronę, strzegąc, by się nie oglądał. Była to właśnie ta godzina nocy.

Stara kobieta stała przed wielkim oknem. Jarzyło się w nim światło i lśniły drogie kamienie. Leżały na aksamitnych poduszkach. Czerwone klejnoty położono na białym atłasie, perły matowo połyskiwały na czarnej tkaninie. Jednak ona patrzyła tylko na brylanty. Nie były duże, zaledwie skromne oczka w pierścionkach.

– Na pewno mają większe w kasie pancernej na zapleczu – mruzczała do siebie. – Potrzebne są największe i najtwardsze, trzeba je ułożyć w formie medalionu. Mówiłam, że nie odpuszczę. Mówiłam, znamy się przecież od początku.

Stała dość długo, dobrze widoczna w świetle padającym z okna wystawowego. Wcale się nie kryła. Przyglądała się i czekała na brylanty, bo po prostu ich potrzebowała i musiała je otrzymać. Wiedziała, że to się wydarzy – taka była zasada.

Młody strażnik właśnie wyszedł z nocnej siłowni i stanął przed drzwiami, by poprawić mundur. Po ćwiczeniach wziął prysznic i zmył z siebie pot wysiłku. Nie był zmęczony, wprost przeciwnie, dopiero teraz rozgrzane mięśnie oddawały mu swoje ciepło i energię. Nie wątpił, że teraz może wiele zdziałać – a co tam, może wszystko. Ruszył przed siebie. Był teraz księciem nocy, władcą ciemności. On ustalał reguły i on egzekwował prawo. Czekał na wyzwanie. Pragnął, jakże pragnął natknąć się na jakiegoś drania. Spadłby na niego jak drapieżny ptak. Niech no tylko spotka kogoś, kto choć trochę narusza przepisy. Na przykład kierowcę, który korzystając z późnych godzin nocy, przejeżdża skrzyżowanie na czerwonym świetle, pewny, że nikt nie widzi. On mu pokaże, kto widzi. On go nauczy, że przepisy działają zawsze, i od tego czasu pan kierowca będzie zatrzymywał się na skrzyżowaniu polnych dróg o drugiej nad ranem.

Niech no tylko kogoś spotka.

I nagle zobaczył tę starą babę, która mu wtedy umknęła. Dzielila go od niej niewielka odległość prostego chodnika, krótki odcinek do przejścia, od zakrętu, który właśnie minął do tego okna wystawowego.

O, stoi, gapi się, bezczelna, i nie czuje przed nim strachu. Złapie ją za ten chudy kark i znajdzie podstawy do oskarżenia. Bo co taka nędzarka może robić przed oknem wystawowym największego jubilera w mieście? To oczywiste, że planuje kradzież. Jak tego dokona? Proste, wystarczy rzucić kamieniem. Szyby są odporne na silniejsze uderzenia, ale nie o to chodzi, lecz o zamiar, który za chwilę zostanie udaremniiony.

Nie spieszył się, kroczył rytmicznie i spokojnie, tylko kciuki zatknął za pas. Czuł na plecach pod paskiem dotyk wiszących kajdanek. Jeden ruch i zaciśnie je na przegubach tych chudych rąk. Stara stoi jak oszołomiona. Pewnie nigdy nie widziała takiego bogactwa, tylu lśniących brylantów. Chyba sobie nie wyobraża, że te pierścienie ozdobią jej stare palce. Zaraz wykręci jej ręce do tyłu i ramiona podciągnie do góry,

między sterczące łopatki. Brzydził się starością. Nie spuszczał wzroku ze stojącej przed wystawą kobiety.

Na pustej ulicy pojawiła się czarna limuzyna z szoferem. Strażnik znał takie samochody. Należały do bogatych ludzi, którym służył. Takim ludziom należało się kłaniać i schodzić z drogi. Na każde pytanie odpowiadać: „Tak, proszę pana” albo „Jak pan sobie życzy”. To przecież ich majątku pilnował, to dla nich – pod pozorem, że broni społeczeństwa – ganiał po ulicach dilerów i złodziei. Miał ochraniać tych, którzy stworzyli siły specjalne i straż.

Musi się pospieszyć, aby usunąć tę staruchę, nim właściciel ją zauważy. Najwyraźniej zapragnął przyjechać w nocy do swego największego sklepu. Trochę to dziwne, ale nie jemu oceniać postępowanie takiej osoby.

Naraz spłynęło na niego olśnienie. Czy kiedykolwiek oglądał ważną figurę z bliska lub choćby znalazł się w jej pobliżu? Nie, zaiste, nigdy! A teraz, o drugiej w nocy na zupełnie pustej ulicy spotykają się i to w sytuacji, kiedy jako dzielny strażnik aresztuje złodziejkę, która chciała okraść jego piękny sklep. O szczęście, o przychylny losie, który czuwasz na tymi, którzy na twą łaskawość zasługują! Na pewno jubiler nie spodziewał się takiego obrotu zdarzeń. Zobaczy, jak czujna jest straż. No przecież nie cała, ale jeden wybrany strażnik, najlepszy i najpilniejszy w zespole, który nie bacząc na późną porę, strzeże cennego mienia. Właściciel sklepu na pewno doceni solidność – jeden telefon do prezydenta miasta i awans, oficerskie pagony i odznaczenie!

Strażnikowi brakuje jeszcze kilka kroków, a samochód już podejżdża od drugiej strony pod okno wystawowe. Strażnik musi się pospieszyć, aby kradzież nie dokonała się na oczach właściciela, co gorsza, pod bokiem strażnika, który okazał się powolniejszy od jakiejś starej baby. Jeden skok i już chwytą staruchę za ręce. No, prawie. Bo nagle dzieje się coś niesamowitego: limuzyna hamuje i kierowca otwiera drzwi, a z nich wychodzi sam właściciel w ciemnym garniturze, dwa kroki i już jest przy kobiecie. Strażnik ją pochwycił... Nie, jeszcze nie! Jak to się stało, jak to jest możliwe? Przecież wyciągnął ramię i już zacisnął palce na jej przegubie. Nie, wcale jej nie dotknął, chociaż nawet się nie odsunęła.

I tak jakoś zamarł w ruchu, wyciągając jedną rękę do przodu, by schwytać złodziejkę, a drugą sięgając za plecy, by odpiąć kajdanki. Starucha stoi twarzą do wystawy, a obok niej jubiler.

– Pani pozwoli – mówi. – Proszę zająć miejsce w samochodzie, by się uwolnić od tego natręta, który panią niepokoi.

Potem zwraca się do strażnika:

– Jeden telefon do zwierzchnika i otrzymujesz, człowieku, zwolnienie ze służby z naganą wpisaną do akt. Jaki jest twój numer? – Patrzy na blachę na piersi strażnika i powtarza głośno numer, aby go dobrze zapamiętać. – W straży nie ma miejsca dla sadystów – dodaje właściciel limuzyny, sklepu, a teraz także pan jego losu.

„Jestem skończony, załatwiony i skompromitowany! I to przez tę babę, wysuszoną staruchę! Zamorduję ją! Skręcę ten chudy kark jak kurczakowi, wystarczy wziąć ją w dwa palce i ścisnąć”.

I wtedy właśnie mocne uderzenie zważyło go z nóg. Kierowca limuzyny przyłożył mu drzwiczkami i dokończył dzieła silnym ciosem. Płyty chodnika okazały się bardzo twarde, gdy walnął w nie potylicą. Ogarnęła go ciemność.

Kiedy się obudził, świeciło słońce. Do jego blasku dołączyła łuna od telewizora, który pracowicie nadawał swój program. Dziwne... Powinien sam się wyłączyć, jak co wieczór, zgodnie z kodem w sieci, reagując na brak czujnej obecności człowieka. Jednak tym razem działał nadal, choć on przestał oglądać program. Albo włączył się samoistnie, mimo że nie spojrzął na ekran.

Naprawdę dziwne. Ale w mężczyźnie zachodziła przemiana i nie szukał rozumowych wyjaśnień. Nie próbował sobie wmawiać, że musi istnieć proste, logiczne wytłumaczenie, tyle że w danej chwili on go nie zna. Powoli, po każdym dziwnym wydarzeniu, coraz bardziej zagłębiał się w tryby paranormalnego świata, w którym nie obowiązują zależności przyczyny i skutku. W jego umyśle zaczynał się rozkruszać łańcuch logicznego, schematycznego myślenia.

Jeszcze jedna rzecz była dziwna. Spał na kanapie w dużym pokoju, nie w sypialni, i wcale nie pamiętał przygotowań do snu, takich jak zdejmowanie ubrania i obowiązkowy prysznic. Cieszyła go precyzja składania munduru w kształtną kostkę. I nigdy nie zasnął, póki nie zabezpieczył broni. Taki nawyk, wyniesiony ze szkoły policyjnej. Powtarzał sobie zawsze, że wyuczone przyzwyczajenia są podstawą bezpieczeństwa: jego własnego i obywateli. Mundur leżał obok, precyzyjnie złożony w kostkę, a broń została zabezpieczona, choć nie pamiętał, by to robił. Te czynności były rytuałem, nawykiem, ale zawsze wykonywał je świadomie i ostrożnie obchodził się z pistoletem.

Nie był poprzedniego wieczoru aż tak zmęczony, by się wyłączyć i działał na zasadzie rutynowych odruchów, których teraz nie mógł sobie przypomnieć. Nie chciał jednak szukać racjonalnych wyjaśnień. Był to kolejny krok na drodze do akceptacji dziwnych zjawisk.

Rozpoczęto nadawanie reportażu z Ratusza. Przed miedzianymi wrotami stała grupa ważnych urzędników miejskich, a wśród nich najbogatszy jubiler w mieście, który zamierzał coś ogłosić przed kamerami. Trzymał niewielką szkatułkę z tajemniczą zawartością. Musiała być niezwykle cenna, zważywszy na obecność u jego boku dwóch strażników i kilku ochroniarzy w ciemnych okularach, którzy rozglądali się na wszystkie strony i raz po raz poprawiali mikrofony w uszach. Złotnik trzymał szkatułkę tuż przed sobą na szkarłatnej, aksamitnej poduszce ze złotymi chwościkami w rogach.

Jubiler zaczął opowiadać, jak uratował pewną starszą damę przed krewkim

służbistą, który nazywał siebie stróżem prawa, choć był raczej strażnikiem bezprawia. Ale to czas przeszły – już nigdy nikogo nie skrzywdzi. Zaś on, poruszony do głębi jego skandalicznym zachowaniem, postanowił ufundować medal dla człowieka, który najbardziej przyczyni się do ochrony życia ludzkiego. Medal został wykonany z brylantów – symbolu niezłomności. Kiedy złotnik podniósł wieczko szkatułki, kamerzyści zrobili zbliżenie i na ekranie pokazało się powiększenie medalu.

Jednak strażnik nie patrzył na diamentowe cacko. Jego wzrok powędrował w głąb obrazu. Za jubilerem i notablami znajdowały się miedziane wrota Ratusza. Były lekko uchylone i prowadziły w ciemną przestrzeń wielkiego holu. Stała w nich stara kobieta, zawinięta w swoją chustę. Nie pasowała do grupy ważnych eleganckich osób, jednak lekceważyła ich chwilową współczesną wielkość oraz dysonans, jaki tworzyła. Stała, na wpół zanurzona w ciemności, kojarząc się raczej z plamą na tynku lub z portretem wiszącym na ścianie holu.

Mimo ulotności tego obrazu strażnik był pewien, że chciała mu dać do zrozumienia, że ta scena jest przeznaczona tylko dla niego. Potem wtopiła się w ciemne tło, przechodząc w inne rejestry istnienia.

Zdał sobie sprawę, że nadal przebywa w swoim pokoju i ogląda telewizję. Cofnął się z tamtej rzeczywistości i nagle zwątpił, czy faktycznie nadano by o tak wczesnej porze reportaż z Ratusza z udziałem ważnych osób, nienawykłych przecież do wstawania o świcie.

Kiedy się odświeżył i przebrał, usiadł przy stole, by wypić mrożoną herbatę. Było mu zbyt ciepło. Pod szklanym stolikiem na półce leżało czasopismo historyczne, otwarte na stronie z dużą fotografią przedstawiającą piramidę schodkową Majów.

Pijąc chłodny napój, rzucił okiem na tekst dotyczący rytuału, który musiał być wykonany przez króla. Ceremoniał zawsze odbywał się przed najważniejszym wydarzeniem, zmieniającym bieg historii. „Skąd starożytni władcy otrzymywali wiadomość o mającej nastąpić tragedii? – zapytywał autor. – Jak posiadli wiedzę o przyszłych klęskach?”

Potem podał kilka faktów. Przerazające wydarzenia następowały cyklicznie, jednak w nierównych odstępach czasu. Te odcinki trudno byłoby wyliczyć, nawet przy pomocy skomplikowanych równań matematycznych, których wówczas nie znano. Pozyskanie wiedzy o nich musiało następować inaczej. Może intuicyjnie?

Pewna legenda z innego kręgu kulturowego, a mianowicie z Chin, wyjaśnia, że najstarsza kobieta z rodu uzyskiwała wgląd w przyszłość, oczywiście o ile dożyła sędziwego wieku. Podania mówią, że otrzymywała wiadomość z Dziesiątego Nieba (Han).

Kto zamieszkiwał Dziesiąte Niebo? Panowie Wieczności albo też Ci, Którzy Ustalają Kolejność. Z pewnością chodzi o kolejność wydarzeń, które mają zajść w świecie, czy też w danym kręgu kulturowym. Dziennikarz przeprowadził wywiad z

przedstawicielem bardzo starego rodu, który utrzymywał, że w jego rodzinie była taka stara, wiedząca kobieta. Ten mężczyzna pamiętał jej ceremonialny pogrzeb, który odbył się sto lat wcześniej. Teraz przystał na prośbę dziennikarza i zezwolił mu obejrzeć trumnę swej prababki.

Dziennikarz zszedł do grobowca po kamiennych stopniach. Jego kroki odbijały się echem wśród ścian. Był sam. Potomek nieżyjącej kobiety pozostał na górze w świetle dnia. W trumnie nie było ciała, mimo że pieczęcie nie zostały naruszone. To wywołało szok i przerażenie w całej rodzinie. Nikt nie potrafił wytłumaczyć zagadki zniknięcia szczątków. Inni członkowie rodu pokazywali zapiski, jakie uczynili za życia wiedzącej kobiety, by dowieść, że w ogóle istniała. Jednakże pergaminy były tak zniszczone, że interpretacja zapisanych na nich chińskich znaków mogła być różna.

Tu bystry dziennikarz wykonał woltę i powrócił do starożytnych Majów.

„Kiedy słońce stało wysoko na niebie – przywołał słowa ze Świętych Kodeksów – i zrobiło się upalne i mordercze, Pan Świata musiał wejść na najwyższą piramidę i spojrzeć w jego tarczę. Ono oświeciło jego umysł, który rozbłysnął jak ognista kula Boga Nieba”.

„Król doznawał olśnienia – pomyślał strażnik, kończąc pić mrożoną herbatę. – To była iluminacja, która w naszych czasach już chyba nie istnieje”.

Wciąż myśląc o boskiej chwili nagłego zrozumienia, żałował przez chwilę, że skończyła się epoka cudów, ale zaraz porzucił tę refleksję, gniotąc puszkę i celując nią do kosza. Mimo wszystko spojrział ostatni raz na króla wstępującego na schody piramidy, omotanego w złote tkaniny. Był piękny. Strażnik chciałby być taki sam, choćby przez krótką chwilę iluminacji.

„Jestem zmęczona” – mówiła do siebie. Tyle złych rzeczy miało się wydarzyć. Nikt nie zdoła im zapobiec. Ich pojawienie się wynikało z reguły. Martwiło ją tylko niewłaściwie interpretowanie tych zjawisk przez ludzi. To nie kara za grzechy. Ludziom nie wolno pochylać głów. Nie powinni myśleć, że kłęski spadają na nich jak nieunikniony deszcz. Sami je produkują. Zapisy ich zamiarów są jak lustra, w których przeglądają się niebiosy. „Muszą zajść głębokie przemiany – mruzczała – ale jak opanować myśli ludzi?” Zdarzają się okresy łatwiejsze, gdy sfera nie jest taka gęsta i przepuszcza światło. Czasem jednak ulega zbyt silnemu sprasowaniu i można ją rozbić tylko w jeden sposób – należy sprawić, aby nie przyrastała od spodu, by przestały się do niej doklejać wciąż nowe drobiny.

„I właśnie taki czas nadchodzi. Będzie strasznie”.

Młody strażnik stał przed swoim dowódcą, słuchając oskarżeń. „To jakaś farsa – pomyślał po raz kolejny. – To nie dzieje się naprawdę”. Nie słuchano jego wyjaśnień. Uznano, że napadł na niewinną obywatelkę i na jubilera. Właściciel przybył tak

wcześniej do swego zakładu, aby pobrać z kasy panczernej drogocenne brylanty, wezwać pracowników i zlecić im przygotowanie medalu, który miał się stać symbolem miasta. „To jakaś bzdura – myślał strażnik. – Satyra na sprawiedliwość. Porządny strażnik broni miasta przed lumpami i mętami i staje za to do raportu”.

Wciąż nie wierzył, że to się dzieje, nawet gdy zdzierano mu dystynkcje. Odpięto kaburę ze służbową bronią, zabrano legitymację i wetknąwszy w ręce jakiś papier, wskazano wyjście, a potem zatrzaśnięto drzwi za jego plecami. Dopiero tutaj spojrzął na trzymany w dłoni dokument i nie mógł zrozumieć słów, chociaż czytał litery. „Zwolniony dyscyplinarnie ze służby bez możliwości odwołania”.

Służba była całym jego życiem. Poświęcił jej wszystkie marzenia i młodość, którą spędził na nauce w szkole policyjnej i szkoleniach na różnych kursach sprawnościowych. Najlepszy strzelec na całym posterunku, niepokonany w sztukach walki, sprawny jak tygrys, silny jak bawół. „Przekroczenie uprawnień, brak ludzkich odruchów” – czytał w dokumencie, przekonany, że ta opinia nie jego dotyczy, że jutro obudzi się z tego dziwnego snu. Poszedł więc jak zwykle na trening, by udowodnić sobie, że nadal jest stróżem prawa i najsprawniejszym mężczyzną na posterunku.

W rozkroku, z uniesioną głową stał w drzwiach siłowni ten czarnuch. Strażnik gardził nim z powodu koloru skóry i nienawidził go, bo zawsze, za każdym razem, sprawdzał jego identyfikator i zezwolenie na korzystanie z siłowni. Robił to umyślnie – taka forma samoobrony przed jawnie okazywaną niechęcią rasową. Zawsze w rozkroku, z obojętnym wyrazem twarzy, patrząc gdzieś ponad głowę wchodzącego. Stał i gapił się tym wyniosłym wzrokiem, póki strażnik nie wysupłał zezwolenia i identyfikatora i nie podetkał mu ich pod ten jego małpi pysk, a on – czarny łajdak – nawet nie raczył zerknąć, tylko odchyłał kciuk, zezwalając na wejście.

Teraz też stał – czarny i obmierzły.

– Przepuść mnie! – warknął strażnik. Rozwścieczony i zdesperowany, nie działał mądrze, wybierając język przemocy, ale jeszcze przez chwilę chciał być dawnym sobą, kimś znaczącym, najsilniejszym na siłowni, na całym posterunku, posiadającym część władzy na ludzkim życiu.

Czarny w ogóle nie zareagował, tylko stojąc na szeroko rozstawionych nogach, patrzył ponad jego głowę. Kawał Murzyna. Biały podkoszulek podkreślał zwały mięśni na ramionach. Jak to się stało? Kto zaatakował pierwszy? Chyba on, z desperacji i strasznego upokorzenia, bo teraz był nikiem, podwójnie nikiem, skoro nawet taki tępy wykidajło mógł go wygnać z siłowni; pewnie czekał na to przez te wszystkie lata, no i trafiła mu się okazja do zemsty. Jeden cios tamtego i zrobiło się ciemno.

Ktoś wziął nieprzytomnego strażnika za ręce i za kostki u nóg i miał brutalnie przeciągnąć po bruku, przeniósł do zaułka, kładąc na górze odpadków za pojemnikiem na śmieci. Samochody z oczyszczalni rzadko tu zajeżdżały. Poleży na miękkim, zanim się ocknie. Kolejny dowód delikatności i empatii.



Stara kobieta znowu zaczęła odbierać komunikaty. Na szczęście stała w cieniu domów, zasłonięta od wścibskich oczu, chociaż i tak nikt na nią nie zwracał uwagi. Jej wygląd starej nędzarki stanowił wygodny kamuflaż. Takie przebranie wybrała sobie dawno temu, gdy zaczynała działalność na tej planecie, przestudiowawszy jej obyczaje.

– Obiecaliście, że po tym zadaniu mój dyżur się skończy i będę mogła latać – zdążyła mruknąć, nim znalazła się gdzie indziej. Widziała wiele ciał mieszkańców tej planety, którą miała ratować. Leżały wszędzie, na ziemi i nad brzegiem morza, płonęły uwieszone w budowlach, spadały z okien, nie mogły się wydostać z piwnic.

– Dlaczego tak trzebicie tę rasę?! – wykrzyknęła. – To nie moja wina, nie potrafię więcej! Cóż, że zawsze znajdę odpowiedniego człowieka, który skrupulatnie wykona mój plan! Cóż, że się otrząsną i przez chwilę będą działać według uniwersalnej reguły! Taki okres trwa krótko, po czym znów popadają w swą rutynę. I wtedy moje siły nie wystarczają. Nie zawrócę biegu przeznaczenia w pojedynek. Jeden kilof nie rozbije warstwy. Nadchodzi zły czas.

Zapytano ją wtedy, czy zgodzi się przedłużyć swój pobyt na tej planecie. Zacisnęła usta; nie chciała odpowiadać twierdząco. Było jej tu bardzo ciężko. Miała utrudnione działania. Proste akcje nie przynosiły rezultatów, jak przed setkami lat czasu lokalnego. Świat stał się zbyt logiczny, cuda utraciły swą moc. Musiała poddać się regułom wcielenia i życia społecznego.

Czuła się zbyt osamotniona i po prostu nie dawała już rady. Nie mogła być wszędzie, wiele więc wątków wymykało się jej z rąk. Obawiała się, że obecnie spełnia tylko rolę Lachezis, czyli parki odmierzającej los. Nie chciała nawet myśleć o tym, że będzie musiała się zamienić w tę, która odcina wątek i opuszcza ludziom powieki. Nigdy się nie zgodzi, by brać pod ramiona i przeprowadzać na tamtą stronę. Do wypełnienia tego zadania będą musieli przysłać kogoś innego, na nowy dyżur.

– Czy nie mam żadnego prawa głosu? – pytała, oglądając obrazy, jakie jej przesyłano. Tak miała wyglądać najbliższa przyszłość. – Nie mówcie, że to jest najlepszy scenariusz!

Pomyślała jednak, że przecież tutejsza ludzkość sama sobie zafundowała ten wariant wydarzeń. Zapisali go w wielu miejscach i nieustannie odczytywali na nowo, nazywając swe księgi świętymi i wierząc, że ich stronicie zostały podyktowane przez bogów, choć przecież sami je wymyślili. Potrzebowali jednak uzasadnień, by podporządkować sobie innych. Ich własne słowa zamieniały się w energię myśli. Zgodnie z prawem przemiany energii owe zapisy myślowe składowano przez jakiś czas w niewielkiej odległości od planety. Był to okres najbardziej niebezpieczny dla mieszkańców. Wiele osób miało dostęp do energii odczytu. Oczywiście daleko im było do możliwości, którymi ona dysponowała. Niestety ich skromne umiejętności wystarczały, by docierali do sfer umysłu, gdzie produkowali zło.

Nagle przekaz został przerwany.

– Dlaczego przyspieszyliście transfer! – krzyknęła. – Przecież realizacja nigdy nie odbywała się natychmiastowo. Nie mam środków działania.

Ale było już za późno. Miało się wydarzyć.

Kiedy wczesnym rankiem wyszedł z domu, podniósł głowę i spojrzał w niebo, by zobaczyć, jaki dzień się zapowiada. Jego wzrok zetknął się z jasnym okiem słońca, które stało ponad domami i właśnie rozpoczynało swój ognisty rajd przez miasto. Już było oślepiająco białe i wyjątkowo rozżarzone.

Naraz odniósł wrażenie, że pomiędzy nim a słońcem stoją wysokie schody wykute w białym kamieniu. Wstępował po schodach jak wódz i kapłan, mając do wykonania bardzo ważne zadanie. Od jego rytualnych czynności zależało istnienie całego ludu, jego wielkiego plemienia, które już się zamieniło w naród. Iluminacja – to słowo samo wypłynęło na powierzchnię zrozumienia. Działy się rzeczy bardzo dziwne, przeczące jego doświadczeniu i logice myślenia. Jednakże nie szukał uzasadnienia jak wtedy, gdy obserwował w barze starą kobietę. Nie usiłował zracjonalizować świata.

Zaakceptował jego drugą, niewyjaśnialną, lecz istniejącą i oczywistą stronę.

Uświadomił sobie, że nie wie, na czym polega rytuał. Nie znał gestów, które są ustalone raz na zawsze i wykonywane zawsze w tej samej sekwencji, niezależnie od sytuacji. Pokonał kilka stopni; było już bardzo gorąco.

– Dajesz życie – wyszeptał – ale i mordujesz. Wypijasz jeziora, wysysasz wilgoć z liści i przez ciebie zwierzęta umierają nad suchymi źródłami.

Było mu tak gorąco, że rozpiął guziki munduru. Wizja zaczynała znikać. Schody po jednym zamieniały się w blask. Roztopiły się w upale. Zobaczył, że stoi przed swoim domem z uniesioną głową. Otworzył oczy, rozejrzał się. Wcale nie wstydział się dziwnego zachowania. Jezdnia lśniła od żaru.

„A co będzie później?” – pomyślał. I nagle zobaczył inną wizję. Miasto, nieprzygotowane na wielkie upały. Starzy ludzie przewracają się na ulicach i suchymi wargami błagają o szklankę wody, lecz nikt ich nie słyszy. Chłopcy na deskorolkach dostają udaru słonecznego, gdyż pochłonięci zabawą nie zwrócili uwagi na temperaturę; im przecież zawsze jest gorąco. Młode ciała upadają, rozbijając głowy, przed oczami latają ciemne koła. Zapaść. Dzieci w przedszkolu zsuwają się z huśtawek. Uczniowie mdleją w klasach, studenci w dusznych salach.

W szpitalach brakuje krwi i leków. Straż pożarna wciąż w drodze, wciąż na sygnale. Podobnie policja, służby miejskie, śmieciarki, polewaczki...

I nagle zobaczył w swoim umyśle coś przerażającego: ekipę hydraulików zmierzającą do głównej pompowni, by zakręcić wodę z powodu drobnej awarii. Widzi, jak zakręcają wielkie koło, a ono się urywa. Zaczynają wyc syreny. Wielka awaria! Trzeba odciąć dopływ wody. Wybuchają pożary. Elektrownia przeciążona.

Wyłączają dopływ prądu, w szpitalach przestają działać urządzenia ratujące życie. W inkubatorach umierają dzieci, na stołach operacyjnych konają pacjenci.

„A jeśli to tylko ułuda? – pomyślał strażnik. – Jeżeli zacznym wariować?”

Wówczas, rozpoczynając tak szeroko zakrojoną akcję, ośmieszy się i bez wątpienia zostanie wyrzucony z pracy, a potem pozwany do sądu za spowodowanie strat. W takim przypadku jego życie będzie skończone: nastąpi degradacja, kompromitacja, kara. Ale jeśli to wszystko się wydarzy i na drugiej szali leży ludzkie życie i cierpienie tysięcy? Jedno życie wobec tylu istnień. „Każdy jest Chrystusem swego losu” – pomyślało mu się i od razu przypomniał sobie, jakie ma wykonać gesty. Znał rytuał bardzo dobrze, gdyż powtarzał go codziennie.

Przechyliwszy głowę, włączył telefon interaktywny i wywołał najpierw brygadę zmierzającą do pompowni.

– Tu straż miejska – powiedział, zdając sobie sprawę, że przekracza swoje uprawnienia i powinien najpierw zawiadomić szefa, by ten powołał sztab antykryzysowy, ale nie było na to czasu.

Następnie wykonał telefon do dyrektora wodociągów i kanalizacji miejskiej. Powiedział mu o głównym zaworze, który się urwie pod lada dotknięciem, co grozi pozbawieniem wody całego miasta. Uczynił go osobiście odpowiedzialnym za tę awarię, podał swoje nazwisko i stopień służbowy i kazał się zameldować po usunięciu zagrożenia.

– Tu dyrektor – usłyszał główny inżynier wodociągów i kanalizacji miejskiej. – Właśnie dzwonił do mnie jakiś szaleniec z informacją o grożącej awarii głównego zaworu. Czy wiesz coś o tym?

– Jakby to panu powiedzieć? – zaczął niepewnie inżynier, drapiąc się w głowę. Jeśli powie prawdę, narazi się na sankcje czy nawet utratę pracę. Ale jeśli nie powie, jakie podjął kroki, może być znacznie gorzej. Ten cholerny zawór rozwali się lada dzień.

– Mów pan – zagrzmiał dyrektor groźnym tonem.

– To prawda – odpowiedział główny inżynier.

– No i co pan zrobił, za co panu płacę? Taki wstyd, żeby mi jakiś strażnik miejski zwracał uwagę! To skandal, to niedopełnienie obowiązków!

Inżynier nabrał powietrza w płuca. Bał się; już widział siebie na bruku, a swoje dzieci w przytułku. Znowu ten sam dylemat. Jeżeli nie powie prawdy, pograży się. A jeśli powie prawdę, skompromituje dyrektora, narażając się na jego zemstę. Ale musi się odważyć. Żona wciąż mu powtarza, że jest tchórzem, dlatego nigdy nie odniesie sukcesu. Gdyby umiał pokazać wszystkie swoje możliwości, gdyby wprowadzono jego innowacje w firmie, wówczas by awansował, więcej zarabiał. Ale on boi się zwolnienia i woli siedzieć cicho. „Teraz albo nigdy – pomyślał. – Oto chwila, którą

trzeba umieć dostrzec! Zmienia się życie” – wypuścił powietrze w gwałtownym wydechu i powiedział z mocą:

– Raport leży na pańskim biurku. – Słyszając milczenie w słuchawce, nabrał ponownie powietrza i zaczął mówić szybko i pewnie: – Ustawowy termin odpowiedzi upłynął dwa tygodnie temu. Zgodnie z prawem mam obowiązek zawiadomić prezydenta miasta o niedopełnieniu obowiązków przez pana, gdyż opieszałość zagraża życiu mieszkańców miasta.

Sapanie ustało.

– Co pan proponuje? – rzekł dyrektor napiętym głosem.

– Awarię trzeba natychmiast usunąć.

– Ale jeśli ten wyłącznik się oderwie, mamy powódź na ulicach i brak wody w budynkach! – zaoponował dyrektor.

– Opisałem w raporcie pewien specyfik, nazwijmy go klejem; to mój wynalazek, który umożliwi uszczelnienie luzów.

W słuchawce panowała cisza.

„Przegrałem, jestem skończony, żona mnie rzuci, takiego nieudacznika, palnę sobie w łeb” – myślał inżynier.

– Proszę przyjść do mojego biura i przynieść ten specyfik. Przygotuję dokumenty patentowe i umowę. Kupię od pana przepis. Cenę ustala pan, tylko w granicach rozsądku. Chociaż pan dyktuje warunki, niech pan nie puści mnie z torbami. Proszę – dodał po długiej chwili, z wyraźnym trudem. To słowo było mu obce, ale teraz bronił swoich pieniędzy i stanowiska. – Proszę – powtórzył, jakby się uczył – niech pan przyniesie ze sobą ten specyfik. Musimy szybko zażegnać tę klęskę.

Starszy strażnik wykonywał swój rytuał. Wezwał kolegów i przydzielił im zadania. Każdego uczynił odpowiedzialnym za inny odcinek pracy. Strażnikowi oddelegowanemu do kontroli pogotowia kazał przypilnować kierowców, by zrobili szybki przegląd samochodów. Miały być sprawne. Kazał mu również skontaktować się z garażami dysponującymi częściami zamiennymi. Miały przygotować cały zapas i wezwać wszystkich techników na dyżur.

Ponad jego głową w ostrym słońcu krzyżowały się niewidzialne linie komunikacji intertelowej jak ślady w powietrzu po gestach nowoczesnych kapłanów, wykonujących przygotowania do modlitw, które mogły odwrócić plagę zesłaną przez rozgniewanych bogów. Biegły słowa i zaklęcia, kończące każdą modlitwę: „niech się tak stanie”. I właściwie od tysięcy lat nic nie uległo zmianie oprócz środków komunikacji.

Przydzielił również pieczę nad strażą pożarną. Nakazał kontrolę wozów, urządzeń do komunikacji oraz chemicznych środków gaśniczych. Zawiadomił o nagłym podwyższeniu norm określających niezbędne zapasy, zmusił do natychmiastowego ich uzupełnienia. Spowodowało to gorączkową bieganinę od magazynów do hurtowni i

przenoszenie worków na wózki, a potem na samochody.

Kontrolerzy ganiali, jakby czuli na swoich karkach oddech surowego kierownika. Wrzeszczeli na wszystkich. Kazali rozwiązywać opakowania i sprawdzać, czy wewnątrz naprawdę znajduje się proszek gaszący ogień. Sprawdzali liczbę koców termicznych i kazali liczyć skrzynki z maściami leczniczymi i proszkiem do posypywania ran. Dopiero teraz okazało się, jak wiele jest niedoborów i niedociągnięć. Kontrolerzy klęli na czym świat stoi i wypisywali raporty karne. Stali w magazynach z elektronicznymi notesami w rękach. Rozwścieczeni, że zagnano ich do pracy, wszystkim dawali w kość. Nie odpuszczali, póki wszystko nie zostało uzupełnione i sprawdzone. I dobrze.

Takie sceny rozgrywały się we wszystkich obszarach służb miejskich. W szpitalach technicy siedzieli przy komputerach i sprawdzali realizację zamówień. Przeglądali listy specyfików i kazali drukować szczegółowe dane. Kierownicy pędzili do magazynów leków zastrzeżonych, zastępujących defibrylację, którą niegdyś stosowano przy zatrzymaniach akcji serca.

Lekarze odpowiedzialni za pracę pielęgniarek przeglądali grafiki dyżurów i wzywali wszystkie rezerwy. Złościli się na ciągłe ponaglanie ze strony straży miejskiej, bo jakiś nawiedzony stróż prawa, namolny facet, który nie rozumie specyfiki szpitali, wciąż domagał się bezsensownych kontroli. Nakazywał, by szpital dysponował wszelkimi lekarstwami, jakby miał nastąpić koniec świata, poprzedzony epidemiami i zarazą sphywającą wprost z nieba. Stan irytacji wobec tej bezcelowej w ich mniemaniu akcji panował do chwili, kiedy przywieziono pierwszego pacjenta. Była to młoda dziewczyna, która dostała zapaści.

W szpitalu zapanowała cisza. Jak na rozkaz przestały dzwonić telefony i cały personel mógł skupić się na wypełnianiu swoich obowiązków. Szybko okazały się przydatne rzadko stosowane lekarstwa. Technicy przy komputerach po raz kolejny powtórzyli, że w razie awarii zawodzi człowiek, który nigdy nie jest przygotowany na nieszczęście. A już na pewno na jego rozmiar.

Strażnik wiedział, że zrobił, co do niego należało: wszystkie służby miejskie zostały postawione w stan najwyższego pogotowia. Wierzył, że żaden z jego kolegów nie zawiedzie. Zdawał sobie sprawę, że bez pełnej mobilizacji wszelkie akcje będą mało skuteczne, gdyż ogłupiały tłum, traktowany jak stado, przeciwstawi się działaniom porządkowym i uniemożliwi, a na pewno mocno utrudni niesienie pomocy. A gdy się grupę podzieli na jednostki i każdej przydzielili konkretne zadanie, wtedy obudzi się w ludziach odpowiedzialność i odwaga, wtedy wykażą się inicjatywą.

Skontaktował się więc z portalem wolontariatu.

– Nazwijmy tę akcję Niebieska Wstążeczka – powiedziała jego rozmówczyni.

Słońce szło powoli w górę. Dopiero za godzinę miał się rozpocząć ruch miejski, a już

było bardzo gorąco. Strażnik wciąż wykonywał telefony i sprawdzał realizację poleceń, aż wreszcie stało się to, co musiało się wydarzyć. Wiadomości zaczęły napływać zewsząd na biurko komendanta.

– Kto wywołał cały ten bajzel?! – wrzasnął. – Co się dzieje?

Darł się coraz głośniejszym głosem i wzywał do siebie po kolei kierowników sekcji, którzy wbiegali do gabinetu. Nie słuchali go jednak, gdyż bez przerwy odbierali komunikaty.

– Kto postawił na nogi wszystkie służby? Kto jest za to odpowiedzialny? I co się za tym kryje?

Wciąż jednak nadpływały nowe wiadomości i komendant w końcu wykrztusił z siebie bezradną opinię:

– Tego już nie da się zatrzymać.

Mimo że dowodził największą służbą w mieście, nie wiedział, co robić. Czekał tylko na wezwanie od prezydenta miasta. Widział w wyobraźni, jak stoi w jego gabinecie i powtarza się sytuacja sprzed kilkunastu godzin, kiedy to osobiście zrywał dystynkcje swojemu pracownikowi, który naraził się ważniejszym od siebie. Z pewnością prezydent nie będzie go szarpał ani nie każe kopniakiem wyrzucić za drzwi. Dysponował boleśniejszymi metodami. Kompromitacja wobec całego miasta! Ogłoszenie w środkach masowego przekazu, na jakie straty naraził miasto nieodpowiedzialny komendant. Wielkie, krzyczące tytuły w gazetach! Potępiające komentarze w telewizji! Coś na kształt współczucia pojawiło się w twardym sercu komendanta, kiedy przypomniał sobie sposób, w jaki potraktowano młodego, nadgorliwego strażnika. Każdy ma władzę, przed którą drży. Zwykli ludzie tracą tylko pracę i szacunek w oczach kolegów i rodziny. Ci ważniejsi, wyżej postawieni, przywykli do zaszczytów, profitów, luksusów, popularności, mają do stracenia znacznie więcej. Im wyżej wleziesz, tym niżej upadasz.

Komendant wyliczył, że ma przed sobą jakieś dwie godziny urzędniczego życia. Słońce właśnie zajrzało przez okno i poczuł, jak bardzo jest gorąco, mimo wczesnego poranka. Grzało go w kark i pocił się obficie ponad sztywnym kołnierzykiem służbowej koszuli. Chociaż liczył minuty do swej cywilnej śmierci i usiłował się skupić nad wymyślaniem usprawiedliwień, poczuł, że wręcz go parzy. Przesunął ręką po karku: skóra była rozpalona.

Wyciągnął ramię i chwycił za sznurek żaluzji, chcąc zasłonić okno. Szarpnął raz i drugi, ale rolety nadal tkwiły zwinięte pod karniszem, gdyż nigdy dotąd ich nie rozkładano. Mimo przygnębienia musiał wydostać się ze studni swych czarnych myśli i unieść zadek z krzesła. Sznurek od rolety był oplątany na gwoździu. Kiedy próbował go rozwinąć, gwoździez wypadł, a zwinięta roleta rozsunęła się nieco, ale tylko z jednego boku.

Poczuł pragnienie, ale w karafce stojącej na biurku była tylko zdechła mucha, schnąca tam od zimy. Poczłapał do swojej prywatnej łazienki, by napić się wody.

Woda, owszem, poleciała po odkręceniu kranu, jednak na umywalce nie znalazł plastikowego kubka. Zajrzał do szafki, gdzie zazwyczaj – co pamiętał dobrze – znajdowała się cała rolka kubeczków. Niestety na półce została tylko rozdarta folia po kubkach. Nie zamierzał pić z garści ani prosto z kranu; to było poniżej jego godności komendanta straży miejskiej. Zaraz zaprowadzi odpowiednie porządki na swym posterunku, zagoni wszystkich do roboty.

Kiedy wrócił do gabinetu, usiłował włączyć klimatyzację – pokrętko zostało mu w ręce. Próbował przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek posiadał wentylator biurkowy. Słońce wbijało mu szpile w twarz. Powietrze było aż gęste z upału. Rzucił się desperacko do okien, ale te nie otwierały się ze względów bezpieczeństwa; szyby były kuloodporne.

Pokręcił głową, rozluźniając kołnierzyk koszuli, który nagle zrobił się za ciasny. Wyszedł do głównej sali, gdzie stało wiele biur. Obok każdego – krzesło, a na oparciu marynarka od służbowego munduru. Na każdym z krzeseł siedział strażnik w rozpiętej koszuli. Niemal każdy przecierał twarz mokrą chusteczką i wrzeszczał do swego komputera, na którym widział swój odcinek miasta.

Dopiero teraz komendant zrozumiał. Na ulicach słaniali się ludzie. Karetki jeździły gęsto. Co kilka metrów stał saturator z wodą. Wszędzie uwijali się młodzi ludzie z niebieskimi wstążeczkami przy kołnierzykach, noszący torby pełne butelek z wodą. Rozdawali je idącym ludziom, którzy szybko odkręcali nakrętki i unosili butelki do wysuszonych warg.

Chłopcy porozumiewali się ze sobą i szybko podążali do miejsc, gdzie były większe skupiska ludzi, a tłumy przewalały się przez miasto. Rozpoczął się ranek. Właśnie wyszła kolejna grupa pasażerów z kolei podziemnej. Niektórzy osłaniali twarze, inni trzymali rękę na piersi, w której serce kołatało rozpaczliwie. Matki wachlowały dzieci, mężczyźni osłaniali od żaru swe żony. Słońce patrzyło z wysoka i nie interesowało się cierpieniami ludzi.

Czasami ktoś upadał. Nieomal natychmiast pojawiała się dziewczyna z niebieską wstążeczką, zawiadamiała pogotowie, a czekając na karetkę, unosiła głowę leżącego i zwilżała mu twarz wodą. Często pomagał ten prosty środek. Wtedy pomagała osłabionemu upałem usiąść i podawała coś do picia, pilnując, by nie pił zbyt łąpczywie. Człowiek pokrzepiony chłodną wodą i posilony dobrocią, znajdował w sobie dość siły, by wstać na nogi i powrócić do domu lub udać się do najbliższego punktu sanitarnego.

Na rogach ulic i na większych skrzyżowaniach stały białe wozy z czerwonym krzyżem. Tu przyjmowano niedomagających, aplikując im środki nasercowe i wzmacniające. Wciąż doprowadzano słaniających się ludzi. Jednak nikt nie pozostawał bez pomocy.

Teraz do akcji wkroczyli sklepikarze i wielkie supermarkety. Wyniesiono pojemniki pełne lodu lub ustawiono na chodnikach zamrażarki z otwartymi drzwiczkami. Ludzie korzystali z tej wygodnej formy ochłody, czerpiąc garściami lód i przykładając do rozpalonych twarzy. Kobiety pocierały kostkami lodu dekolty.

Restauratorzy wystawiali stoliki na trotuary i rozpinali ponad nimi parasole. Na każdym stole stały butelki z wodą. Niektórzy stawiali miseczki na pieniądze, inni nie oczekiwali zapłaty. Przechodnie przysiadali, by odpocząć, ugasić pragnienie. Czasami zostawiali drobne, czasami mówili: „Jakie to miłe miejsce, przyjdziemy tu na obiad”.

Blisko południa wybuchł pierwszy pożar. Zapaliły się race w fabryce fajerwerków. Na szczęście tego dnia nikt tam nie pracował. Taki wymóg bezpieczeństwa wymusiła na nich straż. Czerwone samochody przybyły prawie natychmiast, ale tylko po to, by dokończyć gaszenia. Służby fabryczne od razu wiedziały, co mają robić.

„To mi się chyba śni” – powiedział do siebie komendant. Musiał jednak się ocknąć i podejść do drzwi, by wpuścić chłopców z butelkami. Jego załoga była zbyt zajęta. Potem sam stawiał wodę na każdym biurku. Usunął się skromnie na bok, zastanawiając się, do czego mógłby się przydać; przecież on też miał w sobie pokłady człowieczeństwa.

Słońce patrzyło z wysoka, testując ludzi. Kryzys ujawnia prawdę.

Wolontariusze znaleźli go nad ranem, kiedy twarz mu tak spuchła, że niczego nie widział. Pochylił się nad nim; leżał na brzuchu, z głową na czarnym worku od śmieci.

– Cuchnie – powiedziała dziewczyna, która kończyła liceum i musiała zaliczyć staż w Ośrodku Pomocy, aby dostać się na socjologię.

Chłopak, który jej towarzyszył, musiał harować jako wolontariusz, czyli za darmo, w nadziei, że wyrobi sobie kontakty i znajomości, dzięki którym wślizgnie się na płatny etat, gdy tylko pojawi się jakiś wakat. Nie odczuwali współczucia dla pokrzywdzonych przez los, ale we własnym interesie pracowali porządnie i bez amatorszczyzny.

– Trzeba sprawdzić, czy nie jest ranny.

– Lepiej go nie ruszać – orzekła dziewczyna. – Może mieć uszkodzony kręgosłup.

Obszukali go, w kieszeniach nie miał żadnych dokumentów oprócz pogniecionej kartki papieru z zamazaną pieczęcią.

Dopiero pochyliwszy się, zauważyli, że z ust mężczyzny wypłynęła krew i zakrzepła na czarnej folii. Chłopiec dotknął szyi leżącego. Dziewczyna patrzyła z podziwem na jego profesjonalne ruchy. Widział to, chętnie by się przed nią bardziej popisał, ale nie miał pojęcia, co powinien zrobić w takiej sytuacji. „Co mówiła główny psycholog?” – usiłował sobie przypomnieć.

– Uważam, że możemy podjąć akcję – rzekł, udając spokój.

– Ale jaką akcję?

Naprawdę nie wiedział, co odpowiedzieć. Jeżeli ruszą go, a on rzeczywiście ma



uszkodzony kręgosłup, facet zaliczy *exitus letalis*. Jeżeli obrócić go na plecy, może się zadławić własnymi wymiocinami, więc i ten sposób zaimponowania dziewczynie odpada. Można oczywiście wezwać samochód z Ośrodka, ale jeżeli w trakcie oczekiwania facet wstanie i odejdzie, kompromitacja pewna.

– Powiedz mi, czy żyje? – dopytywała się dziewczyna.

– Sprawdź sama – zaproponował. – Musisz zyskać praktykę.

Dziewczyna zaczęła się wdrapywać na leżące worki, usiłując chwycić się czegokolwiek; chłopak pomyślał, że nie będzie mu wdzięczna za ten pomysł praktykowania.

Zamroczony wściekłością umysł odbierał informacje – jedyne, jakie były dostępne dla tego typu mózgow. Przebił się do warstw energii, leżących tuż ponad Ziemią i owijających ją ciemnymi warstwami, niby smog unoszący się na miastem. Były jak czarna bibuła i owijały glob dokładnie ze wszystkich stron. Widział pochyloną sylwetkę człowieka, który niesie w walizce bombę, a potem zostawia ją w wysokim i gęsto zaludnionym budynku. Ten obraz bardzo go ucieszył.

Następny przyniósł mu jeszcze więcej satysfakcji. Ktoś szedł długim i ciemnym tunelem wzdłuż połyskujących szyn. Co chwila musiał się odsuwać i przyciskać plecami do ściany, gdyż mijały go w pędzie pociągi wypakowane ludźmi. Przez okna dostrzegł wielu młodych ludzi, wiele kobiet i dzieci. Jeżeli swoją torbę, przypominającą wyposażenie montera, zostawi na skrzyżowaniu torów tuż obok rozwidlenia tuneli, być może uda mu się wysadzić nawet trzy pociągi.

Chętnie odczytywałby zapisane scenariusze wydarzeń jeszcze dłużej, jednak ich energia była stosunkowo ulotna. Szczególnie od góry rozpraszała się i unosiła, przechodząc w zakresy, gdzie mogła zostać odczytana i przetworzona przez rejestratorów długoterminowych sekwencji przyszłych wydarzeń.

Strażnik otworzył oko i zobaczył rękę, która chciała go pochwycić za szyję. Uniósł ramię, złapał tę rękę i ścisnął z całej siły. Dziewczyna krzyknęła i szarpnęła się. Worki spadły, leżący na nich mężczyzna zsunął się na ziemię, lecz nie poluzował chwytu.

– Atak na funkcjonariusza! – wrzasnął chłopak przez telefon i usiłował pomóc dziewczynie, ale nie był ani szlachetny, ani odważny. Więc tylko niemrawo próbował oderwać palce zaciśnięte na przegubie.

Wieczorem stara kobieta siedziała w barze, jedząc potrawy, jakie zwykli spożywać mieszkańcy tej planety. Wzięła sobie gazetę ze stolika i przeglądała wydarzenia z całego dnia. „Pracownicy Służb Miejskich obezwładnili niebezpiecznego psychopatę, który podawał się za strażnika. Zaatakował dwoje pracowników Opieki Społecznej. Kobietę ze złamanym nadgarstkiem odwieziono do szpitala, mężczyznę w stanie szoku odesłano do punktu udzielania pomocy. Psychopata zdemolował ambulatorium i wybiwszy okno, uciekł. Został uznany za niebezpiecznego maniaka na tle religijnym,

gdyż wykrzykiwał jakieś bujdy o Sądzie Ostatecznym i trzebieniu ludzkości, które się właśnie dokonują”.

„Z ostatniej chwili. Strajk na kolei. Dzisiaj w nocy przestaną kursować pociągi”. Przeczytawszy ten komunikat, stara kobieta zaczęła się głośno śmiać. Widziała tunel, leżącą torbę montera i ekipę robotników torowych, którzy korzystając ze strajku, na spokojnie przeglądali spojenia szyn.

– Co to jest? – zapytał jeden z nich. – Lepiej nie dotykaj, sprawdźmy.

„Wyglup nastolatka. Osiemnastolatek zawiadomił policję o podłożonej bombie. Ekipa nie znalazła ładunków wybuchowych. Chłopakowi grożą trzy lata. Będzie musiał ponieść koszty operacji policyjnej”.

– Nawet nie potrafią zapamiętać adresu – burknęła stara kobieta. – Mówiłam, że wszystko się gmatwa.

Zobaczyła nagle, że walą się domy i przygniatają ludzi. Wybuchł wulkan i lava zmiotła miasta. Zapadła się kopalnia i lava błota zalała całą prowincję. Wszędzie potrzebowano ekspertów od identyfikacji zwłok, specjalistów od określania DNA, identyfikowania szczątków ludzkich, które leżały zawinięte w czarne worki, dziwnie niewielkie, zawierające tylko drobne fragmenty ciał, a potem nawet te kawałki zmniejszano, przenoszono do plastikowych woreczków, aż wreszcie na szkiełka próbek laboratoryjnych z dużym, choć niewidocznym numerem, który dopiero pod mikroskopem skaningowym zamieniał się dane istoty ludzkiej...

– Dobrze, zgadzam się – powiedziała – ale chcę polatać. Taka była umowa.

Opuściła głowę na stół, a jej ciało znieruchomiało, aby się już nigdy nie poruszyć. Ludzie wokoło patrzyli, potem ktoś wezwał biały samochód.

Wiedziała, że wystarczy niewielki wysiłek, drobne napięcie wszystkich mięśni i uniesie się ponad podłogą, wyleci przez drzwi na zewnątrz. Stało się. Czowała się szczęśliwa, wolna od troski o ten świat. Unosiła się ponad ulicami, ale nie wlatywała ponad dachy. Chciała pozostać blisko ziemi i ludzi, aby przyjrzeć się im jako wolna istota, bez obciążeń wcielenia. Zaglądała do okien i przez szklane drzwi sklepów, pewna, że nikt jej nie wygoni ani nie obrazi. Nareszcie czuła się dobrze. I ciało, i świat przestały przynosić jej cierpienie.

Trwało to jakiś czas, jednak wiedziała, że w końcu ulegnie swemu poczuciu obowiązku; poza tym zgodziła się na przedłużenie swego pobytu na tej planecie. Odbывała tu praktykę, staż, okres próbny. Odbierała transfery, wyjawiała ludziom przeznaczenie, ratowała świat, jak tylko umiała. Wiedziała, że nie może ingerować zbyt energicznie i nikogo jej nie przyślą do pomocy.

A kiedy już się nacieszyła swobodą, zaczęła szukać odpowiedniego wcielenia. Zachowa swoją świadomość, oczywiście. Taka była różnica pomiędzy urodzeniem a wcieleniem.

Kierowca wiół starszego strażnika z Ratusza, gdzie odbyła się wielka uroczystość. Zebrało się tam wielu spośród tych, których ocalił od śmierci w upale. Dopiero kiedy słońce zaszło, a nawet jeszcze później, kiedy zrobiło się chłodniej i wreszcie było czym oddychać, zaczęto szacować efekty działań i szukać tego, który wszystko rozpoczął, doznając iluminacji i wypełniając rytuał. Kiedy wspiął się na stopnie i stanął przed dostojnikami, a najważniejszy z nich przypiął mu medal z brylantów, z tłumu wyskoczył jego były partner, bez munduru, z opuchniętą i pokrwawioną twarzą, i rzucił się na niego z nożem. Ostrze ześlizgnęło się po medalu, nie czyniąc mu żadnej szkody. Szaleńca obezwładniono. Resztę życia spędzi w zamknięciu.

– Moja babcia się zmieniła – powiedział kierowca. – To bardzo dziwne. Zaczęła mówić rzeczy zastanawiające, czasami jeszcze zachowuje się zwyczajnie, zajmuje się domem. Ale nagle, jakby jakaś fala zalewała jej umysł, wspomina o trudach wcielenia i obowiązku wobec świata. Wygląda to tak, jakby nakładały się na nią dwie osobowości i jedna zamazywała drugą. Przepowiada przyszłe wydarzenia. Mówi o wielkich sprawach, a z takich mniejszych, codziennych, obwieściła, że będę cię wiół z Ratusza i ty wszystko zrozumiesz, i rozpoznasz ją od razu, więc nie masz się martwić. Powiedziała też, że musisz jej pomóc, bo inaczej będzie musiała pełnić rolę tej, która odcina przędzę. Czy ty coś z tego pojmujesz?

– Tak – powiedział wstrząśnięty strażnik. – Jak brzmi jej główna przepowiednia?

– Powiedziała, że Sąd Ostateczny już się dawno zaczął.

– I potrwa – dopowiedział strażnik.

# Dwa srebrniki

– Jestem destruktozem.

Tak mówił o sobie Jacek Plapla. A kim był? Śmieciarzem kosmosu. Rozwalał konstrukcje pozostawione na orbicie. Były to bowiem zbędne rupiecie. Ta, ta, ta, walił w obręcz fundamentów. Łup, łup, rozkruszał skorupy hal z wybitymi oknami. Trach, bryzg, poprawiał celnym strzałem w ściany fabryki. Kruszyły się i opadała sypka lawina. Podstawiał wtedy wysawy huverów. Wii, wizg, wsysały drobny kurz betonkitu. Gruz tymczasem wpadał do worów. Napełnione, włókł na sznurach za swym pojazdem, potem ustawiał go w pozycji: „kucaj” ponad składowiskiem – i upuszczał ładunek.

Wory spadały po kolei, trafiając w kwadraty wyznaczone do magazynowania. Po robocie zaklepywał dziurę w przestrzeni. Po naniesieniu współrzędnych do rejestru wyruszał od razu na następną orbitę, gdzie w ciszy obracały się puste stacje naukowe, które dawno opuściła kadra i studenci, zabierając cenne wyposażenie.

Wszystkie orbity były zapchane budowlami. Wciąż jednak przedsiębiorcom udawało się wetknąć wąską konstrukcję w wolny moduł. Wyrwawszy trochę kasy, szybko zamykano firmę, pozostawiając szkielety budynków.

I tu czekało zadanie dla destruktorów: usunąć te śmieci. Więc łup i wizg! Kiedy skończył, natychmiast mógł gnać dalej, dokądkolwiek wysłałaby go firma Wilkowsky & Brown DezComp.

Dużo tego było. Kiedy nocą podnosił głowę ku niebu, widział na tle gwiazd czarną, szeroką obręcz zbitego gruzu. Wkoło Ziemi wirowała jak diabelski młyn. I tak kręcił się biznes, a na nim kręcił swój interes Jacek Plapla.

Marzył, że natrafi na zapomniany skarb. Nie myślał o woreczku hodowanych w próżni diamentów wielkości jajka czy o pozostawionych po antylaserach rubinach, które można będzie korzystnie sprzedać wspólnie z Ruskimi. Marzenia nie były konkretne – to miało być po prostu coś, co ustawi go na całe życie. I kiedy wyruszał na kolejną misję, jak nazywał robotę, śnił, że właśnie tym razem to jemu, a nie innym, trafi się skarb.

Nic na wojsku nie zarobił, tylko się natyrał. Hangary zbudowane na najdalszej orbicie były zawsze idealnie wyczyszczone. Każde urządzenie wywieźli żołnierze, o ile go przedtem nie przehandlowali. Metalowe haki z podłogi i uchwyty ze ścian zostały wyrwane przez złomiarzy.

Chłop był z niego uczciwy, z kośćcami, ale żeby wyżyć z pensji, musiał ciut

zakombinować. No, nie kradł, ratował dla innych całkiem dobre jeszcze rzeczy. Kiedy musiał zdmuchnąć laby, bo zdychały bez dotacji, krwawiło mu serce. Stały tam jeszcze w szafach butle cennych odczynników. Szkoda tyle dobra w dym zamienić. Rozum chyba by postradał, by rozwalać tyle chemii. Toteż tylko sygnał dawał i sprawna brygada meldowała się na miejscu. Obierała wsio do ości, potem on rozwalał mury. Kiedy na bazarach wszystko się spuściło, wielodzietne rodziny długo dzięki temu żyły. Niezłe miał z tego obrywki.

Kiedy puszczał je w sobotę w pubie, mógł wreszcie zaszaleć. Nigdzie jednak się nie szlajał, wracał zawsze do modułu mieszkalnego w galerii wielowca, oczywiście z pannicą u ramienia. Ta już w windzie chichotała głupio, a on wiedział, że jest nim do szału podniecona, bo jej pachy ostro było czuć dezodorantem.

I choć w jeden dzień potrafił przetracić nawet całą tygodniówkę, nie żałował sobie ani jednej przyjemności: stać go było na popcorn w papierowych kubkach i rozrywki z last sekund.

I choć dobrze było, on pragnął być kimś i chociaż raz mieć tyle kasy, by zostało. I nie trząść się, że od jutra jesteś fajed: wylany. I żyć w trybie: pokonuj konkurencję co dzień, spychaj biedaków takich jak ty. No i chciał być wolny, i żeby komputer paskowy na ręce nie był zawsze w programie „Chodź no, Plapla, tu”.

I właśnie dzisiaj, w piątek po robocie, gdy odstawił swego lota na plac i wybierał się na piwo, na przegubie pokazał się kod czerwony. Spojrzał Plapla i nie wierzy. A więc znowu czyta. Umiał czytać, kończył kiedyś kursa. Przeraził się nie na żarty. Nigdy jeszcze tak nie było, żeby go wzywali. I gdzie!

„Wywalą bez odprawy – myśli Plapla. Mróz po kościach leci. Strach przed nędzą go ogarnia, która śmierdzi gorzej niżli śmieci, które sprzątał. – Coś się musiało stać. Cicho było przecież tyle lat, ani jedna rzecz się nie wydała. Teraz nagle sprawa się rypla? Czyżby ktoś im doniósł o drobnym handelku, jaki zrobiłem z Saszą i kolegą Ciao, gdy koszary rozwalałem w pył?”

Te konstrukcje wisiały latami. Były ciężkie i aż rude od rdzy. Ale w skrzyniach na podłodze magazynów pozostały pociski, fabrycznie nowe i lśniące od smaru. Skarb w trójkę zabrali i sprzedali buntownikom. Ponoć jakąś wolność wsparli. Cudzą niepodległość tym transportem broni wyrąbali. Ale ich to nie obeszło, chcieli tylko kasę.

Czyta z paska na przegubie: „Stawić się do managera”. Rusza Plapla. Co trzy kroki robi – staje. Z przerażenia iść nie może.

Jak wyżyje, gdy go zwolnią? Nic przecież nie umie, tylko naciskać spust broni. Każdy wie, jak to robić; komp celuje. Plapla stanął przed progiem gabinetu. Stoi, udaje, że czeka, aż pozwolą mu wejść.

Nagle słyszy: „Wchodzić!”.

Jest manager. Bynajmniej pan Wilkowsky czy & Brown, ale dyrektor. Pod krawatką, zwyczajnie, no i w garniturze. I choć Plapla pierwszy raz go widział, od razu się zorientował, że coś jest nie tak. Kiedy bowiem Jacek Plapla wszedł na miękkich nogach, kolana dyrektora też były ugięte, a nogi wykrzywione niby dwa nawiasy. I tylko kant biurka chronił go przed upadkiem. Wisiał na nim zaczepiony tyłkiem i z całej siły opierał się blat. Ręce miał zajęte. Trzymał je przed sobą, wyciągnięte prosto niby drągi. Palce zaciśnięte do białości. A w nich kartka. Nie byle bibuła z recyklingu – Plapla się przecież na tym znał. To była kartka z prawdziwego szpargaminu.

Dyrektor wybałusza oczy, szklany wzrok wlepia w linijki pisma. Czyta, czyta, znowu czyta. I nie wierzy. Rozkaz: „Wykonać natychmiast”. Ale kto to robi, czyżby ten głupek nieszczęsny, Plapla? Ramię managera opadło bezwładnie, chociaż palce wciąż zaciskał na dokumencie. Spojrzał na Jacka, ale wzroku nie mógł skupić, bo mu oczy na boki latały.

Tymczasem destruktor zatrzymał się tuż za progiem gabinetu i pokornie czekał na instrukcje. Widział nie tylko krawatkę i garnitur managera, ale i jego wybałuszone oczy, przerażenie we wzroku i białe kostki zaciśniętych palców.

„Chyba nie bankrutuje? – pomyślał i też się przestraszył, ale tylko trochę. – A mnie zresztą co do tego! Śmieci i tak wywozić musi ten czy inny dezkomp, a ja jestem najlepszy: konkurencja mnie weźmie z pocałowaniem ręki. Ich kłopot, nie mój”.

Tak się pocieszał, choć przed chwilą co innego w strachu myślał. Na wszelki jednak wypadek oparł się plecami o futrynę. I aby dodać sobie odwagi, gryzł wyjętą z kieszeni wykałaczkę. Nie pokaże po sobie niepokoju.

Pan manager nagle krawatkę poluzował, bo go dusiła, i brodą w obie strony pokręcił, lewo, prawo: tak i nie.

– Zdezintegruj City Lux – szepnął. I się zatchnął. Zamilkł, przełknął ślinę, znowu podjął wątek: – W pył rozwał to miasto. Wszystko – znów ucichł na chwilę. – Nic nie ma pozostać. Ani scalak na scalaku.

„Matko – jęknął w duchu Jacek, a przerażenie poderwało mu włosy na głowie. – Stało się! City Lux: korona świata, naszyjnik z brylantów. Luksus, władza i pieniądze złote. Centrum świata, jego duma – myślał Plapla. – Niemożliwe, to jakaś błaga”.

I na managera niby głupek się zapatrzył. Gębę rozwarł, oczy wytrzeszczone w źrenicach dyrektora utkwiał.

– Teraz, już, natychmiast! – wrzasnął dyrektor, jakby go coś opętało. – Odmarsz, wymarsz i w tył zwrot!

Darł się ciągle, w kółko ganiał po gabinecie, za głowę się chwytał, ręce ku niebu wznosił.

Skoro każą mu rozproszyć to bogate miasto, to musi być przekręt. Więc on też im numer wytnie. Bo tam, w City, tylko luksusmeni pachnący bywali, pozwalając się zabawiać. Nikt inny nie wiedział, jak tam naprawdę jest, choć przez całą dobę w obie

strony gnały szluskorwety z szoferami w mundurach. W nich, rozwaleni na pufach, leżeli wespół prezydenci z mafiosami, mistrzowie sportu, gwiazdy porno, właściciele pól naftowych. A na miejscu w City Lux, przy kolacji czy w sypialni, ustalali, które rządy obalić, kto dostanie Nobla i po ile są aktualnie narody.

To był worek złotych monet, które tak brzęczały, że cały świat jęczał.

Ale każdy na świecie oddałby pół życia, by tam spędzić choćby dzień. A ten, kto ten raj zobaczył, nie zapomniał go nigdy. No i teraz taki Plapla ma to wszystko zdmuchnąć? Zniszczyć złoty bufet, łoża z baldachimami i pełne kasyno? O nie, to jest biznes jego życia. Okazja, na którą tyle czekał. Forsa, o której codziennie marzył.

Rankiem, gdy się już ogolił i użył „Newsmarka” – by poklepać policzki, puc, puc, na młodość – stawał jak zawsze przed swym tremo. Zadzierając brodę, spoglądał na siebie i kładł rękę na piersi, wsuwając trzy palce między guziki piżamy. Myślał o tym, jak wielkie mógłby sobie zafundować przyjemności, gdyby miał kasę. Wiedział, czego chce: cały tydzień wakacji i cygaro za piątala. I miałyby szacunek, to pewne jak w banku, nikt by do niego „Jacku” już nie powiedział, każdy tylko: „panie Plapla”. Takie marzenia miał Jacek Plapla!

A teraz! Bogactwo City Lux będzie całe jego. Wszystko, co zgromadzili, on wywiezie: ładownie zapcha gratami po sufit, rolki dywanów ułoży jak papierosy w pudełku. Pewnie mają tam firanki, na mus wiszą żyrandole. A skoro wszystko jest markowe, to i nie zedrze się tak szybko jak szajs z marketu. Fanty się wyprzeda, duży interes nareszcie zrobi. Potem kasę puści się w ruch, może kupi obligacje i zabezpieczy się już do końca życia. Wtedy, ach, co wtedy! Luz – gdy się ma kasę i nie trzeba długo gmerać w portmonetce, by dwoma palcami wyłowić miedziaka brakującego do piwa.

Przygryzł mocniej plastikową trawkę, wciąż nonszalancko oparty o futrynę. Rósł – choć i tak był duży i przystojny ten cały Plapla. Teraz nawet jakby przystojniejszy, nogi jakby dłuższe, biodra węższe i te bary! Oparł się lekuchno ramieniem o futrynę ten przystojny do szału Dżeki, pan Plapla.

– Stamtąd nie wolno ci zabrać nawet guzika! – pisnął dyrektor przez ściśnięte gardło, gdy Plapla na jawie oczami pijaka oglądał swój sen.

– Ja nigdy – bąkał durny Plapla. – Co nie moje, nie dotknę. Wszak mamusia mnie uczyła, że mi ręka odpadnie.

– Miała rację! Wiesz, co ja bym z tobą zrobił?! To se popatrz!

Ręce na szparginie się zacisnęły jak na szyi Jacka, palce ugniatwały kartkę. O, wysokiej był jakości. Po trzech ruchach stał się kulką, zmiękł i zamienił się w gumę. Wepchnięta do ust, dała się od razu połknąć, gulp! Teraz już mogła podjąć swą wędrówkę przez organizm, aż do jego końca. Jacek w mig pojął tę metaforę: to samo by manager zrobił z nim, swym specem od śmieci.

– I tylko pamiętaj, ani mru-mru nikomu. Tajemnica top secret, bo na pysk z roboty wylecisz!

Ruszył lekko dłonią, w której przedtem ścisnął kartkę: „Won!”.

Gest tak prosty, a tak wiele znaczył. Drzwi wahnięciem wypchnęły Dżekusia na zewnątrz. Kijem groźby dostał po grzbiecie. Szczęście, że nie kopa w tyłek. Oj, będzie się pilnował, mordeczka na kłódkę.

„Skąd powziął podejrzenia wielki pan manager od Browna?” – myślał Plapla. Wychodząc, potknął się o swoje długie nogi w progu gabinetu. Czyżby jakiś donos się doszeptał do ucha dyrektora? Powiedzieli mu, że śmieciarz, pan destruktor znaczy, coś na boku kombinuje? Może znał od dawna wszelkie te machloje, lecz nie robił z nich użytku. Pewnie wiedział, że każdy musi tak robić, by, cholera, przeżyć, bo inaczej się nie da. Plapla, jak każdy, popełniał szwindelki, lekuchne, małe. Pewnie o takie niewielkie obrywki nie warto było panu managerowi robić szumu. No bo miał na swoim koncie większe przekręty.

Tyle prawdy znał o sobie. A czego się dowie, gdy zmierzy się ze złem, którego nie widać, nazwy nie ma, i skąd przyszło – nie wiadomo?

Wziąwszy kurs na City Lux, patrzył na jarzące się w oddali dyski wielkich miast. Światła paliły się w każdym z tysięcy okien. Ponad jezdniami ulic śmigały czaderskie krypy, w nich siedziały dziewczyny w niedopiętych bluzkach.

Bary gwarne do rana i pozostał o ścianę oparty w bilardowej sali lubianego bywalca stary kij. To było jego życie, kochał je, nie wiedząc o tym. Pyszne było jak gotowe danie z pudełka na następny dzień.

Dotarł na właściwą orbitę. Szedł pomostem powoli, lecz zdecydowanie. Ręce trzymał luźno na szerokim pasie, palce skierowane w dół, gdzie broń. Choć się zbliżał do tak wytwornego miejsca, był skupiony. Mimo sławy tego miasta, wszystko mogło się tu zdarzyć. Nie wiadomo, kogo jeszcze spotka i co nagle spod nóg zajęcem śmignie. Jego palce na szerokim pasie same przesunęły się trochę bardziej w dół – tam broń.

Czuł się pewnie. Był człowiekiem tylko tu, gdzie się obracały obręcze sfer i panował błękit nieskończonych pól, i była przestrzeń, i on, i więcej nikt.

Doszedł do przeciwległego krańca pomostu i zatrzymał się. Przesunął wzrokiem od lewej do prawej, wzdłuż panoramy miasteczka. Nagle na wprost niego na niebie zapłonęły gigantyczne litery: „Welcome w City Lux”. Stał chwilę, czytając literę za literą, potem przeszedł do holu. Aż usta otworzył z podziwu – chociaż wylądował w porcie towarowym, gdzie robotnicy dostarczali zapasy.

Gdy rozglądał się wokoło po obszernym pomieszczeniu, kątem oka zauważył coś dziwnego. Poza oszklonymi drzwiami mignęła dziewczyna. Pokazała twarz, zerknęła na niego, znikła. Wbiła mu się w pamięć po wsze czasy – taki był wytrenowany. Widział dłonie oparte o szybę i wargi dotykające szkła. Ktoś musiał ją popchnąć, gdy biegła. Upadła na kolana, szusnęła do drzwi, oparła się, chwila, dostrzegła go, w tył odbiła, uciekła. Błyskawicznie się obrócił, biegnąc w tamtą stronę: jeden, dwa, pięć kroków.



Kiedy pchnął oszklone drzwi, otworzyły się na oścież.

Co to? Nikogo za nimi nie ma. Stanął, myśli. Widział jej włosy, długie, ciemne, sięgające aż do piersi. Miała na sobie powłóczystą szatę, jakby szlafrok czy coś w stylu wschodnim. Skóra ciemna, śniada.

Kim była? Może księżniczką z despotycznego kraju, która musiała wyemigrować, uykając przed zaborczą partią przeciwników politycznych? Albo uciekała przed ojcem, bo chciał ją wydać za mąż wbrew jej woli? Czemu tu została? I gdzie teraz jest? Wyobraźnia Jacka wyświetlała obrazy, ale jakoś nie pomyślał, że nigdy dotąd tak żywa nie była, tak wyraźna. Z tego faktu jednak nie wyciągnął żadnych wniosków.

Nagle zatrzymał się na środku pomieszczenia i walnął dłonią w czoło. To na pewno była Irina, dziewczyna Olega. Zabrał ją ze sobą, by mu pomagała kraść.

„Obrobią mnie równo” – pomyślał.

Bał się, że koleś go ubiegli i przybyli tu wcześniej.

Już ich widział w wyobraźni, jak w następnej sali pakują, co się da, i łomami wrywają meble. Jakoś mu umknęło, że przecież nie zawiadomił ich o nowej robocie, bo manager zakazał. Czemu o tym nie pamiętał? Na mózg mu padło? Ale co? Czy systemy się rozprężyły, czy coś z głębi się wywlekło, spocone ze skundlonym grzbietem, wszechmocne i groźne, chociaż tego nie widać?

Pędem wbiegł do drugiej sali, gdzie stały fotele. Tu siadali, mówiąc cicho o tym, co i kogo sprzedać. Nikt, co nie trza, nie skapował, co planują. Tak zmyślnie ustawili fotele, że ktoś idący z tyłu, nie dostrzegał ust mówiących ani całej ważnej osoby. Dłoń jedynie zobaczył, jak z cygara popiół strząsa do olbrzymiej popielnicy, co na stole się nie ślizga i jest zawsze pusta, bo kelnerzy w mig ją czyszczą.

Położywszy rękę na oparciu fotela, wyczuł pod palcami miękkość materiału. „Pewnie derma albo nawet skóra – zgadywał Plapla. – Ale na świecie nie ma już zwierząt na wolności, więc obicia pewnie z fermowych zrobili. Musi dużo być tych ferm, sądząc po liczbie i wielkości foteli, choć nigdy o nich nie słyszałem. Ile mogą kosztować – zastanawiał się – skoro są ze skóry?”

Nagle złość go wzięła na myśl, że z ostatnich żyjących zwierząt zdarli skóry i obili nimi fotele, aby tyłki na nich sadzać.

Ruszył znowu w poszukiwaniu tajemniczej uciekinierki. Chodził swobodnie pomiędzy fotelami, rozglądając się, ale nigdzie jej nie było.

„Jak tu dużo miejsca” – uświadomił sobie Jacek, wspominając swoją dziuplę w wielowcu. Jej rozmiary z trudnością umożliwiały rozprostowanie nóg, gdy się kładł spać. Tylko tyle przestrzeni mu przydzielono, a władze wciąż wbijały wszystkim do głowy hasła typu: „Oszczędzaj przestrzeń, bo miejsca nie starczy dla twojego syna”.

Uderzyło go spostrzeżenie, że miejsca jest mało, ale tylko dla niektórych, inni mają go podwójnie albo jeszcze więcej.

– Ciekawe, dlaczego taką ciemnotę nam wciskają – mruczał pod nosem pan

destruktor, chodząc między fotelami.

Zaglądając poprzez wysokie oparcia i szukając Iriny, robił się coraz bardziej wściekły: że koleś go ubiegł i w dodatku tak z nim pogrywają.

Naraz stanął, czując, że włos mu się jeży ze strachu. Przecież Irina miała jasne włosy i niebieskie oczy. Przypomniał sobie również, że nie zawiadomił kumpli o nadarzającej się robocie.

„Wariuję – pomyślał. Rozejrzał się. – Tutaj coś niedobrego się dzieje! A może luksusmeni także dostawali tu kręćka?”

Jego myśli powróciły do tajemniczej dziewczyny. Kim była, jak jej się udało tak szybko uciec i dokąd pobiegła? Czemu tak dziwnie wyglądała? Nie umiał znaleźć żadnego wyjaśnienia. Przecież w holu znajdowały się tylko jedne drzwi, po przeciwnej stronie. Nie było innej drogi, a za drzwiami jej nie znalazł.

Uspokoił się nieco odkryciem, że skoro mogła wybrać tylko jedną drogę, to wcześniej czy później panienkę odnajdzie. Wtedy się wyjaśni, kim jest naprawdę. W każdym razie, dopóki na terenie stacji znajduje się jakaś żywa osoba, nie ma mowy o rozpoczęciu prac dezintegracyjnych.

Nie może przecież rozpylić człowieka w przestrzeni, w dodatku osobistość, która miała prawo przebywać w City Lux. Chociaż wytłumaczył sobie logicznie tajemnicze wydarzenie, jednak na dnie jego umysłu ciągle czał się niepokój. Nie nazywając sytuacji słowami, czuł, że coś dziwnego opętało przestrzeń. Strzelać jednak nie mógł. Wpierw musiał poznać tożsamość panny.

Do jego obowiązków należało: sprawdzić wszystkie pomieszczenia, by wyeliminować całkowicie niebezpieczeństwo, jakie mógłby spowodzić na człowieka. A jeżeli są tu inni? Kumple, tfu, przyjaciele pięknej damy?

Jacek Plapla pamiętał przysięgę, jaką składał, zanim zaczął walić gruz. Zresztą został dobrze wyszkolony, wszak operował niebezpieczną bronią. „Najpierw człowiek” – tak brzmiała zasada. Zawsze się jej trzymał, był porządny. Przede wszystkim chciał odnaleźć dziewczynę i przejrzeć pomieszczenia, szukając ewentualnych maruderów. Odnalezienie koleśków, którzy jakimś sposobem tu dotarli, bo ich przecież nie zawiadomił, zepchnął na plan dalszy. Bardzo pragnął się wzbogacić, lecz nie takim kosztem.

„Kolegów tu nie ma, ani Iriny” – powtarzał sobie.

Przeszedł do następnej sali i objął ją wzrokiem. Zapewne trafił na magazyn: od podłogi aż po sufit był pełen towaru. Na półeczkach z drewna tysiące drobiazgów: chusteczki do nosa, kasetki na tytoń, spinki do mankietów, nawet sznurowadła.

Plapla spojrzął na swoje buciory: solidne traktory na grubej zelówie. Wessy wokół kostek je trzymały. To oszczędzało czas. Wystarczyło w nie wejść, gdy się ubierał na akcję. „Sznurowadła płaczą w supły czas, nie rozplączesz, bo go mało masz” –

zrymował sobie Plapla.

Chusteczki również go dziwiły. Szttywne – nosa nie da się w nie wysmarkać. Znał tylko jednorazówki. „A może służyły do wączania podczas kataru” – zastanawiał się nad ich sekretnym przeznaczeniem.

Sensu istnienia spinek do mankietów nie zdołał ogarnąć. Nawet wziął je do ręki i próbował przymierzyć – swetra trzymać się nie chciały, a koszul nigdy nie miał. Bywający tu ludzie oraz ich obyczaje wydały się Jackowi całkowicie niezrozumiałe, choćby dlatego że używali przedmiotów, które były niepotrzebne, za to ich obsługa czasochłonna i fatygująca.

Na środku stał stół, na którym leżało wiele rzeczy. Porzuconych w pośpiechu, w beładzie, tylko te z brzegu zostały już przez kogoś ułożone i przygotowane do przeniesienia do sklepu.

Podszedł, bo jego wzrok przyciągnął elegancki portfel. Wziął go, otworzył. W środku znalazł dwa srebrniki, jako prezent przy zakupie. Nigdy dotąd nie widział prawdziwych pieniędzy, tym bardziej monet z kruszcu. Podrzucił je na ręce, były ciężkie. Na pewno prawdziwe. Ha, bogactwo! To się czuje.

Ktoś się szastał w sali obok – szmer jakby spódniczek. Srebro włożył do kieszeni, wcisnął wessy. Nasłuchiwał przez chwilę, ale nie potrafił odgadnąć, co tak szura, szumi, mrczy. Ręka za pas, palce na spust, kroki ku drzwiom, lekko, cicho, uszy na sztorc.

Wszedł do restauracji. Na podłodze czarny marmur, a na środku wielka biała misa, także marmurowa. W środku marmurowy chłopczyk na golasa, sika sobie wkoło, woda pachnie, zimna, tylko nura dać do misy i się pluskać.

„Tyle wody się wylewa na darmo?” – dziwił się Plapla.

W swojej dziupli posiadał wprawdzie kran i w określonych godzinach mógł korzystać z wyznaczonych limitów wody. Kąpać się chodził jak wszyscy do miejskiej łaźni i używał szybko spłukujących się proszków, które wymagały niewielkich ilości wody. Rzek na świecie prawie już nie było, tak mówiono, a oceany ledwo dyszały, zatrute przemysłowymi ściekami.

„Od ciebie zależy przyszłość Ziemi”.

Ciągle to słyszał, więc oszczędzał wodę. I czuł swą wartość, gdy mu powtarzano takie hasła. Nigdy nie pomyślał, że tylko w tym celu je głoszą. By biednym ludziom, od których nic tak naprawdę nie zależało, dać poczucie własnej wartości.

W następnej sali były książki i gazety, służące chyba do rozrywki podczas lotu z powrotem na Ziemię. Wszystkie wykonano z prawdziwego papieru.

„Skąd drewno?”

Myśl jak piorun strzeliła w łeb Plapli. Lasy dawno opakowano, wokół drzew

okręcono żółte taśmy z napisem: „Police line do not cross”. Każde drzewo uznano za pomnik przyrody.

„Z hodowlanych robią?” – zgadywał Plapla.

Czuł, że świat jest zupełnie inny, niż mu wciąż wmawiano. I nagle pomyślał, że to nie jest w porządku.

Szedł teraz korytarzem do drzwi prowadzących na zewnątrz budynku. Pchnął je, ale nie dawały się otworzyć, zamknięte od wewnątrz. Zbadał programator, wysunawszy pamięć. Przejrzał rejestrację: zapisane dane świadczyły o tym, że nie otwierano ich ani też nie zamykano od wielu dni.

Tajemnicza dziewczyna tędy nie zwiłała. Ani do żadnej z sal nie uciekła. Gdzie więc jest?

„Cudów nie ma, musiałem przeoczyć” – uznał.

Postanowił obejść wszystkie pomieszczenia jeszcze raz, aby zaspokoić swoje poczucie obowiązku. Jacek był bardzo solidny. „Absolutnie nie podejmować żadnych działań dezintegrujących, póki nie zostanie zabezpieczony materiał żywy” – powtarzał sobie określenia z książki instrukcji.

Wracając korytarzem, natrafił na tajemnicze drzwi, których przedtem nie zauważył, co go bardzo zdziwiło. W dodatku były drewniane, a więc nieprzejrzyste, toteż nie mógł zobaczyć, czy ktoś się za nimi kryje. Kiedy je otwierał, robił to powoli i z największą ostrożnością.

Uchylił je i zajrzał. Zaskoczony charakterem pomieszczenia, otworzył szeroko drzwi, złote od wewnętrznej strony, i zatrzymawszy się na progu, podziwiał pokój.

Była to sypialnia, a może buduar, ale tego słowa nie znał. Na środku stało obszerne łóżko, nakryte morelową pościelą. Prześcieradło było naciągnięte, róg gładko ułożonej kołdry odchyłony zachęcająco, a wałek na wezgłowiu, służący jako poduszka, wydawał się bardzo miękki.

Ale najbardziej go zaskoczyły rozmiary tego łóżka, oczywiście znacznie przekraczające metraż jego kwatery w wielowcu. Lustro, umieszczone nie wiadomo po co na suficie, dodatkowo je powiększało. Po lewej stronie w ścianie zauważył ukrytą szafę z trzema skrzydłami drzwi rozsuwającymi się na boki.

„A, tu jesteś!” – Ostrożnie zajrzał do środka.

Wewnątrz szafy wisiały rzędem wieszaki z damskimi sukienkami i męskimi ubraniami. Nie zapominając o ostrożności, odsuwał je, szukając ukrytej pomiędzy nimi dziewczyny. Ale jej tam nie było, więc pochylił się i zbadał dno szafy. Lecz tu również jej nie było – nie kuciała zwinięta w kłębek pod rzędem wieszaków.

Odwrócił się, słysząc cichutki i nieznany mu dźwięk. Po przeciwnej stronie łóżka znajdowała się toaletka z dużym lustrem, przed którym stały złote kasetki z pastelami do malowania twarzy i szminki do ust. Jedna z pomadek, otwarta, właśnie się turlała

do krawędzi toaletki. Zaraz spadnie na dywan.

„Czyżby ona tu była? Malowała się za moimi plecami, kiedy przeglądałem odzież w szafie, i zaraz wybiegła?” – usiłował zrozumieć dziwną sytuację.

Musi zacząć jej szukać od początku i ponownie przejść wszystkie pomieszczenia. Jacka zirytowała ta zabawa w kotka i myszkę, dla której nie widział uzasadnienia. Poza tym czuł się już porządnie głodny i nieco znużony. Wciąż patrzył na szminkę, turlającą się do brzegu stoliczka, gdy ta nagle zatrzymała się samoistnie. Bardzo go to zdziwiło. Przedmioty spadały; ale tak było na Ziemi. Tu z pewnością panowała inna fizyka. Mimo takiego wyjaśnienia to nagłe znieruchomienie toczącego się przedmiotu wydało się mu niesamowite.

Wyszedł z sypialni, zamykając za sobą drzwi. Oparł się o nie plecami. „Co z tym zrobić, do cholery?” Skoro obowiązuje tu inna fizyka, może wszystko jest ułudą? Szkoda, chciałby spotkać tę dziewczynę. Wszak ją widział, gdzieś tu musiała być.

Oczywiście i tę hipotezę należało dokładnie sprawdzić, ale niekoniecznie akurat w tej chwili, tym bardziej że poczuł właśnie smakowite zapachy dobiegające z restauracji. I obranie kierunku na suto zastawiony stół było pierwszym zboczeniem z drogi obowiązku. Poszedł w stronę, z której pachniało tak zachęcająco, krokiem zdecydowanym, nie zapominając jednak o zachowywaniu czujności, no pewnie.

Przez abażury lamp sączyło się przyćmione światło i w całym pomieszczeniu panował dyskretny półmrok. Stoliki zostały od siebie oddzielone wysokimi przepierzeniami, więc tylko domyślał się ich istnienia. Jego uwagę ściągnął jeden, dość obszerny stół, nakryty żółtym obrusem i oświetlony niewielką lampą. Lekko odsunięty fotel jakby właśnie na niego czekał.

Wzdłuż ściany po lewej stronie ciągnął się długi stół, zastawiony półmiskami. Gorące dania podgrzewały się w zgrabnych kubekach, z których wystawały trzonki łyżek do nakładania. Jacek widział unoszącą się parę i słyszał delikatne bulgotanie sosów. Wziął ze stosu duży talerz i zaczął sobie nakładać. Zaczął jeść od razu, na stojąco. Najpierw sięgnął po kawałki mięsa z prawdziwą kością, co sprawdził, dziobnąwszy w nią widelcem. Po raz pierwszy w życiu Plapla widział takie mięso na własnym talerzu, a nie polepszacze dodawane do mielonki, które polewano obficie keczupem, aby zabić ich pierwotny smak.

Kiedy soczyste kawałki przyciskał językiem do podniebienia, jego oczy same podnosiły się do góry. Szybko nałożył sobie kolejną porcję i oparłszy się brzuchem o stół, jadł, wciąż stojąc. Potem wyjadał wprost z półmisek. Pragnął spróbować każdego dania choćby odrobinę. Ale brzuch się zrobił ciężki. Zapełniwszy więc półmisek, podszedł z nim do stołu nakrytego żółtym obrusem. Postawił talerz na środku, usiadł zamaszycie na fotelu i pochylił się nad jedzeniem.

Jadł o wiele wolniej. Odgarniał widelcem niektóre kąski, a potem już tylko grzebał,

odsuwając wszystko na bok. Jeszcze chwilę siedział, oparty łokciami o stół, potem upuścił widelec i opadł na oparcie fotela, szeroko rozkładając nogi. Dyszał ciężko, odpoczywając, patrząc bezmyślnie w mroczną przestrzeń.

Jego organizm zmagał się z nadmiarem jedzenia. Strawienie tak znacznych ilości wpakowanych do żołądka wiązało się z ogromnym wysiłkiem. Plapla nigdy dotąd nie wchłonął aż tak wiele i to wysokokalorycznego pożywienia. Jego dieta była zrównoważona, tylko w sobotę pozwalał sobie na niewielkie przyjemności. Leżał teraz bezwładnie na fotelu, chory z przejedzenia. Sapał głośno, oddychając z trudem i z poważnym wysiłkiem odpiął kłamerę pasa.

Usłyszawszy dźwięki miłej muzyki, pomyślał, że chyba się chwilę zdrzemnął, choć nawet nie zamknął oczu. Tuż przed nim rozpoczynał się film. Pornos, ale lekki, jak najbardziej stosowny dla człowieka w jego stanie. Panienska tańczyła, zdejmując swe ciuszki. Nagle miał ją na kolanach – uda na poręczach krzesła, dwa balony leżały mu na piersi. Reagował obojętnie, ledwo ruszył dłonią, aby ją pomacać; lecz miast na piersi wirtualnej dziewczyny trafił na butelkę. Obmacał ją, nie unosząc się z fotela. Jego ręka sunęła powoli w górę, wreszcie natrafiła na szyjkę i korek. Wyciągnął go dwoma palcami i przyciągnął butelkę do ust.

Mocno z niej pociągnął. Pił długo, wybałuszając oczy na wdzięki tancerki. Striptizerka zakręciwszy ponad głową zdjętymi majtkami, odpłynęła, kręcąc pupką. Roztopiła się gdzieś w mroku. Plapla całkiem osłabł. Kiedy już powróciła mu zdolność myślenia, zorientował się, że dziewczyna, która go po salach wodziła, i ta z filmu, wyglądały tak samo.

„To wirtualna zabawka bywalców City Lux – rozmyślał niespiesznie. – Pewnie lubią, kiedy w różnych miejscach nagle pokazują się panienski”.

Zasnął w fotelu, czując, że dziewczyna obejmuje go od tyłu. Doznał wielu różnych przyjemności we śnie. Wtedy właśnie pomieszały mu się sfery rzeczywistości: nie wiedział, co jest snem, co wirtualną przyjemnością, a od jakiego momentu rozpoczyna się jawa.

Był pewien, że unosi powieki i jest całkowicie obudzony. Zobaczył kątem oka uchylone drzwi do kasyna, gdzie stały stoliki do gry, wyłożone zielonym sukniem. Słyszał szelest kart i stukot kostek, z daleka widział asy i sześć oczek. Kiedy się wychylił nieco, zauważył ciemną szafę do gry, stojącą tuż obok, za fotelem; migąła zachęcająco, wystarczyło pyknąć w guzik.

Ledwo go nacisnął, zabrzączały figurki w okienku, stając w jednym rzędku, ze szczeliny pod nimi posypały się zielone. Forsa, kasa, dużo! Na podłodze spory stosik, który wciąż się powiększa, całego go przykrywa, a Plapla rękami porusza, jakby pływał w forsie.

Było już dobrze po północy, gdy chwiejąc się, przeszedł do sali gry. Rozegrał kilka partii z wirtualnym partnerem. Wszystko było jak naprawdę. Rozdawano karty, przesuвано banknoty. Ale tak się składało, że to po jego stronie wciąż rósł ich plik.

Zbyt pijany, by podejrzewać podstęp – zresztą czyj, skoro tu nikogo oprócz niego nie ma? – wziął neseser na banknoty i ułożył w nim swoją wygraną. Niosąc go pod pachą, włókł się do sypialni. Padł na łożo tak jak stał, głową uderzył w walizkę. Był bogaty.

To musiało się wydarzyć tuż przed czwartą rano. Słońce jeszcze nie wzeszło, Ziemia stała wciąż pod horyzontem, niebo było puste, każdą zbrodnię dało się na nim zapisać. Wydawało mu się, że słyszy wrzask gdzieś w ciemności, może śnił, zamroczony, głupi. Ciężkie alkohole krew mu truiły, trzymał głowę nad saganem z trującymi wyziewami.

Ktoś krzyczał z wściekłością. Coś waliło, uderzenia, potem krzyki, pomocy, ratunku, mordują. Głowa destruktora tkwiła jakby w kocu.

Wciąż ktoś wrzeszczał, potem rzeził. Zapadł głębiej, nawet się nie wynurzył z ciemności, wciąż śpiąc. Dziwne, słyszał cichnące wołania, łomot ciała, kroki, kroki, biegnie zbrodniarz, uciekł.

Kiedy się obudził dobrze po południu, przyciskał policzek do skórzanej walizeczki. Obrócił się na plecy i leżąc na wznak z rozłożonymi rękami i nogami, przeglądał się w lustrze na suficie. Było mu tak dobrze, że nie miał ochoty wstawać. Pograżał się w lenistwie i stawał się coraz bardziej gnuśny.

Wtem poczuł zapach kawy. Na szklanym stolyczku przy łóżku stała taca. Kiedy się uniósł, by sięgnąć po filiżankę, łożo podparło mu plecy. Mógł się delektować napojem, który nie był ani zbyt gorący, ani za chłodny, po prostu taki jak trzeba. Nie umiał określić smaku – bo tak zawsze bywa, gdy coś jest w najwyższym gatunku.

Postanowił, że zostanie w łóżku; zrobi sobie wolne po raz pierwszy w życiu. Wraz z degeneracją ciała następował zanik utartych przyzwyczajień, kruszyły się wyznawane zasady moralne...

I naraz wspomnienie o codziennych rytuałach postawiło go na baczność. Spojrzał na przegub – cienki pasek był na miejscu. Pochwycił się za płatek ucha, insert tkwił gdzie zawsze. Piętno niewolnika. Dlaczego nie działały?! Dlaczego jak zwykle każdego ranka nie został obudzony łaskotaniem w ucho? Czyżby mięśnięcia zmieniały się w ukłucia, kiedy spał zbyt twardo?

Sygnał do szefa pewnie został wysłany, informując go o niesubordynacji destruktora. Już widział, jak spycha śmieci na wysypisku. Nagle przestał się martwić. Jest bogaty. Ma walizkę pieniędzy. Po śniadaniu pójdzie do sali gry i wygra sobie cały bank. Czy musi pracować? O nie! Wykupi akcje. Panów Wilkowsky & Brown pošle z torbami. I to im każe spychać śmieci na wysypisku. Ha, ha! Nareszcie się odkuje. Za te

wszystkie lata poniewierki, za tę cholerną robotę! Ha, ha!

Przypomniawszy sobie wrzaski, które usłyszał przez sen. Wynikało z nich, że ktoś został zamordowany. Jego obowiązkiem było odnaleźć zwłoki Nie! Jest na wakacjach, nie musi być aż tak solidny. Przecież facet nie ucieknie, ha, ha! Powinien również posłać do centrali informacje na temat zajścia.

W efekcie zostanie zobowiązany do wykonania wielu czynności. Po pierwsze, musi zabezpieczyć ślady dla ekipy śledczej. Grupa oczywiście nie przyjedzie, ale każdy z jej członków po kolei nękać go będzie pytaniami na odległość. To zawsze było męczące. Powinien zacząć działania. Zmierzać do wytropienia zbrodniarza. Starać się przywrócić sprawiedliwość. Wierzył, że sprawiedliwość zapewnia równowagę w świecie, posiada fundamentalne znaczenie dla istnienia całości, dlatego on i każdy policjant muszą walczyć ze złem. Każdy zaniechany wysiłek to jak piórko na niewłaściwej szalce wagi – gdy zło przeważy, świat pograży się w chaosie.

„Ale chyba nie tak od razu! – odpowiedział sobie. – Może po śniadaniu?”

Śniadanie, jeśli tak nazwać ten popołudniowy posiłek, trwało godzinami. Tym razem usiadł na fotelu przy stole i jadł powoli, delektując się każdym kęsem. Nabierał małe porcje, kroił drobno i po kilku daniach robił dłuższe przerwy. Często za to zaglądał do skrzynki wypełnionej butelkami wina. Stała tuż pod ręką, tylko sięgnąć. Nalewał sobie do kieliszka. Zanim wypił, unosił naczynie do światła i podziwiał barwę. Do wieczora jadł i leżał w fotelu. Wypił wiele butelek. Życie ma smak, i to jaki!

Nagle wspomniawszy: jakieś krzyki, zbrodnia, trup gdzieś leży. „Pójdzie, zwłoki sponiewiera. Jak śmiać, łajdak jeden, zdechnąć przed śniadaniem?!” Wyobrażał sobie, jak się pastwi nad tym nędznym ludzkim ścierwem. Nie chciało mu się jednak podnieść od stołu. Zrobiło się ciemniej. Pomyślał o dziewczynie.

Czuł, jak wielka potęga transmituje się poprzez niego na świat. Widział teraz gabinet, a w nim managera w krawatce.

„Jak mnie upokorzył ten łajdak!”

Pochwyci go za tę krawatkę w gustownym kolorze i podniesie do góry, tak wysoko, by znalazł się na poziomie jego oczu. I kiedy mu spojrzy w przerażone ślepkę, wybuchnie śmiechem. Uniesie swoje wielkie ramię, z którego będzie zwisał, dyndając, ważny pan dyrektor. O, już nie taki on wielki ktoś, skamlacz.

Co z nim zrobi? Powiesi na żyrandolu. To będzie wesołe! Ściągnie mu portki i gacie, aby było jeszcze śmieszniej. Otworzy drzwi i wezwie cały personel. Wszyscy będą oglądać fikające chude nóżki. Ha, ha! Będzie się męczył, wisząc na haku. Ha, ha!

A potem pójdzie w dół schodami i będzie rzucał za siebie granaty. Kiedy znajdzie się na ulicy, podrzuci broń do łokcia. Nie mierząc, wystrzeli. Na kogo padnie, ten zdechł. Bachor, nie bachor, baba czy staruch, zdychajcie. Rozwali wszystkich. Wywali z siebie to, co czuje. Wściekłe i głodne.



W tym momencie usłyszał kroki dziewczyny. Odbiegała od drzwi, na pewno wszystkiego się domyśliła, gdy patrzyła na niego. Co miała na sobie? Bo słyszał plaśnięcia bosych stóp. Może tylko ręcznik wokół bioder?

Podniósł się z wysiłkiem od stołu. Musiał chwilę postać, opierając się dłońmi o blat. Dziewczyna już pewnie odbiegła. Bose stopy umykały cicho po miękkich dywanach i ręcznik bez szmeru zsunął się w dół bioder. Oderwał ręce od stołu, kołyszącym się krokiem przemierzył salę restauracyjną i podszedł do drzwi. Otworzyły się, a on przekroczył próg.

Wielkim wysiłkiem woli zmuszał się, by nie nasłuchiwać odgłosu bosych stóp. Minął salę restauracyjną. Cicho mruczały automaty w kasynie i szurgotały żetony. Rzucił się do gry. Wciąż wygrywał i nieustannie sypała się szeleszcząca struga banknotów. Zagarniał ją ramionami do siebie, pod stół.

Siedział po kolana zanurzony w zielonych papierach. Miał miliony. Wpół otworzył usta i wdychał gorące powietrze, palił się w środku. Żarzyły się w nim chciwość i zachłanność, więcej, wciąż więcej, jeszcze i jeszcze.

Z sali obok dobiegał zapach cygar palonych przez mężczyzn, stukały odstawiane kieliszki z szampanem i śmiały się kobiety, pochylające się nad stołem z zielonym sukniem. Mózg trawiła gorączka. Nie dbał o towarzystwo z sąsiedniej sali. Nie pomyślał nawet o tym, by sprawdzić, czy ktoś tam naprawdę jest, czy to tylko wygenerowane efekty akustyczne. Zrobiło się ciemniej.

Nic nie było ważne, tylko pieniądze. Późną nocą, kiedy wrócił do sypialni, miał tak dużo banknotów, że zasypał nimi łóżko i rzucił się na nie, zagarniając je rękami i nogami. Pływał w morzu pieniędzy, póki sen go nie zmorzył. Wpadł w niego ciężko jak siekiera i osuwał się na dno. Spadał pionowo, głową w dół. Ręce rozrzucił i nie mógł nimi ochronić głowy, więc majaki go capnęły i swobodnie wpływały mu przez zamknięte oczy. Przesączały się przez powieki, wnikały przez nozdrza i wdzierały się przez rozchylone usta.

Dopłynęły do jego mózgu i wkręciły się w komórki. Oplotły synapsy nerwowe i usiadły po brzegach, jak wokół czarnej miski, ze spuszczonej nogami, zanurzonymi w mętnej i brudnej wodzie jego umysłu. Patrzyły wielkimi oczami, które lśniły, a zmory czekały, aż wytworzą się trujące obrazy. Uwiedziony był, zepsuty i wahała się w nim waga dobra i zła.

Musiałoby być przed świtem, około czwartej, zanim wzeszło słońce, a noc runęła poza krawędź. Pora przełomu. Nurzał się w bagnisku, w brunatnej, gęstej wodzie, cuchnącej od wyziewów i gnijących liści. Tu i ówdzie unosiły się kępy zielonych traw, pękały bańki błota. Czuł, że grzęzawisko go wciąga. Objął go strach. Bał się, że utonie. Błotnista woda wleje mu się do ust i spłynie, cuchnąc i trując, do gardła. Będzie

umierał powoli, dławiąc się i łykając śmierdzącą ciecz. Nie chciał umrzeć.

Nagle poczuł się winny i nieczysty. Pozostawił niezakończoną sprawę, coś złego kleiło mu się do rąk. Już nie był człowiekiem porządnym i uczciwym. Już nie mógł chodzić wyprostowany i podawać ludziom ręki. Już nie potrafił śmiać się szczerze i beztrąsko. Co on zrobił?

Tam w oddali było jaśniej. Miał nikłą szansę. Dojrzał gałęzie drzewa pochylającego się ponad grzędą. Wysiłkiem woli i ciała pochwycił tę moką i oślizgłą gałąź, mając nadzieję, że nie rozkruszy mu się w ręku. Potem zaczął się powoli podciągać, mając oczy utkwione w światelku. Pomyślał, że zostało zapalone specjalnie dla niego.

Dźwigał się, tak jak człowiek podnosi się z upadku.

Kiedy już był gotowy, zerwał się z łóżka i wyszedł przed budynek. Zanim się skierował do portu, podniósł głowę ku gwiazdzistemu niebu. Pomiędzy punktami gwiazd wciąż przemykały satelity komunikacyjne i duże transportowce, wiozące żywność, maszyny i surowce do ludzkich osiedli zawieszonych na wielkich dyskach w przestrzeni.

Był to świat zamieszkały i urządzony przez człowieka – zagospodarowana przez niego przestrzeń, którą objął rozumem i urządził działaniem. Jednocześnie był jego prezentem. Wszędzie paliły się światła, niebo przypominało świąteczną choinkę.

Tymczasem Plapla zapomniał, co należy do ludzkiej dziedziny. A przecież należał do milionów porządných ludzi, którzy organizowali przestrzeń kosmosu i utrzymywali ją w całości. To dzięki pracy takich jak on istniał świat. Jakże był wielkim i ważnym człowiekiem. Spełniał rolę niewielkiego trybu. Gdy on się wykoślawi, cały mechanizm ludzkich działań zacznie szwankować. Bez niego świat nie mógłby być dobry i sprawiedliwy.

Jakże łatwo człowiekowi ześlizgnąć się w błąd! A cóż może poradzić, biedny, kiedy wszędzie czyhają na niego złudy i pokusy! I skąd ma wziąć siłę? Jak ją w sobie znaleźć? Jak dać odpór, jak zwalczyć, kiedy wszystko woła: „chodź, no chodź”!

– Jestem tylko człowiekiem! – zawołał do wysokiego nieba. – Moją rzeczą błędzić. Mnie przypisano upadek. Jak mam się wydzwignąć bez pomocy? Nie trzymała mnie dłoń, gdy moje nogi ślizgały się w błocie.

Czyż nie był wielki, skoro sam zrozumiał błąd i znalazł w sobie siłę, by się podnieść? Stał i patrząc w niebo, słał słowa usprawiedliwienia, czując jak po policzkach spływają mu łzy. Ale się ich nie wstydził. Ziemia się uniosła i wschodziło słońce. Kiedy pierwsze promienie oświetliły ten świat, opuścił głowę i otarł twarz. Potem poprawił mundur i sprawdził sprzęt. Stał jeszcze chwilę z opuszczoną głową i skupiał energię.

Przypomniał sobie swoje szwindelki z Olegiem i kolegą Ciao. Tak je nazywał, a zaledwie handlowali resztkami. Pożywiali się śmieciem, wzgardzonym przez innych.

Tu była zmaterializowana forma ludzkich pragnień i emocji. Nie tylko on ją wyprodukował, ale również ci wszyscy, którzy przebywali tu przed nim i tracili poczucie moralne. Jakże łatwo zdegenerować ludzką istotę!

Destruktor uruchomił broń i puścił za siebie krótki sygnał. Zaraz wszystko się zamieni w próżnię.

Aż nagle usłyszał wołania o pomoc.

„Ratunku! Ratunku!” – wzywał głos dziewczyny.

Obejrzał się. Budynek stał w ogniu, dym i płomienie wydobywały się z okna, w którym stała dziewczyna, wyciągając do niego rękę.

Nawet nie pomyślał: „Pomyliłem się, ona jest prawdziwa”.

Już biegł, gnany odruchem porządnego człowieka. Gdy wpadł do budynku, spostrzegł: dymu brak. Staął.

Odwrócił się z dużym wysiłkiem. Każdy krok był walką ze sobą. Słyszał łoskot płomieni i czuł swąd dymu. Wkroczył na pomost prowadzący do portu. Postawiwszy stopę na włączniku, zakodował parametry i nacisnął czerwony guzik.

Stacja przestała istnieć.

Ruszył w drogę powrotną. Widział już ludzkie osiedla zawieszane w przestrzeni, olbrzymie dyski świecące oknami miast. Marzył o tym, aby pójść z prostą dziewczyną do multikina. Z takimi dziewczynami można rozmawiać o zwykłych rzeczach i nie trzeba się wysilać. Wszystko idzie gładko i zwyczajnie.

Chciał wsiąść do swojej krypy i słuchając kowbojskich melodii, gnać niekończącą się autostradą. To było jego życie. W piątek dostanie wypłatę, która mu starczy na przyjemności, jakie lubił.

Tamten świat, którego już nie ma, był ułudą. Złem, które przybiera zawsze piękne formy, bo inaczej nikogo nie skusi. Złem, które wiadomo, skąd wypływa. Sam je tworzysz, jest w tobie, a świat tylko dostosowuje się do twoich myśli.

Nie wygrał pieniędzy, nie miał szansy na bogactwo i odmianę życia, którą rzekomo zaprzepaścił. Nie ma powodu, by żałował straconej okazji. To nie były prawdziwe pieniądze, wcale nie zdobył góry zielonych banknotów. Nie musi żałować, że zostawił je na łóżku. Wszystko było złudą.

Zresztą, łatwo sprawdzić. Potrzebował fizycznego dowodu. Sięgnął do kieszeni. Jego palce przez chwilę szukały. Zamarły, a potem ręka się wysunęła. Na jego dłoni leżały srebrne monety. Dwie.

# Kromlech

Kamienne bloki kromlechu stały w okręgu. Monumentalne i tak olbrzymie, że człowiek stojący u podnóża nie dosięgał wzrokiem wierzchołków i nawet nie śmiał ich zmierzyć spojrzeniem, czując się przygnieciony potęgą. Tej nocy niebo wydawało się czarne i przepastne, a także wyjątkowo wysokie i czyste. Ponad kromlechem wisiał olbrzymi, jasny Księżyc. Zbliżał się do pełni. Poprzez szczeliny pomiędzy blokami przesączało się białe światło, tworząc koła blasku otoczone poświatą i upiorne cienie. Świstał wiatr.

Wokół kromlechu na rozległym polu od tygodni koczowali ludzie, rozłożywszy się w namiotach, plastikowych domkach lub wręcz na gołej ziemi. Ściągnęli tu szaleńcy z całego świata, dziwacy skłócenii ze sobą i nienawidzący wszystkich, a także cierpiący, chorzy i kaleki. Jednak najwięcej zjechało się awanturników, desperatów i pospolitych drani. Płoneły ogniska, słychać było wrzaski i przekleństwa.

Chłopiec o imieniu Gadis wyszedł z ciemności i wkroczył na oświetloną przestrzeń. Wtedy zobaczył kromlech. Stał i patrzył. Dostrzegł tylko zwyczajne kamienie, porowate i zniszczone przez tysiąclecia, i nic, co uzasadniałoby ich sławę. Był tak rozczarowany, że odczuł nagłe zmęczenie długą podróżą. Przybył z dalekiego kraju, gdzie wciąż wybuchały bomby. Udało mu się stamtąd wyrwać i to uznał teraz za jedyną korzyść. Poczł się tak zawiedziony, że musiał koniecznie usiąść i odpocząć, więc skierował się do pierwszego ogniska. Znajdował się przy nim tylko jeden człowiek.

Gdy Gadis się zbliżył, zobaczył, że jest to niesamowity staruch. Pochylony nad ogniem, dotykał rękami płomieni. Poruszył palcami i coś zaśniło, rzucając ostre błyski. Staruch odwrócił głowę w stronę Gadisa i spojrzł na niego nakazująco.

– Chodź no tu, chłopcze – burknął. – Przydasz mi się.

Gadis postąpił niepewnie krok do przodu i wtedy zobaczył, że na ziemi leży dziewczyna. Jej oczy były przewiązane czarną przepaską, ramiona wyprostowane wzdłuż ciała i ręce przyciśnięte do bioder. Pod skórzaną odzieżą, składającą się głównie z pasków i rzemyków, widniało bardzo białe ciało. Wokoło głowy rozsypały się jasne, wręcz przejrzyste włosy. Była sztywna i wiało od niej chłodem, więc chłopiec uznał ją za martwą.

– Żyje. – Stary jakby usłyszał jego myśli. – Znieczuliłem ją, aby nie przeszkadzała.

Nagle cofnął ręce znad ognia, by obejrzeć coś pod światło. Były to długie, cienkie igły, bardzo ostre, z ciemniejszymi końcami, opalonymi nad płomieniem. Wyprostował się i stanąwszy twarzą w stronę kromlechu, rozłożył ramiona. Trwał w skupieniu, więc Gadis chciał umknąć, korzystając z jego nieuwagi, gdy nagle ujrzał coś, co go

zatrzymało w pół kroku. W rozłożonych ramionach starucha pojawiła się słaba poświata i zalśniła na igłach. Ten stał jeszcze chwilę, jakby niczego nie poczuł, potem opuścił ręce, podszedł szybkim krokiem do leżącej i klęknął obok jej głowy.

Gadis sądził, że światło nie wypływało z kromlechu, lecz ze starucha, który dysponował tajemniczą siłą. Uznał więc, że musi być mu posłuszny.

– Schwyć ją za kostki u nóg – rozkazał staruch.

Gadis ukląkł i zrobił, co mu kazano, mimo że dziewczyna wzbudzała w nim strach i obrzydzenie. Jej nogi były zimne i twarde jak u nieżywej. Zbyt białe ciało i włosy, przypominające przejrzyste macki ośmiornicy, czyniły z niej istotę mało podobną do człowieka. Gadis czuł do dziewczyny odrazę i nie chciał jej dotykać.

W tym momencie staruch zaczął wbijać igły w jej ciało, lecz ona ani drgnęła. Akupunktura uspokoiła nieco Gadisa, wszak to zwyczajne leczenie. Widocznie dziewczyna była po prostu chora. Stary wykonywał swe zajęcie ze znanostwem i w skupieniu, jak mistrz w swym fachu. Wreszcie ostatnia igła została umieszczona w odpowiednim punkcie i stary spojrzał na Gadisa, przysiadłszy na piętach.

– Teraz czekaj na cud. Może zdarzyć się tylko tej nocy.

– Jaki? – zapytał nieśmiało chłopiec.

– Bóg okaże swą potęgę.

– Jaki? – powtórzył chłopiec.

Stary wskazał na kromlech.

– On.

– Te kamienie?

– Ty ciemny głupcze! – wybuchnął staruch. – Ta dziewczyna jest szatanem, zbrodniarką! Popełniła liczne zbrodnie, śmiejąc się i nie odczuwając wyrzutów sumienia. Brakowało jej zasad moralnych, wspólnych dla wszystkich ludzi. Przywlokła się tutaj wraz ze swoją bandą, aby rabować i bić. Lecz on skierował jej kroki ku mnie i zmusił ją, aby błagała o to, bym odmienił jej serce.

– Akupunktura spowoduje, że zbrodniarka zmieni się w anioła? – zapytał Gadis.

Starzec wytkniętym palcem wskazał na kromlech.

– To uczyni on, bóg.

– Nasze czasy słusznie nazywają nowym średniowieczem – powiedział Gadis. – Boski cud, anioł i demony.

– To wyłącznie sprawa słów. Aby nazwać zjawisko, można użyć różnych określeń. Stosując terminy nowoczesnej psychiatrii, stwierdzimy, że pacjentka ma zakłóconą osobowość.

– Jak?

– Powiedziała, że dręczył ją sen. Widziała w nim, że tańczy wśród kamieni, a potem wybucha bomba i ją zabija. Próbowwała zapomnieć, sięgnęła po alkohol, lecz w snach wciąż tańczyła. Potem zaczęła zażywać narkotyki, lecz rytm tańca nadal wirował w jej

głowie. Uciekała od siebie, włącząc się z jakąś bandą, lecz sen dopadał ją każdej nocy.

- Co wspólnego ze snem mają te kamienie, igły wbite w ciało i dzisiejsza noc? – zapytał Gadis, wciąż wątpiąc w prawdziwość słów starca.
- Popatrz na Księżyc.
- Zwyczajny.
- Zbliża się do pełni.
- Jak co miesiąc.
- Podczas pełni ludzie szaleją, wsiadają do samochodów i pędzą na oślep, jedni zabijają siebie, inni przechodniów. Niektórym wyrzynają się ostre kły, a ich ciała porastają sierścią.
- To jakieś starożytne bzdury.
- Nie, to metafora, obraz przemiany psychicznej następującej w człowieku. To właśnie on, Księżyc i jego blade światło, wywołuje przypływ krwi, hormonów i szaleństwa, energia ich roznosi, muszą się wyładować
- Jaki to ma związek z tymi kamieniami, które są bogiem? – burknął lekceważąco Gadis.
- Zobaczysz. One zadrzą, a wtedy ludzie, którzy są wokoło, zamienią się w wilkołaki.
- Chłopiec potoczył wzrokiem.
- I tak nie zachowują się zbyt dobrze.
- Ludzie tańczyli przy ogniskach, niektórzy, obejmując się, śpiewali. Prawie wszyscy dużo pili. Wielu wrzeszczało na całe gardło, waląc się nawzajem po plecach lub wykonując dzikie gesty. Przybyło tu również wiele trup teatralnych z całego świata, odgrywano dramaty w maskach i dziwacznych kostiumach.
- Kiedy Księżyc stanie nad kromlechem, wtedy jego moc się objawi.
- Wiem, że akupunktura polega na drażnieniu węzłów energetycznych w ciele i odblokowaniu kanałów przepływu energii. Zabieg wykonywany w gabinecie lekarskim jest równie skuteczny. Co ma z tym wspólnego kromlech i pełnia Księżyca?
- Zanim staruch zdążył odpowiedzieć, Gadis poczuł, że nogi dziewczyny stały się nagle gorące, więc odruchowo cofnął ręce, ale zgromiony spojrzeniem, uchwycił ponownie jej kostki.
- Już się zaczyna, moc boska się objawia! – krzyknął staruch w uniesieniu. – Krąży siła w kanałach ciała. Poczekaj do pełni, wtedy zobaczysz jego potęgę!
- Demonizm akupunkturzysty, jego szalone wykrzyknienia i niechęć do dziewczyny wywołały w Gadisie gniew. Nie chciał czekać do pełni księżyca, klęcząc w niewygodnej pozycji i przytrzymując jej nogi, pragnął przyspieszyć proces, więc spojrzał intensywnie na leżącą, marszcząc brwi.
- Szybciej!
- Pałę się, płonę! – zaczęła krzyczeć dziewczyna, a jej nogi zrobiły się tak gorące,

że Gadis zerwał się i odskoczył. – Ogień, jaki straszny ogień! Pożera mnie, czerwone języki ognia wypływają z moich oczu, moje serce jest wirującą kulą ognia, ramiona ogarniają płomienie. Żar mnie spalił, szczerłam, nie istnieję.

Starzec zbladł. Zerwawszy się z miejsca, stanął wyprostowany i wpatrzył się w kromlech. Trwał tak chwilę, nie próbując pomóc dziewczynie, która się rzuciła. Nagle odwrócił się ku chłopcu. Jego oczy były czarne i pełne domysłów.

– Czy to ty zrobiłeś?

– Ja, co ja? Nie rozumiem, nic nie zrobiłem!

W jego twarzy było takie przerażenie, że starzec mu uwierzył i zrozumiał, że ten nic o sobie nie wie. Pochyliwszy się, wyciągał szybko igły z ciała dziewczyny. Kiedy wyjął ostatnią, uspokoiła się, lecz ciepło w niej pozostało. Starzec usiadł, krzyżując nogi.

– Nie udało się – powiedział w rozpacz. – Po raz pierwszy w życiu nie zdołałem zbalansować energii. Nie potrafię odgadnąć, co zniweczyło moją pracę. Sądzę, że włączył się obcy sygnał, tak silny, iż zablokował kanały.

– Sądź, że właśnie ja go wysłałem?

– Być może. Twoja spontaniczna odpowiedź dowodzi, że nie uczyniłeś tego świadomie. Podejrzewam, że dysponujesz znaczną energią. Dlaczego tu przybyłeś? Odpowiadaj!

– Nie wiem. Usłyszałem o kromlechu i to mnie zainteresowało.

– Co o nim wiesz?

– Po prostu chciałem go zobaczyć.

– To znaczy, że kierował tobą sygnał wysłany z podświadomości. Przebyłeś daleką drogę gnany impulsem.

– Pociągały mnie podróże i obce kraje, tylko tyle.

– Nieprawda. W taki sposób twój logiczny umysł uzasadnił konieczność przybycia do kromlechu. Musisz zrozumieć prawdziwy powód.

– Tu jest ciekawie.

Lecz starzec zlekceważył motyw podany przez chłopca.

– Słuchaj! To, co ci powiem, jest wielką, od tysięcy lat strzeżoną tajemnicą. Wie o niej garstka ludzi na świecie.

Gadis pragnął jak najszybciej uciec od demonizmu i namiętności starego.

– Chcę zobaczyć przedstawienie i wrócić do domu. – Właśnie przechodziła obok chińska trupa teatralna, niosąc kolorowe, olbrzymie kukły smoków.

– Za późno, już zostałeś włączony w boską moc. Musisz zabić w sobie zwierzę, bo zaczniesz mordować ludzi, nie wiedząc o tym.

– Nie jestem zbrodniarzem.

Starzec nie uznał zastrzeżeń Gadisa.

– Całą ziemię oplatają linie boskiej siły. Tu, w kromlechu, łączą się i objawiają. A

gdy Księżyc staje nad nim w pełni, moc wybuchu i poraża ludzi.

– Ten kromlech to zwyczajne kamienie – przerwał mu Gadis. – Nie odczułem działania żadnej energii.

Starzec intensywnie wpatrywał się w chłopaka, a jego oczy ciemniały.

– Nie zadałeś sobie pytania, po co przybyli tu ci ludzie?

– Po prostu są ciekawi jak ja.

– Jeżeli jesteś tym, za kogo cię uważam, odpowiesz sobie na ważne pytania.

Pierwsze: po co przybyłeś? Drugie: w jakim celu od tysięcy lat gromadzą się tu ludzie?

Trzecie pytanie musisz sam odgadnąć.

Nagle na czystym niebie pojawiła się chmura i zasłoniła tarczę Księżyca. Rozległ się straszny krzyk jak w starym Babilonie, gdy zgasło na chwilę Słońce i kapłani stali na wieżach, wznosząc ramiona do nieba. Minęły tysiąclecia, ludzie jednak pozostali tak samo kruchymi istotami jak w czasach boga Marduka. Olbrzymie kamienie kromlechu sprawiały wrażenie jeszcze potężniejszych, a ludzie u ich stóp małych niby kukiełki. Wydawało się, że w tych kamieniach kryje się jakaś istota i osobowość. Tkwi wewnątrz, nieruchoma, lecz wie o sobie i zaraz otworzą się wielkie oczy u szczytu każdego kamienia, rzucając promienie wzroku na wszystkie strony świata. Czy spojrzą w dół, na ludzi, i jakiego rodzaju będzie to spojrzenie? Teraz krzyczeli, co będzie potem?

Lecz chmura odpłynęła, zrobiło się jasno, i powróciła beztraska wesołość hulanki.

– Jak dzieci lub nieświadome zwierzęta – rzekł ponuro starzec.

– Dlaczego masz do nich pretensję? – zapytał gniewnie Gadis. – Dlatego że są zwyczajnymi ludźmi? Krzyczą, gdy się boją, a ciemność ich przeraża. Gdy jest im dobrze, śmieją się. Jestem taki sam; nie potrafimy się zrozumieć. Nie chcę szukać odpowiedzi na trudne pytania.

– Nie chcesz uratować jej życia?

– Czy ona ma umrzeć?

– Tak, straszną śmiercią – odpowiedział starzec.

– Przecież nic nie mogę zrobić.

– Podejdz do kromlechu i błagaj moc, by ją ocaliła. Musisz to robić świadomie, nie jak zwierzę. Kieruj się miłością do ludzi.

Gadis popatrzył na leżącą, która wyglądała jak posąg z białego marmuru, wykopany z ziemi i obmyty wodą. Była jakby obcą boginią nieznanego kultu. Zbyt biała i przejrzysta, zbyt zimna i obca, by mogła wzbudzić w innych jakiejkolwiek uczucia, tym bardziej u Gadisa, który był ziemskim, materialnym chłopcem.

Właśnie przechodził obok nich tłum spieszących na przedstawienie. Ludzie jedli z papierowych talerzyków lub pili z jednorazowych kubków. Rozmawiali ze sobą i cieszyli się tą banalną przyjemnością. Chcieli obejrzeć przedstawienie, nie dbając o jego treść i sens. Pragnęli rozrywki, a w tym miejscu właśnie to im zaoferowano.



Tłum zagarnął Gadisa. Nie zdążył powiedzieć niczego na swoje usprawiedliwienie, więc przez chwilę czuł lekki wstyd. Lecz zaraz opanowała go radość, wynikająca z uniknięcia trudnej sytuacji. Nie rozumiał, czego staruch od niego żąda. Czuł odrazę do dziewczyny i nie chciał dla niej niczego robić.

Słuchając, jak się śmieją, szedł razem ze wszystkimi w stronę podestu, gdzie miało odbyć się przedstawienie. Poczł się znacznie lepiej i cieszył z powodu rozrywki. Nagle tuż za nim znalazł się młody mężczyzna z czarnym pudełkiem w ręku. Obok niego stała kobieta, która na jego znak odeszła.

Gadis odniósł wrażenie, że umyślnie stał tak blisko niego i w dodatku przysuwał mu pudełko do pleców. Lecz już na scenę weszli aktorzy ubrani w ceremonialne chińskie stroje i to zajęło uwagę chłopca. Na długich kijach trzymali kukły smoków, zrobione z pergaminu i cienkich listewek. Smoki były pierzaste, a po bokach powiewały im kolorowe paski papieru. Ich paszcze pomalowane czerwoną i złotą farbą otwierały się i zamykały w rytm ruchów aktorów, poruszających kijami i recytujących wiersze. Kończyli każdą strofkę wykrzyknieniem: hoo! Odgrywali scenę, która nie była dla Gadisa zrozumiała.

„Oto smok idzie ścieżką od tysięcy lat, hoo!

Wiele, o zaiste, wiele smoków idzie ścieżkami tysiącem nóg, hoo!

Dokąd idą te smoki, deptając ziemię tysiącem nóg, hoo!

Które są jedną stopą, hoo!”

Aktorzy, poruszając kijami, powodowali, że smoki wyginały się serpentynami, piórka powiewały, paski papieru furkotały.

„Smoki idą, aby się spotkać, hoo!

I połączyć w jednego wielkiego smoka, hoo!”

Smoki przybliżyły się do siebie, falując, aktorzy szli krok za krokiem. Wreszcie wszystkie kukły zetknęły się łbami. Ich szklane oczy były puste i dosyć zabawne. Aktorzy potrząsali kijami, smoki otwierały i zamykały paszcze, patrząc szklanymi oczami, co powodowało komiczne efekty. Zgromadzona publiczność zaczęła się śmiać, wybuchając frenetyczną wesołością, gdy następowało nieodmienne: hoo! W tłumie, korzystając z ciemności, uwijali się kieszonkowcy i obejmowały pary, nikt nie przejmował się odgrywaną sceną, która powinna być patetyczna albo choćby sensowna.

„Połączyły się smoki na ścieżce, hoo!

I teraz jest jeden wielki smok, hoo!”

Publiczność wybuchnęła śmiechem, pary całowały się, kieszonkowcy umknęli. Smok wcale nie zrobił się wielki, czerwone paski papieru były nieco zużyte, w pergaminie widniały dziury, a oczy na pewno zrobiono z tanich guzików.

– To ich wielki narodowy dramat – powiedział ktoś i Gadis się obejrzał.

– Nie jest to zbyt dramatyczne – odpowiedział rozczarowany.

Tuż obok stał ten sam młody mężczyzna, którego spostrzegł przed chwilą. Miał kręcone włosy i spoglądał życzliwie. Przyciskał do siebie oburącz małe, czarne pudełko i chłopiec był pewien, że czasem na nie patrzył, jakby coś sprawdzał. Ale Gadis chciał obejrzeć przedstawienie, więc odwrócił się w stronę sceny, czując na plecach kanty czarnego pudełka.

Smoki rozbiegły się na wszystkie strony i z każdego z nich zaczęły się wysypywać małe kukielki, które aktorzy rzucali w stronę publiczności. Ludzie chwyтали je, zaśmiewając się, wkładali na palce, gdyż zabawki miały otworki u podstawy, i strojąc miny, poruszali kukielkami.

– Smok szedł ścieżką – powiedział mężczyzna i Gadis znowu się odwrócił.

– No i co z tego?

– A skąd przyleciał?

– To był latający smok?

– Miał przecież skrzydła.

– Te piórka i paski papieru? – zdziwił się chłopiec.

– To się nazywa teatralna umowność. Wszyscy wiedzą, o co chodzi, więc nie istnieje potrzeba realistycznego przedstawiania szczegółów.

– Skąd przyleciał? – chłopiec powtórzył pytanie nieznanego, a ten w odpowiedzi uniósł głowę w górę.

– Z nieba?

– Z kosmosu lub przestrzeni, jak kto woli, może z gwiazd? Leciał, falując jak światło lub dźwięk. Światło padało na rośliny i ludzi, wszystko budziło się do życia. Smok jest symbolem życiodajnej energii, wielkiej siły ożywiającej świat.

– Potem stał się jednym wielkim smokiem – dokończył chłopiec. – Zaczynam rozumieć. Energie połączyły się w wielki węzeł sił. A jest nim kromlech. To dlatego nazywają go bogiem, a energię – jego mocą. Chińczycy są mniej religijni, siły przedstawiają w postaci smoka.

– Przypomnij sobie zakończenie przedstawienia.

– Aktorzy rzucali kukielki w stronę publiczności, i co z tego? – zniecierpliwiał się Gadis.

– Jeżeli wiesz, co symbolizuje smok, zrozumiesz, co otrzymał każdy z ludzi.

– Czy to ma coś wspólnego z kromlechem?

Mężczyzna milczał przez chwilę i chyba patrzył na swoje pudełko.

– Ma, i to bardzo wiele – odpowiedział poważnie.

– Stary mówił, że jego moc porazi ludzi. Zamienią się w wilkołaki, gdy Księżyc stanie nad kromlechem.

– To metafora. Wchłoną energię wypływającą z kromlechu. Wywrze na nich pewien wpływ.

– Ciekawe jaki?

– To zależy od jednej osoby.  
– Stary mówił, że od Księżyca.  
– On obudzi kromlech, uaktywni tkwiącą w nim energię.  
– A skąd się ona bierze? – zapytał Gadis.  
– W jaki sposób odbywa się ładowanie kromlechu? – mężczyzna odpowiedział pytaniem.  
– No właśnie!  
– Ten twój staruch nazwał to mocą boską, ale my używamy innej terminologii.  
– Wy, to znaczy kto?  
– Jestem członkiem Światowego Towarzystwa Parapsychologicznego. Nazywam się Mark.  
– Jest was tu więcej?  
– Tak, widziałeś moją asystentkę, mamy również aparaturę i prowadzimy pomiary.  
– Ciekawe, chciałbym wszystko zobaczyć.  
– Jeśli chcesz, mogę ci parę rzeczy pokazać.  
– Pewnie – odpowiedział Gadis. – Kiedy wrócę do swego kraju, opowiem wszystkim. Pochwalę się chłopakom, rodzinie.  
– Tylko tyle?  
– A co więcej? Myślisz, że to jest nieważne? Żaden z nich nigdy nie podróżował, tylko mnie udało się wyjechać, bo bardzo chciałem i coś mnie ciągnęło. Oni dużo pracują, a w kraju wciąż wybuchają zamieszki i dochodzi do zamachów, nigdy nie ma spokoju. Opowiem im tę historię, opiszę wszystko dokładnie, nawet ciebie. Wtedy oni otworzą szeroko oczy i poproszą: „opowiedz coś jeszcze”. Naprawdę myślisz, że to jest byle co? A jak będą na mnie patrzeć!  
– Przez chwilę sądziłem, że masz czyste motywy.  
– Nie rozumiem cię – zachnął się chłopiec. – Przecież nie będę żądał pieniędzy za moje opowieści, nie nałożę na nich podatków. Nie przyjechałem tu z zamiarem zdobycia jak największej ilości informacji, by je później spieniężyć. Więc czego ode mnie wymagasz? Sprawię im radość. To są zwyczajni chłopcy i mają ciężkie życie, czyż nie mogą popatrzeć na cuda moimi oczami?  
– Może rzeczywiście zbyt wiele od ciebie wymagam – przyznał Mark. – Ale twoje czyste motywy są bardzo potrzebne.  
– Komu?  
– Światu, wszystkim ludziom.  
– Co mnie obchodzi świat i wszyscy ludzie? Popatrz na tych tutaj.  
– Czy nie pragniesz zrobić czegoś bezinteresownie?  
– Jestem zwykłym chłopakiem.  
– Tak – powiedział Mark przeciągle – nie jest to epoka mesjaszy. Zaryzykuję, gdyż nie mam wyboru.

– O co chodzi?

– Będę musiał umrzeć. Chyba że ty...

– Już staruch kazał mi ratować życie dziewczyny. Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz.

– Chodź pokażę ci, co robię. Sam zdecydujesz. – Podniósł głowę i popatrzył na Księżyc. – Pospieszmy się.

Ruszyli przez tłumy, omijając ogniska i grupy pijanych. Dużym łukiem musieli obejść bijących się ludzi. Kibice stali kołem, podjudzając ich do walki. Tamci walczyli na pięści, ich twarze były pokrwawione, a to tylko rozjuszało tłum. „Bij go, dołóż mu”.

„Czego chcesz od niego!?” – wrzasnął ktoś na krzyżącego najgłośniejszym i uderzył go pięścią. Dostał cios tak silny, że aż się zatoczył, lecz pozbierawszy się, ruszył do przodu z dziko otwartymi oczami i szeroko rozłożonymi ramionami. Szczepili się, inni podbiegli ich rozłączyć.

Mark często coś sprawdzał na czarnym pudełku. Gadis jednak powstrzymywał się od pytań. Skoro sam nic nie mówił, to poproszony o wyjaśnienia da wymijającą odpowiedź lub wręcz skłamię.

Gadis stał z rękami w kieszeniach, obserwując bójkę z uśmiechem. Czasami krzywił usta, gdy padał nieudolny cios. Był wśród nich, zawsze identyfikując się z wygrywającym. Nie zauważył, że Mark obserwował go, a potem sprawdzał coś na swym czarnym pudełku. Bójka skończyła się, bo wszyscy byli bardzo pijani, i powędrowali dalej.

– Miałeś mi pokazać, co robisz – Gadis nie wytrzymał i zagadnął Marka.

– Popatrz, to jest miernik.

– A co mierzy?

– Emocje.

– To można zmierzyć? W kilogramach?

– Tutaj siła emocji jest liczona w psychotonach.

Przechodzili właśnie obok grupy chorych i Mark przystanął, pochylając się nad swoim pudełkiem. Na noszach leżała młoda kobieta w ciąży, jęcząc; starsza, pochylona nad nią, ocierała jej pot z czoła. W jej twarzy była rozpacz tak wielka, że aż dotykalna.

– Ono umarło – szepnęła leżąca. – Czuję to. I ja umrę. Nic go nie wypchnie.

– Wielka siła ci pomoże, poczekaj – powiedziała starsza.

– Nie wierzę, boję się.

Gadis pochylił się nad miernikiem. Jego przednią część zajmował mały ekran, na którym przeskakiwały cyferki, tworząc coraz większą liczbę. Cierpienie tych kobiet było bardzo silne. Ale kiedy chłopiec zbliżył się do ekranu, liczba zaczęła się zmniejszać, po chwili osiągnęła zero, lecz cyfry pojawiały się nadal z wielką szybkością, pokazując siłę energii mierzonej instrumentem. Miała jednak odwrotny

wektor oraz inną jakość.

- Co się stało? – zapytał Gadis.
- Czy jeszcze nie rozumiesz? To twoja energia.
- Ale jest inna niż tych kobiet.
- Czy chciałbyś im pomóc?
- Nie znam ich – odpowiedział z wahaniem. – Są obce.
- A gdyby wśród nich była twoja siostra?
- Rozpaczałbym i chciałbym ją ratować.
- Obcy cię nie obchodzą, nic nie chciałbyś dla nich zrobić?

Chłopiec milczał przez chwilę; nie wiedział, co odpowiedzieć.

– To nie jest czas dla mesjaszy – powtórzył Mark.  
– Chyba jednak za dużo ode mnie wymagasz – odparł po namyśle chłopiec, ale jeszcze nie umiał wszystkiego wyrazić, zetknąwszy się naraz z wieloma nowymi sprawami.

– Pokażę ci coś jeszcze. Może zrozumiesz.

Minęli mężczyznę, który stał plecami do swego samochodu i patrzył przed siebie. Trzymał ręce w kieszeniach i miał zaciśnięte usta. W otwartych drzwiczkach samochodu na miejscu obok kierowcy siedziała jego żona. Opierając głowę na dłoni, również patrzyła przed siebie. Jej oczy nie wyrażały już niczego. W głębi auta, wciśnięta w oparcie, siedziała ledwo widoczna ich córka. Przytulała białego psa, swoją jedyną pociechę. Od razu było jasne, co trapi tę rodzinę. Nie rozumieli się i od dawna nie kochali. Minęła nawet nienawiść, pozostała tylko niechęć. I żal. Dziecko było zagubione i przerażone. Mark zatrzymał się na chwilę, by popatrzeć na swój miernik. Chłopiec odwrócił się plecami i odszedł.

Przechodzili mężczyźni, trzymając napoczęte butelki. Zatrzymawszy się przy kobiecie, zaczęli wymieniać ordynarne uwagi, obrażali ją, czyniąc prostackie propozycje. Jej mąż nie zaprotestował, dziewczynka wtuliła twarz w futro psa, a z pustych oczu kobiety popłynęły łzy.

– Daj spokój – powiedział jeden z nich. – Idziemy.

– Napij się – zaproponował drugi, lecz ona nie zareagowała. Mimo to przytknął kobiecie butelkę do ust; alkohol wypłynął na jej brodę i szyję. Nie uczyniła żadnego gestu, tylko jej oczy płakały. Dowcipniś zrezygnował.

– Żałuj, głupia, poczułabyś się lepiej. Zostaw tego palanta. – Miał na myśli jej męża. Pomachał jej pijackim gestem i pociągnięty przez kolegę, odszedł.

Dopiero wtedy ocknął się jej mąż. Podeszedł szybko i zatrzymał się przed nią z rękami wciśniętymi w kieszenie.

– Co ty sobie myślisz?! Nie mogłem zareagować, bo bym ich tylko rozwścieczył. Pobiliby mnie i jeszcze spalili samochód.

Kobieta nie spojrzała na niego, na jej pustej twarzy nie pojawiło się żadne uczucie.

– To ty ich sprowokowałaś! Siedzisz na widoku z podkasaną kiecką, kolana ci widać! Trzeba było zamknąć drzwi.

Gadis odciągnął Marka, mimo że tamten wciąż robił pomiary.

– Czego właściwie chcesz ode mnie? – burknął do milczącego Marka. – Czy miałem go pobić?

– Zasłużył na to.

– Czy mam się wdawać we wszystkie małżeńskie burdy? – Nagle się zatrzymał i odwróciwszy się, stanął tuż przed Markiem.

– Rozumiem, o co ci chodzi. Bardzo dobrze. „Nie jest to czas na mesjaszy”. Wiem, że to moja religia, mieliśmy proroka. Zadajesz mi pytania, chcesz się dowiedzieć, czy jestem gotowy zrobić coś dla wszystkich ludzi. Czujesz się rozczarowany, gdy wspominam o kolegach i rodzinie, o osobistych motywach i prywatnych celach. Spodziewasz się po mnie nadzwyczajnych czynów i bezinteresowności, działania dla ogółu. Skoro daję wymijające odpowiedzi, uważasz, że jestem zły lub małostkowy. – Wzruszył ze złością ramionami. – No dobrze, jestem taki. Nie wyróżniam się niczym szczególnym. Ale czy tylko ja jeden na świecie? Większość ludzi kieruje się osobistymi motywami. Dlaczego upierasz się, że akurat ja powinienem być lepszy od innych?

Mark milczał chwilę, a potem powiedział:

– Popatrz na miernik. Dodamy wyniki ostatnich pomiarów. – Gadis pochylił się i spojrział. Na ekranie widniała zawrotnie wysoka liczba. – To siła energii psychicznej wydzielanej przez tych ludzi. Weź pod uwagę, że zmierzaliśmy tylko jedną grupę. Jaki byłby wynik, gdybyśmy zsumowali energie wszystkich zebranych wokół kromlechu?

– Jakiego rodzaju jest to energia?

– Negatywna.

– Więc?

– Pytasz, jak działa? Akupunkturzysta objaśnił ci to obrazowo. Zamienia ludzi w bestie. Energia tworzy pole, wszyscy ulegają jej działaniu. Aktorzy chińskiego teatru, rzucając kukiełki, które widzowie chwyтали, pokazali, że wchłania ją każdy człowiek. Pozostając pod działaniem negatywnych sił, musi popełniać zbrodnie. – Mark wyzerował licznik, wpisawszy dane do jego pamięci.

– Tu rzeczywiście będzie dziać się wiele złego. Może ktoś na mnie napaść, nawet zabić, jestem obcy. Czy można temu zaradzić?

Gadis kierował się osobistymi motywami, nie dostrzegając całości.

– Popatrz, co się dzieje.

Kiedy chłopak pochylił się nad miernikiem, na którym ponownie pojawiła się liczba wskazująca natężenie negatywnego pola, cyfry zaczęły umykać w stronę zera, a potem wyświetlały się kolejne wyniki.

– Jakiego rodzaju jest ta energia? – zapytał Gadis, choć już wiedział.

– Nastąpiło odwrócenie biegun energetycznego, zmieniła się jakość.

- To jest dobra siła, prawda?
- Tak, pole pozytywne.
- To ja odwróciłem kierunki, tak?

Mark nie udzielił odpowiedzi, gdyż nie było to potrzebne.

- Pokażę ci teraz rzecz najważniejszą.

Zbliżali się do kromlechu. Stał prosto, potężny i monumentalny. Na jego tle widniało niebo. Księżyc wisiał nieomal nad centrum.

- Pośpieszmy się, mało czasu zostało. Robi się bardzo niebezpiecznie.

Mark szedł bardzo szybko pomiędzy ogniskami, przy których koczowali pijani nieszczęśnicy, skłócen i źli. Minęli podest z desek, tworzący zaimprovizowaną scenę do tańca. Ludzie otaczali ją ciasnym kręgiem, krzyczeli i klaskali. Wciąż wzrastała ich dzikość. Wciąż głośniejsze i mocniej uderzali w ręce. Otwierali usta, wdychali powietrze. Mieli go coraz więcej w płucach, wkrótce nastąpi hiperwentylacja, a ludzie ulegną autohipnozie. Staną się bezwolni niby owce, utracą krytyczny umysł i wolną wolę. Po chwili zaczęli się poruszać i obracać w dzikim, nieskoordynowanym tańcu. Wyrzucali niezdarnie ramiona, kucali i podskakiwali, podobni do drewnianych pałub bez świadomości i rozumu.

Na estradzie tańczyła dziewczyna. Jej skóra była bardzo biała, włosy prawie przezroczyste. Już nie miała czarnej opaski na oczach, jej tęczęwki również były bardzo jasne, nieomal białe. Gadis wątpił, by go zauważyła, choć skierowała na niego swój wzrok. Odniósł wrażenie, że patrzy na niego prehistoryczna Gorgona strasznymi, nieruchomymi jak woda oczami. Ze wzrokiem utkwionym w sobie wiadomym nieruchomym punkcie, poruszała ciałem jak tysiadcem wijących się żmij, które kiedyś otaczały głowę Meduzy. Tańczyła szybko i rytmicznie, uwięziona w paskach skórzanego ubrania. Tańczyła coraz szybciej, przy życiu trzymał ją tylko rytm, ale już wkrótce go utraci i wewnętrzne wektory jej ciała będą się poruszać w sprzecznych kierunkach.

- Ona jednak żyje, choć starzec powiedział, że umrze.
- Popatrz, ile zła z siebie wydziela! I powiększa siłę innych.
- Nie powinna żyć – rzekł ponuro Gadis.

Prześliznęli się pomiędzy blokami kromlechu i weszli poza zewnętrzny okrąg. Panowała tu gęsta ciemność. Za wielkim głazem stał namiot.

Mark zapalił światelko na ekranie i przytknął licznik do jednego z bloków. Rząd cyfr zajął cały ekran i mimo że został przesunięty w lewo, liczba się nie kończyła.

- Kromlech jest naładowany.
- Czym? – zapytał Gadis niepotrzebnie.
- Negatywną energią. Teraz jest uszpięta, lecz wibruje we wnętrzu tego gigantycznego akumulatora.
- Kiedy się obudzi?

– Popatrz na Księżyc.  
– Jest już blisko centrum okręgu.  
– I wtedy kromlech zacznie oddawać energię. Negatywne pole obejmie ludzi.  
– Muszę uciekać! – zawołał Gadis.  
– Dokąd? Czy wiesz, gdzie kończy się pole?  
– Gdzie?  
– Muszę coś załatwić – rzekł Mark, zamiast odpowiedzieć. – Jest mało czasu. – I odszedł szybko w stronę namiotu.

Gadis podbiegł do głązów kromlechu, aby przemknąć się na drugą stronę i uciec. Gdy stanął w szczelinie, zobaczył tańczącą dziewczynę. Zeszła z estrady i wciąż tańcząc dziko, zbliżała się, ciągnąc za sobą wrzeszczącą gromadę. Droga ucieczki została zagrodzona. Opanowało go przerażenie, stał, drżąc. Nie chciał zginąć, zabity przez rozwścieczony tłum. To ona, ta dziewczyna i jej taniec, zło, które wydzielala, były groźne. Gadisa opanowała wściekłość. Wyprostował się i wzięwszy głęboki oddech, odrzucił swój gniew prosto na dziewczynę. W tym momencie jej sylwetkę objął ogień. Płomienie wystrzelały z jej głowy i ramion. Upadła i tarzała się po ziemi, płonąc, lecz paliła się bardzo szybko. Po chwili nie pozostał choćby pasek z jej skórzanej odzieży, choćby kawałek kości. Tłum rozproszył się przerażony, na ziemi widniał krąg wypalonej trawy. Ludzie zatrzymali się, gestykulując, lecz nadbiegł staruch, coś krzycząc. Kiedy się wokół niego zebrali, wskazał na kromlech i zaczął objaśniać, co się stało. Gadis nadal nie mógł uciec. Wślizgnął się z powrotem za wewnętrzny okrąg i pobiegł w stronę namiotu, szukając pomocy, lecz przed wejściem zatrzymały go dziwne słowa:

– Więc twierdzisz, że Gadis był kapłanem? – powiedziała kobieta.  
– Najwyższym rangą w kromlechu.  
– A ty zaraz po nim?  
– Tak, lecz określanie nas słowem „kapłani” stanowi uproszczenie. Byliśmy uczonymi obserwującymi gwiazdy. Robiliśmy pomiary, rysowaliśmy mapy. Nasza wiedza była znaczna. Rozumieliśmy prawo kosmicznego obiegu energii.  
– Stwierdziliście, że pewien układ planet nastąpi po trzech tysiącach lat.  
– Właśnie dziś.  
– Toteż kiedy Księżyc stanie ponad centrum kromlechu i uruchomi oddawanie energii, jej siła będzie równie gigantyczna jak trzy tysiące lat temu – uzupełniła kobieta.

– Niestety! Jej biegun będzie przeciwny. Kromlech został naładowany ujemnie. Za chwilę wyrzuci z siebie olbrzymie ilości energii. Jej pole obejmie cały glob. Nie można sobie wyobrazić zbrodni i wojen, które zapanują na ziemi w ciągu kolejnych trzech tysięcy lat.

– Lecz zgodnie z prawem kosmicznego obiegu energia zostanie z powrotem



przesłana w Kosmos. Co się stanie?

– Przemiany, wybuchy, powstawanie czarnych dziur, wygasanie słońc. Pojawią się deszcze meteorów i komet.

– Mogą zniszczyć Ziemię – skomentowała kobieta. – Jaki jest ratunek?

– Jeden tylko: odwrócić kierunek biegunu energetycznego kromlechu.

– Kto tego dokona? Może ta dziewczyna? Była również kapłanką?

– Tak – potwierdził Mark. – Przed wyładowaniem kromlechu dokonywaliśmy ceremonii oczyszczenia i rytualnych tańców i właśnie ona im przewodziła. Jej ruch oraz empatia porywały wszystkich i kromlech ładował się pozytywnie.

– Weź ją, niech ci pomoże – zaproponowała kobieta.

– Ty nie wiesz, w jakiej postaci pojawiła się na tym świecie po trzech tysiącach lat!

– Tylko Gadis pozostał, lecz ma świadomość zwierzęcia.

– Nie wie o swojej sile, więc nie potrafi nią rządzić, a poza tym kieruje się osobistymi motywami, nie chce nic zrobić dla innych, dla wszystkich. Aby dokonać odwrócenia wektora, musi czuć i rozumieć swoją potencję.

– Co zrobimy?

– Kiedy się zacznie, stanę obok niego i będę nim kierował.

– Czy się uda?

– Nie wiem.

– A co stanie się z tobą, z wami? – zapytała z niepokojem.

– Zginiemy, rozedrą nas sprzeczne siły.

Kiedy Gadis to usłyszał, zaczął uciekać. Nie chciał ginąć. Ale zrobił tylko kilka kroków, gdyż przez szczeliny kromlechu zaczęli wbiegać ludzie. Pierwszy był staruch.

– To on! – wrzasnął. – Morderca. Szatan. Spalił dziewczynę ogniem piekielnym.

Gadis zawrócił i pobiegł z powrotem. Z naprzeciwka nadbiegał Mark.

– Stójcie! Zatrzymajcie się! Od niego zależą losy świata!

– To jego wspólnik! – wrzasnął staruch. – Zabić go!

Gadis stanął i odwrócił się. Staruch pochwycił Marka, a dziki mężczyzna zamierzył się na niego pałką. Chłopiec nie chciał, aby Mark umarł.

– Ty psie! – krzyknął. – Giń!

Pałka ześlizgnęła się po głowie Marka, przewrócił się, ale żył, stracił tylko przytomność. W tym momencie napastnik rozłożył szeroko ramiona i upadł na plecy jak rażony gromem. Tłum się zatrzymał, potem powoli cofnął, a wrzeszczący staruch zamilkł i przestał ich podjudzać. Gadis pochwycił Marka i odciągnął od tłumu.

Nagle się zaczęło. Gadis zauważył, że stoi w samym środku kromlechu. Uniósł głowę, Księżyc wisiał dokładnie nad nim. Spojrzał na bloki kromlechu. Nie były to już głazy, lecz wielkie, przejrzyste prostopadłości. Pomiedzy nimi przebiegały węże czerwonych błyskawic. Było ich bardzo dużo i pojawiało się coraz więcej. Po chwili oplatały cały okrąg taśmą energii – czerwoną, naładowaną gniewem i złością. Gadis

stał w środku wirującego pola.

Obawiał się, że złoczyńcy, którzy na chwilę się cofnęli, zaraz ruszą do ataku, musiał więc ich powstrzymać.

– Stójcie, bandyci! – krzyknął ze złością.

Zobaczył wtedy, że czerwona energia ściemniała i zaczęła się zaczerniać. Dopiero teraz dokładnie zrozumiał słowa Marka i zaczął ufać, że tamten mówił prawdę. Zobaczył po raz kolejny własne możliwości i teraz uwierzył w siebie. Pomyślał z przerażeniem, co się stanie, gdy ta czarna energia rozejdzie się po świecie. Widział, jak pełźnie i dociera do jego rodziny, potem obejmuje kolegów i przyjaciół. Staną się źli, przestaną go lubić, nawet zaczną nienawidzić. A cały kraj obejmą zamieszki i niekończąca się wojna. A jeżeli w innych krajach też będą trwały walki? Przecież nikt nie żyje w izolacji. Ziemia jest jedna i ludzie są jednością.

Zrozumiał, że jeśli pragnie bezpieczeństwa swego kraju i rodziny, musi walczyć o pokój dla wszystkich. Przypomniał sobie słowa Marka i starucha. Obydwaj mówili, że jest zwierzęciem, gdyż brakuje mu świadomości, i coś jeszcze: jeżeli nie będzie świadomie kierował energią, siły go rozedrą. Chciał zapytać Marka o to, co powinien zrobić, ale ten leżał bez zmysłów. Musiał więc sam walczyć o swoje życie.

Rozejrzał się wokoło, bloki stawały się coraz ciemniejsze, pozostało mu niewiele czasu. Wkrótce ciemność obejmie cały świat, a potem popłynie w niebo. Czy warto ratować swoje życie, jeśli zginie Ziemia? Niech więc przeżyją wszyscy. Kiedy tak pomyślał, bloki nieco zjaśniały. Przypomniał sobie słowa o trzech tysiącach lat wojen i z całej siły zapragnął, aby stało się inaczej. Jaśniało. Przecież ludzie gromadzili się wokół kromlechu od trzech tysięcy lat, gdyż przetrwała w nich pamięć o jego pozytywnym działaniu. Pragnęli więc dobra. Nie zdawali sobie sprawy, że to oni ładują go polem negatywnym. Nikt im tego nie wytłumaczył.

Ludzie, zgromadzeni wokół okręgu, nie widzieli niczego oprócz chłopaka, stojącego na środku, i mężczyzny, który leżał nieprzytomny. Staruch zerwał się i zaczął ich podjudzać. Gadis pomyślał, że opętała go czarna siła.

– Pokój z tobą, starcze!

Ludzie pędzili za nim, wymachując pięściami i potrząsając pałkami.

– Pokój z wami, ludzie!

Bloki zajaśniały. Ludzie już przybiegli i otoczyli ich. Wzniesli pałki do ciosów.

– Niech będzie światło! – nakazał Gadis.

Wielki kromlech stał się zupełnie jasny i czysty, jego światło objęło wszystkich i wszystko.

Gadis nie czuł razów. A potem spojrzął w jasne oczy tego, który podniósł się i stał obok. Istniał. Był. Dla następnych trzech tysięcy lat.

Oficyna wydawnicza **RW2010**

**Na każdą kieszeń  
na każdy czytnik**

Nie chciałbyś przeprowadzić tej rozmowy, bo po jej zakończeniu może zginąć cała cywilizacja. Opowiadania z tomu „Wywiad z bogiem” to podróż przez różne światy i rzeczywistości, w których zdobędziesz „żonę na tydzień” i poznasz własny charakter. Zdziwisz się i poczujesz strach, ale któż tego nie lubi?



Firma „Pillon i Synowie” prowadzi na rynku nieruchomości interesy na olbrzymią skalę, jednak nawet dla niej przejęcie całej planety ze wszystkimi jej bogactwami i inwentarzem to nie lada wyzwanie. Czy naprawdę tak trudno być Bogiem, jeśli się ma możliwości?

**Dobre ebooki  
w dobrej cenie**

**szukaj na  
[www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)  
lub w e-księgarniach**

**RW2010**

**REWOLUCJA WYDAWNICZA!**